

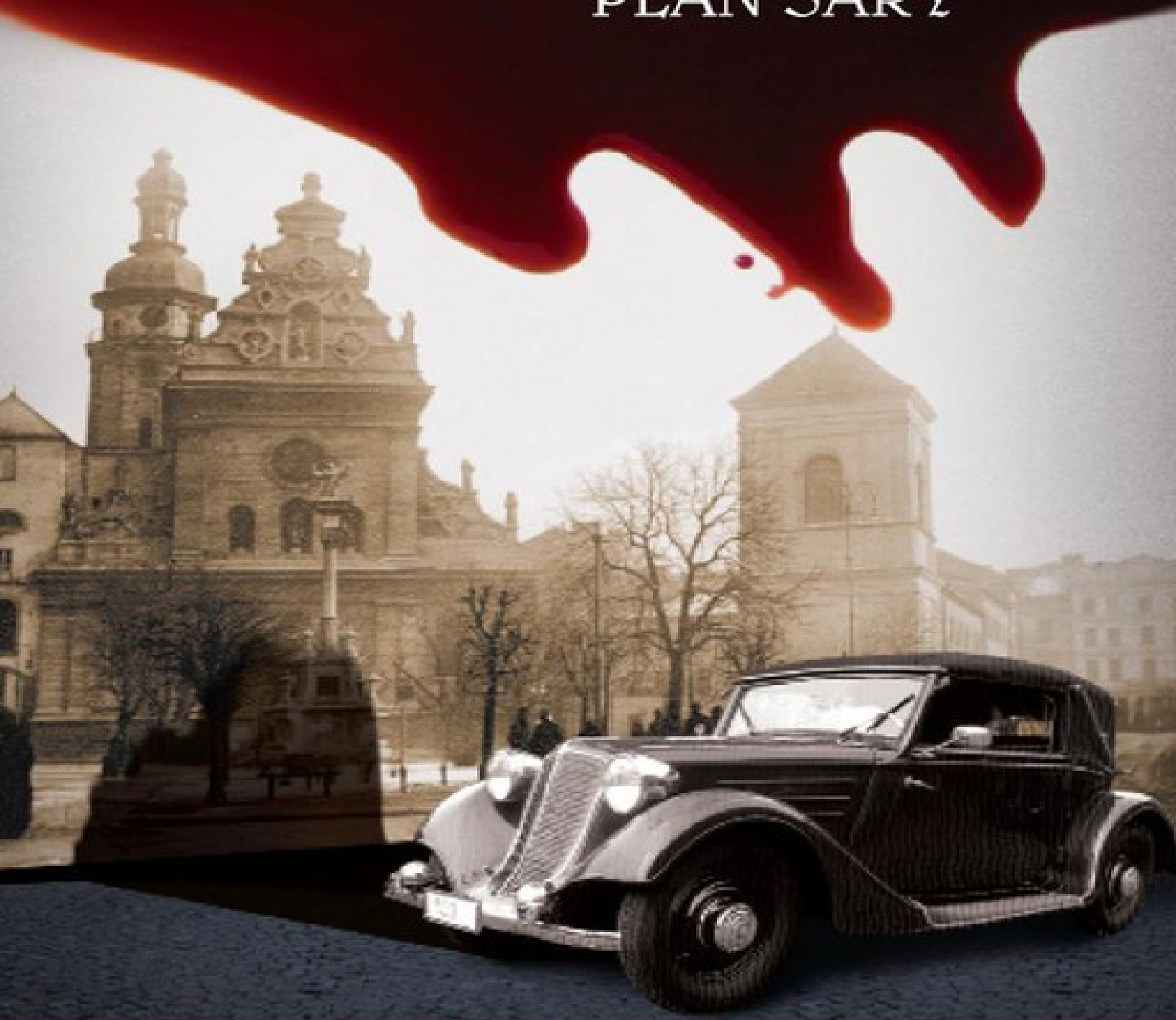


ASY KRYMINALU

*Ekscytujący kryminał autorstwa Pawła Jaszcuka
- zdobywcy Nagrody Wielkiego Kalibru*

PAWEŁ JASZCZUK

PLAN SARY



Prószyński i S-ka

Paweł Jaszczuk

PLAN SARY

Prószyński i S-ka

Copyright © Paweł Jaszczuk, 2011

Projekt okładki Dorota Kulawik

Zdjęcie na okładce © Tadeusz Orłowski

Redaktor prowadzący Konrad Nowacki

Redakcja Urszula Przasnek

Korekta Irma Iwaszko

Łamanie Jacek Kucharski

ISBN 978-83-7648-582-9

Warszawa 2011

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

www.proszynski.pl

Druk i oprawa

Drukarnia Naukowo-Techniczna

Oddział Polskiej Agencji Prasowej SA

Widział siebie 03-828 Warszawa, ul. Mińska 65

Konwersja: [Nexto Digital Services](#)

Spis treści

- [Strona tytułowa](#)
- [Poniedziałek, 9 maja 1938 roku](#)
- [Wtorek, 10 maja](#)
- [Środa, 11 maja](#)
- [Czwartek, 12 maja](#)
- [Piątek, 13 maja](#)
- [Sobota, 14 maja](#)
- [Niedziela, 15 maja](#)
- [Poniedziałek, 16 maja](#)
- [Wtorek, 17 maja](#)
- [Epilog](#)
- [Słowniczek gwary lwowskiej, bałaku:](#)

Poniedziałek, 9 maja 1938 roku

W poniedziałek rano nisko ścieląca się mgła przyprawiła Jakuba Sterna o ból głowy. Dopiero przed dziewiątą uniosła się ospale, niby teatralna kurtyna, odsłaniając domy i ulicę. Lwów znów się pysznił. Odgłosy kroków zdradzały spieszących się ludzi, a stukot podków po bruku – przejeżdżający wóz załadowany towarami. Stern pchnął okiennice na piętrze. Nad miastem dostrzegł ciemną chmurę, która, nie wiedzieć dlaczego, przypominała mu łeb rottweilera zlizującego coś z bruku. Mógłby wzbogacić jakoś ten opis, dołożyć trochę dziennikarskiego mięcha, dodając chociażby, że głodny pies zlizywał z bruku mózg rowerzysty, który wpadł pod tramwaj, że tłum gapiów gęstniał, że jakaś przerażona kobieta głośno wołała lekarza, lecz uznał, że taki jałowy intelektualny wysiłek nie da mu żadnych materialnych korzyści. Zamiast więc męczyć wyobraźnię, zrobił trzy głębokie wdechy, potem pięć pompek, namiastkę szwedzkiej gimnastyki, po czym ponownie rzucił okiem na chmurę, przypominając sobie, że przecież blisko rok temu odszedł już z redakcji. W jednej chwili tamten dzień przewiął mu się przed oczami jak czarno-biały film. Widział siebie wymyślającego na kolegium Mańkiewiczowi, a potem z wściekłością piszącego rezygnację i składającego pod nią niedbale podpis. Zabierającego z szuflady porcelanowy kubek i zdjęcie córki tulącej się do psa przed ich domem na Pohulance. I Kazię z sekretariatu, która puściła oko, a potem, przeczytawszy podanie, wyraźnie miała ochotę rzucić w niego pękiem kluczy.

Stern wypisał się niczym wieczne pióro Watermana. Jego odejście przypieczętował ostatni tekst o tajemniczym szaleńcu (kolekcjonującym w Łucku tylko prawe kobiece dłonie). Nie miał już nad sobą bata, który by go poganiał. Żadnych Krezusów ani Mańkiewiczów wrzeszczących do

słuchawki przekleństwa, żadnych terminów ani zobowiązań. Wreszcie był wolny. Nikt w mieście nie miał tak rozległej jak on wiedzy na ten wyjątkowo niewdzięczny temat. Z jego umiejętności korzystali nie tylko początkujący dziennikarze, ale i policja, i to niemal bez przerwy. Zajmował się skomplikowanymi analizami podsuwanymi przez inspektora Ziębę, który coraz częściej bezradnie ocierał pot z czoła i coraz częściej nadużywał złościstego browaru.

Dziennikarz w krótkim czasie został uznany za eksperta i już jesienią dostał propozycję poprowadzenia ćwiczeń na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza, w nowo otwartym dwuletnim studium sądowym. Jego wiedzą zainteresował się sam dziekan, a to już było coś. Ćwiczenia, rzecz jasna, nadobowiązkowe, ze względu na doświadczenie i klasę Sterna zaczęły się jednak szybko cieszyć niezwykłym zainteresowaniem studentów. Jego zadaniem było poszerzenie wiedzy przyszłych prawników o wyjątkowe przypadki, z którymi zetknął się w swojej dziennikarskiej karierze. I Stern wywiązywał się z tego zadania znakomicie. Potrafił, jak mało kto, selekcjonować, kojarzyć fakty i znajdować zgubiony trop. Umiał na oczekaniu przywołać nieznaną studentom kryminalną „przygodę” i tak barwnie opisać tło i detale, że słuchaczom cierpła wprost skóra.

W przewijającym się w jego pamięci czarno-białym filmie w tym miejscu następował nieoczekiwany zwrot akcji. W środę dwunastego stycznia, czyli dziewięć miesięcy po głośnym odejściu Sterna z gazety, na Pohulance zjawił się Marek Mańkiewicz vel Manio, nowy naczelny „Kuriera”. Przybył ze specjalną misją: przywiózł zaadresowany do Sterna list. Położył go na stole i uważnie spojrział na kolegę.

– Jak wiesz, nie czytam cudzej korespondencji. Pomyślałem jednak, że może to coś ważnego, i postanowiłem osobiście ci to dostarczyć.

Jakub wahał się przez moment, wietrząc jakiś podstęp, potem jednak rozerwał kopertę i wyjął elegancki, podwójnie złożony kartonik

kremowego koloru. Zaproszenie. Na pierwszej stronie czyjaś wprawna ręka starannie wykaligrafowała jego imię i nazwisko. Zaciekawiony rozłożył kartonik. W środku zobaczył dziwaczny rysunek wykonany piórkiem, namalowany krwistoczerwonym atramentem, a przedstawiający rzeźbę stojącą na lwowskim rynku, Amfitrytę. Brakowało tylko dnia i godziny.

Mańkiewicz zaklął i zaczął przeproszać, lecz Stern nawet na niego nie zwracał uwagi. Patrzył na dwie odbite symetrycznie czerwone plamy, przypominające napuchnięte dziecięce główki, jakby braci syjamskich z wodogłowiec.

Przez kilka sekund obracał zaproszenie w dłoniach, a potem, wytrzymując spojrzenie Mania, ostentacyjnie schował je do koperty. W pierwszej chwili miał ochotę wyrzucić list do śmieci, lecz instynkt mu podpowiadał co innego – powinien na chłodno szukać rozwiązania zagadkowej przesyłki.

Manio posiedział jeszcze pół godziny. Wypił kawę, którą zaparzyła Anna, i zjadł trzy kawałki sernika z polewą czekoladową, upieczonego przez gosposię. Gadał o wszystkim, byle gadać: o Andrei – długonogim dziewczęciu, które wyraźnie adorował, o starym, zapijaczonym Fredzie, który nadal przynosił mu depesze, o spotkaniach i rautach. W końcu wziął głęboki oddech i zaproponował Sternowi powrót do redakcji.

– To już nie jest ta sama redakcja – powiedział. – Każdy ciągnie w swoją stronę. Za twoich czasów panowały zupełnie inne stosunki. Liczył się prestiż, a teraz...

– Fatygowałeś się właśnie po to, by mi powiedzieć, że dawniej było lepiej? – zapytał Jakub z bezlitosną szczerością. – Serio? Pan redaktor przyjechał, by mi to osobiście powiedzieć?

– Coś w tym stylu! – Manio otarł chusteczką pot z czoła i przecesał palcami szpakowate włosy. Jeszcze raz z uwagą spojrzął na kolegę, tym razem tak, jakby chciał mu pogruchotać kości. – Mamy kilka zaczętych

spraw, a jedną z nich mógłbyś poprowadzić ty – oświadczył wreszcie. – Pomyślałem, że taka robota cię zainteresuje. Wiem o twoich kłopotach na uczelni i że posada asystenta ryczałtowego nie do końca daje ci...

– Brednie! Prosisz, żebym z własnej, nieprzymuszonej woli znowu wlaźł do tego śmierdzącego szamba? – Stern pozwalał sobie na coraz więcej.

Naczelny spokojnie przełknął kąśliwą uwagę.

– Jestem w posiadaniu pewnego wyjątkowego dowodu, mającego związek z pewnym morderstwem. Czy mam mówić dalej? – Nie widząc reakcji, podniósł się.

Poskutkowało.

– Co to jest? – Stern, jak ryba złapana na haczyk, zmienił taktykę. Wyraźnie zaintrygowany przytrzymał Mania za rękaw.

– Coś, co zawsze lubieś, po swojemu docierając do prawdy.

– Mojej prawdy?

– Czemu się znowu, chłopie, czepiasz?

Manio ostentacyjnie spojrział na zegarek i wyszedł na korytarz. Zatrzymał się na wprost wiszącego na ścianie lustro. Lustro zdradziło, że podejrzliwie taksowali się wzrokiem. Manio wytrzymał zadziorne spojrzenie kolegi. Powoli włożył czarne palto, zawiązał pod szyją czerwony szalik i zdjął z wieszaka czarny filcowy kapelusz.

– Nie mam do ciebie żalu. Sam wiele razy miałem ochotę rzucić tę pieprzoną harówkę, więc... Jeśli zmienisz zdanie, po prostu zadzwoń i zostaw mi wiadomość.

– Dobra wiadomość...

– ...to zła wiadomość! – dokończyli razem i śmiejąc się, podali sobie ręce.

– À propos, jeśli wrócisz do zespołu, czeka cię niespodzianka – powiedział cicho Mańkiewicz i puścił do niego oko.

– Jaka?

Manio nie odpowiedział. Ponownie zgniótł mu rękę w żelaznym uścisku, włożył kapelusz i po prostu wyszedł na zaśnieżoną ulicę.

Redakcyjna tatra zniknęła za zakrętem, a Stern ciągle jeszcze walczył ze swoją słabością. Doskonale wiedział, że jedna nieodpowiedzialna decyzja i na nowo stanie się zakładnikiem potężnej maszyny wyciskającej z niego siódme poty. Bezwzględnej, wciąż domagającej się świeżej dziennikarskiej padliny.

Nadal się zastanawiał, kiedy do gabinetu weszła Anna. Na widok zdenerwowanego męża zapytała wprost:

– Czego chciał ten elegancki sztywniak?

– Przedstawił mi pewną propozycję – powiedział Jakub. I zaraz dodał, jakby chcąc się usprawiedliwić, że jeszcze nie podjął decyzji: – Manio nalega, bym wrócił do redakcji...

– Kiedy? – Anna z grobową miną spojrzała na Jakuba.

– Sprawa jest otwarta. Za tydzień, za miesiąc, to zależy od...

– Oszałał? Co on sobie wyobraża? Że jesteś jakimś chłopcem na posyłki?

– To tylko propozycja...

– Zaorania się na śmierć?! – Nie dała mu skończyć. – A może ten cwaniak odstąpi ci swój fotel i sam zakasze rękawy? Przecież mówiłeś, że od lat grzebie się w wielkiej polityce. Jeszcze za poprzedniego naczelnego, za Krezusa, wyrobił sobie układy, a o mieście nie ma zielonego pojęcia. I ty chcesz do niego wrócić? Naprawdę? Praca na uniwersytecie oznacza prestiż. Przy odrobinie szczęścia możesz awansować, a wtedy...

– Już nic nie mogę! – przerwał jej ze złością. – Za dwa lata będę miał czterdziestkę, ponad dziesięć lat byłem dziennikarzem śledczym i nie mogę, ot, tak – pstryknął palcami – zmienić swego życiorysu!

– Ani ja! – odpowiedziała. Żeby zażegnać kłótnię, podeszła i pocałowała go, jak dawniej, prosto w usta. – Czterdziestka to najlepszy

wiek dla mężczyzny, uwierz mi, coś o tym wiem.

Jakub, przyzwyczajony do jej zmiennych nastrojów, poddał się. Czuł, że Anna knuje jakiś podstęp, by babskim sprytem osiągnąć to, czego z pewnością nie udałoby się jej zdobyć, mówiąc wprost.

No, ale dość tych wspomnień. Jakub zakończył gimnastykę efektywnym wypadem. Wyciągnął ręce, rozcapierzył palce i gdy poczuł ciepło w rozgrzanych mięśniach, poszedł do łazienki się umyć.

Kiedy Jakub się golił, Anna w aptece „Pod Aniołem” ucierała kolejną porcję maści, a Magda, ich pomoc domowa, po odprowadzeniu Kasi do szkoły wracała, robiąc po drodze zakupy.

Jakub niecierpliwie nasłuchiwał, aż trzaśnie furtka. Chciał pożegnać się z Piotrusiem, a potem pójść do redakcji. Jednak tym razem zdarzyło się coś, co zakłóciło codzienny rytuał. Pod dom zajechała redakcyjna tatra i kierowca zatrąbił dwa razy.

Dziennikarz podszedł do okna i odsunął firankę. Nie wierzył własnym oczom. Przy samochodzie stała redakcyjna koleżanka Wilga i energicznie machała do niego ręką. Potem odsunęła rękaw garsonki i wymownie pokazała zegarek, zupełnie jakby byli umówieni.

Jakub pospiesznie ubrał synka, zabrał z gabinetu teczkę, włożył płaszcz, chwycił kapelusz i ciągnąc Piotrusia za rękę, podszedł do furtki.

– Stało się coś? – zapytał.

– Nie mamy czasu, wsiadaj!

– Czekam na Magdę. Już od kwadransa powinna być w domu. Nie mogę tak po prostu wyjść. Pomyśli sobie, że...

– Nie marudź! Pakuj się razem z tym małym kawalerem, wszystko wytłumaczę ci po drodze.

Zamknął furtkę i raz jeszcze spojrzął w perspektywę ulicy Kochanowskiego.

– Jest. Zdaje się, że ją widzę. Rozmawia z kimś na rogu – powiedział, siadając z tyłu i biorąc synka na kolana.

Wilga włączyła motor i samochód ruszył w stronę centrum.

– W ten sposób chyba nigdy tam nie dojedziemy – gorączkowała się Wilga.

– Dokąd?

– Za chwilę sam zobaczysz!

Wjechała na chodnik i zatrzymała się niespełna metr od Magdy rozmawiającej z jakimś żołnierzem. Dziewczyna odskoczyła przestraszona, a potem zauważyła Sterna siedzącego z synem w samochodzie i z wrażenia aż się przeżegnała.

– Jezu Nazareński! Ja naprawdę się spieszyłam, ale w piekarni była dzisiaj kulejka – tłumaczyła, chwytając Piotrusia za rączkę. – I co teraz bendzie, proszy pana?

Ale Stern jej nie słuchał. Rzucił okiem na młodego kaprała, który sprężyście zsalutował, potem ucałował synka i po chwili mknęli już z Wilgą płataniną ulic i uliczek w tylko jej znanym kierunku.

– Miałam interesujący telefon. Chciałam, żebyśmy coś razem zobaczyli – powiedziała. Minęli Zakład Ociemniałych i skręcili w prawo, w stronę parku Stryjskiego.

Zajechali od Raławickiej i zatrzymali się niedaleko głównego wejścia prowadzącego na Targi Wschodnie. Stern poszedł za Wilgą w kierunku rotundy, w której wystawiana była słynna „Panorama Raławicka”, dzieło Styki i Kossaka.

Przed wejściem czekał już na nich przewodnik pan Edward Pestka, zażywny pan w okularach i popielatym garniturze. Po wzajemnej prezentacji wpuścił ich do środka.

– Zapraszam serdecznie panią redaktor i pana redaktora. Jestem wdzięczny za szybki przyjazd. Bogu dzięki, nie ma jeszcze zwiedzających. Nie chciałem zawiadamiać policji – mówił zmieszany pan Edward, znacząco zerkając w stronę Wilgi. – Powiedzieliby chyba, że stary zwariował.

Budynek pamiętał czasy Franciszka Józefa i Powszechnej Wystawy Krajowej 1894 roku. Korytarzem dotarli do hali, gdzie eksponowane było gigantyczne płótno, wymalowane specjalnie z okazji tamtej właśnie wystawy, i zatrzymali się przy balustradzie kolistej platformy, dokładnie naprzeciwko oddziałów Moskali pierzchających przed kosynierami.

– To tam! – Przewodnik wskazał miejsce wąskim promieniem światła latarki. – Pośrodku sztafażu. Tam, gdzie jest lej po pocisku. Skrzynia amunicyjna, bardziej w lewo, przy krzakach, obok lawety. Właśnie do niej przyczepiona była pinezką ta wiadomość.

Wyjął z kieszeni złożoną kartkę, na której dostrzegli starannie wykaligrafowany dwuwiersz.

– Pamięta pani, jak pod koniec marca rozmawialiśmy o naszych fontannach na Rynku? Pisała pani wtedy o tym odrażającym morderstwie, o śmierci tamtego studenta. Obiecałem zadzwonić, gdybym zauważył coś dziwnego. Dlatego pomyślałem teraz, pani Wilgo, że może to być dla pani ważne.

Przewodnik odchrząknął i głośno przeczytał:

*Na Rynku pod ratuszem dwa lwy w ciszy trwają, patrzą na Dianę,
nieśmiertelności czekają.*

– Co państwo na to?

– Częstochofskie rymy – roześmiała się Wilga.

– Jakieś wierutne brednie! – poparł ją Stern. – To głupi, sztubacki dowcip. Jakiś żartowniś ze szkolnej wycieczki nabazgrał coś na kawałku papieru i przyczepił go do deski.

– Ale to nie wszystko! – Pan Edward schował kartkę do kieszeni, patrząc chłodno na dziennikarza. – Sama kartka to bedłka. Ważniejsze to, co jest w skrzyni.

– W jakiej skrzyni? – Wilga spojrzała na niego z lękiem.

– Niech pani sama zobaczy.

Zeszli po schodkach na dół, a potem, stąpając ostrożnie między atrapami poranionych koni, trupów kosynierów i resztek połamanych wozów, poszli w kierunku skrzyni na amunicję.

– Voilà! – Przewodnik odsunął się, by mogli bez przeszkód zajrzeć do środka.

Stern pochylił się i dwoma palcami wyciągnął ze skrzyni jakiś pognieciony jedwabny materiał. Rozprostował go i uniósł pod światło. Była to różowa halka w czerwone serduszka, z wyraźnie widocznymi rdzawymi plamami.

Wilga gwałtownie odsunęła się na bok.

– Rzuć to, nie chcę tego nawet oglądać.

– To jakiś absurdalny żart – powiedział Stern dziwnie zmienionym głosem, odkładając halkę na miejsce. – Niepotrzebnie pan nas tu fatygował.

– Żart? Owszem, bo nie jest to z pewnością dzieło Styki. O ile wiem, Kossak też tego nie zaaranżował.

– Czy to możliwe, żeby ktoś przyczepił tę kartkę i podrzucił rekwizyt w ciągu dnia, w czasie zwiedzania? – dopytywał się Jakub.

Przewodnik spojrzał z wyrzutem.

– Wykluczone. Przewodników jest dwóch, ja i pan Cezary, który zmienia mnie dziś po obiedzie. Obaj z takich dowcipów dawno już wyrosliśmy.

– A po zamknięciu rotundy?

– Tym bardziej! Nie wyobrażam sobie, by ktoś mógł tu wejść niezauważony. Na koniec każdego dnia, po zakończeniu pokazów, światła są gaszone, a budynek plombowany i zamykany. To przecież bezcenny obraz. Wejścia pilnuje uzbrojony strażnik. No, chyba że ktoś by się schował, przemknął między wycieczkami, ale to wymagałoby wyjątkowego sprytu i odwagi.

– A więc jest takie miejsce, w którym można by się ukryć i niepostrzeżenie zrobić taki kawał?

– Obok korytarza jest pokój przewodników. Ja pewnie bym się tam schował, ale ten ktoś musiałby mieć stalowe nerwy.

– A wczoraj? Może zdarzyło się coś szczególnego?

– Wczoraj był wyjątkowy dzień – powiedział pan Edward rozanielonym głosem. – Mieliśmy tu pewną doniosłą uroczystość. Zaszczyciła nas delegacja z uniwersytetu: sam pan dziekan z wydziału prawa, naukowcy, harcerze i sportowcy. Sponsorzy wmurowali trzy cegielki! To dla nas ogromny honor! Potem w holu odbył się kameralny koncert, a po nim był skromny bankiet. Oczywiście już po wyjściu młodzieży. Za porządek odpowiadał pan Cezary, ale nie przypuszczają państwo chyba, że...

– To oczywiste, że w obecności pana Cezarego tacy szacowni goście nie pozwoliliby sobie na ekscesy – powiedział rzeczowo Stern. – Przepraszamy pana, ale spieszymy się do redakcji.

– To dla nas ważna wiadomość – dodała Wilga, starając się ukryć zmieszanie. – Niech ta rozmowa, panie Edwardzie, zostanie między nami.

– Ma się rozumieć, pani Wilgo. Tylko ja, pani, no i ten pan!

Na dziesiątą Manio zwołał kolegium i nikt z zespołu nie śmiał pytać, z jakiej okazji. Wszyscy dobrze wiedzieli, że cały piątkowy numer będzie „skrojony” dla Marszałka, z okazji trzeciej rocznicy jego śmierci.

Siedzieli więc w sali konferencyjnej, przeglądając wybrane przez naczelnego artykuły i zdjęcia. Manio, niczym sam car i Bóg w jednym, odrzucał, tasował i dzielił. Pochwalił Piotra Leyę, nowego księgowego, który przejął gospodarstwo po panu Witku i energicznie zabiegał o korzystne finansowo reklamy, upomniał – tak na wszelki wypadek – korektorę Stopkę, wreszcie grzecznie zaprosił pozostałych do dyskusji.

Okularnik Długolato zwany Długim poczuł się wyrwany do odpowiedzi. Podniósł zdjęcie przedstawiające angielskich dragonów

skaczących nad strzelającym karabinem maszynowym i zapytał nieśmiało:

– Przepraszam, ale co to ma wspólnego z rocznicą śmierci Marszałka?

– Jeśli twoim zdaniem nie ma, możesz zaproponować zdjęcie pijanego kozaka z rohatyną – odpowiedział ostro Manio.

– Właśnie, to musi być coś podniosłego – powiedziała słodkim głosem Andrea, wydymając pełne, wilgotne wargi.

– Na przykład, że „Marlena Dietrich przybyła dziś do Paryża”? – rzuciła Halinka.

– To zbyt banalne! – zgasił ją Manio.

– Wiem – wdzięczyła się Andrea, wysuwając czubek języka jak kotka.

– Minuta ciszy. Nie wszyscy czytelnicy zdają sobie sprawę z tego, że serce wielkiego Marszałka przestało bić kwadrans przed dwudziestą pierwszą.

– Fantastyczne! – zawyrokował naczelny. – Trzeba o tym napisać.

– Przyznam się bez bicia – powiedział Długi z prostoduszną miną – że w swej ignorancji ja także o tym nie wiedziałem.

– Właśnie. O tej godzinie zostanie wstrzymany ruch na ulicach. – Andrea spojrzała na Mania, szukając jego aprobaty. – Zagrają werble i wojsko odda dwadzieścia jeden wystrzałów.

I w tym właśnie wystrzałowym momencie do sali weszli Stern i Wilga, skupiając na sobie uwagę.

– Czyżby państwo tu do nas zabłądzili? – Manio spiorunował ich wzrokiem. – Rozumiem, że jesteście przygotowani?

– Na wszystko! – rzuciła Wilga, rozweselając odpowiedzią zespół.

Najbardziej śmiała się Halinka, chichotała tak, że aż falował jej ciężki biust. Tylko Długi nie zareagował. Patrząc wymownie na Wilgę, powiedział podniosłym tonem, że z tej okazji daje informację o wyścigach konnych na Persenkówce.

– Za sześć godzin na dystansie dwóch kilometrów startuje Tęsknota.

– Kto? – Andrea spojrzała zdziwiona.

– Klacz Tęsknota ze stajni Ferdynandów. Startuje oczywiście na cześć Marszałka. Czy taka wiadomość cię satysfakcjonuje?

– Właśnie takich informacji nam dziś trzeba! Powtarzajcie to sobie jak mantrę! – powiedział Manio, obserwując, jak para „kryminalnych” przeciska się na miejsca po przeciwnej stronie stołu, zmuszając wszystkich do powstania.

Po kolegium, które zakończyło się około południa, naczelny mrugnął znacząco na Sterna, a kiedy pozostali wyszli, zwrócił się do niego z wymówką:

– Kuba, przeciągasz strunę. Bądź choć raz poważny.

Stern podniósł do góry dwa palce, robiąc minę męczennika.

– Przestań błaznować, mnie na swoje sztuczki nie nabierzesz! Teraz mam dla ciebie specjalne zadanie. Jutro rano o dziesiątej pójdziesz do ratusza. W sekretariacie spotkasz się z panem Arkackim. Prezydent prosił o pomoc. Dostał podobno jakieś perfidne zaproszenie. Rzuć na nie okiem. Tylko błagam, bądź punktualny!

Jeszcze tego samego dnia Stern nieoczekiwanie musiał zmienić popołudniowe plany. A wszystko z powodu jednego telefonu. Łącząc go, sekretarka Kazia ostrzegła, że to jakaś interwencja i gość piekli się niemożliwie, dlatego bojowo nastawiony Jakub ostrożnie podniósł słuchawkę.

– Redakcja „Kuriera”, Jakub Stern, czym mogę służyć?

– Bardzo proszę się nie wymigiwać i spotkać ze mną dziś po południu – usłyszał dziwnie znajomy głos.

– Kto mówi?

– Mówię basem, czy to wystarczy?

– Cholera, musisz robić aż takie podchody?

Rozpoznając gardłowy głos szkolnego przyjaciela, obecnie adwokata Samuela Hillela, Jakub nie mógł powstrzymać się od śmiechu. To przez ten głos Hillel, wnuk rabina, przezywany był w szkole „Basem”.

– Skąd dzwonisz?

– Z domu. Przyjechałem w piątek i zaraz pomyślałem o spotkaniu z tobą. Więc jak? Znajdziesz czas?

Ostrzegam, jeśli nawalisz, nasza znajomość definitywnie się kończy. Czekam w „Atlasie” o szóstej.

Po kwadransie Jakub Stern miał już gotowe alibi. Zadzwoił do Anny i poinformował ją, że wróci trochę później.

– Ile później?

– Godzinę, najwyżej dwie... Oczywiście, że cię kocham... Nie czekaj na mnie... Tak, Aniu, masz rację, Manio jest wielkim cwaniakiem, ale to niczego nie zmienia. Muszę przygotować ten tekst na rano... Naturalnie, że się postaram. – Odłożył słuchawkę, a serce biło mu jak oszalałe.

Kłamał. Przez chwilę miał nawet wyrzuty sumienia, lecz szybko znalazł usprawiedliwienie – Anna nie cierpiała Hillela, uważała bowiem, że sprowadza on męża na złą drogę. Dlatego Jakub postanowił nie przeciągać spotkania. W planach była szybka wódeczka, najwyżej dwie pod śledzika, bo w „Atlasie” marynowany śledzik po żydowsku był najlepszy.

Kiedy jednak o szóstej zasiedli w swojej ulubionej bocznej łoży po oknem, niepowtarzalna knajpiana atmosfera zawładnęła nimi niepodzielnie. Przed laty Jakub Stern i Samuel Hillel byli nierozłącznymi przyjaciółmi. Uczyli się w tym samym gimnazjum i mieli podobne zainteresowania. Czytali te same książki wypożyczane w spółce nakładowej „Vita”, mieszczącej się przy pasażu Hausmana. Jeździli na dalekie rowerowe wycieczki, szusowali na nartach z okolicznych wzgórz. Nic dziwnego, że nawet po tylu latach znaleźli szybko wspólny język.

Hillel chciał się wygadać, a Stern, słuchając jego opowieści, całkiem stracił poczucie czasu.

Hillel opalony był jak turysta powracający z egzotycznej wyprawy, wcale jednak nie tryskał humorem. Opowiadał, że w Palestynie szaleje terror, że Arabowie napadają na pociągi i nawet doborowe angielskie oddziały nie są w stanie opanować sytuacji w rejonie Hajfy, że w ostatnim czasie przybyło tam ponad ćwierć miliona Żydów uciekających z Europy przed niemieckim nazizmem. I że po rodzinnej naradzie Marié i Izaak pozostali w kibucu. Izaak był tam potrzebny: dostał karabin i pełnił nocną straż, a za dnia budował kanały irygacyjne. Samuel miał się rozejrzeć we Lwowie i ściągnąć ich tu z powrotem, jeśli tylko wszystko będzie po jego myśli. Jak zwykle mówił ciekawie, przytaczając co chwila zabawne dykteryjki.

Po śledziu pojawiła się kartoflana kiszka w kapuście, potem przyprawiona po węgiersku zupa rybna z karpia. Do tego surówka z cykorii i oszroniona butelka wysokoprocentowego „Baczewskiego”.

Nie byli sami. Po sąsiedzku, przy złączonych stolikach siedziało hałaśliwe towarzystwo z Radia Lwów. Raz po raz zanosili się śmiechem, a Stern przyglądał się im z zazdrością. Wśród dziennikarzy wyróżniał się genialny naśladowca głosów, niejaki Józef Wieszczyk, który zabawiał teraz przyjaciół, parodiując piekającego się przed mikrofonem Hitlera. A kiedy porzucił rolę wodza Trzeciej Rzeszy, wszedł pod stół, by udawać krowę, potem psa, kota i świnię, a za każdą nową rolę otrzymywał gromkie brawa.

Ten ekscytujący szum głosów i dźwięków i jakaś dziwna poza, jaką przyjęli niczym aktorzy w teatrze, niespodziewanie przeniosły Sterna myślami niecałe sto metrów dalej, do wylotu ulic Trybunalskiej i Krakowskiej.

Przypomniał sobie pewien mroźny styczniowy poranek. Tamtego dnia ze względu na przenikliwy, zimny wiatr zrezygnował ze spaceru i

pojechał na uczelnię tramwajem. Wsiadł na przystanku przy ratuszu, a kiedy znalazł się pod rzeźbą Amfitryty, natknął się na dwóch stróżów prawa, którzy usiłowali odgonić gapiów. Zaciekawiony podszedł bliżej. Nie wierzył własnym oczom: na kamiennym murku otaczającym fontannę siedział zamarznięty nagi mężczyzna. Wyglądał tak, jakby wykapał się w orzeźwiającym strumieniu i nie bacząc na trzaskający mróz, po prostu na chwilę przysiadł. Jeden tylko drobiazg burzył to złudzenie – siedzący zamiast twarzy miał bezkształtną masę.

Ta upiorna aranżacja zrobiła na Sternie ogromne wrażenie. Dlaczego ktoś posadził zmasakrowane męskie zwłoki na murku obok rzeźby nimfy wodnej? Roztrzęsiony przyspieszył kroku, ale kilka razy jeszcze się obejrzał za siebie, nim zniknął w Trybunalskiej.

Wszedł do gmachu uczelni, unikając spojrzeń studentów, zupełnie jakby czuł się winny. Starał się zapomnieć o tym, co widział, lecz podczas przerwy studenci nie mówili o niczym innym. Szeptali między sobą, że nieszczęśnikiem, którego zwłok pilnowała teraz pod ratuszem policja, był ich kolega z grupy Szymon Lach. Dlaczego jednak lubiany przez wszystkich chłopak został zamordowany? Stern nie znajdował na to wyjaśnienia.

Najbardziej żywiłowo zareagowała Sara Reddig. Kiedy dotarła do niej informacja o tragicznej śmierci kolegi, bez słowa wybiegła z zajęć i nie pokazywała się na uczelni przez kilka dni, a kiedy wreszcie wróciła, nikt już nie chciał się z nią zadawać. Nawet Róża Winkler, najlepsza przyjaciółka, siedząca zwykle obok niej, przeniosła się do innej ławki.

Rozpacz w rodzinie zamordowanego była ogromna. Szymon był jedynakiem. Jego matka połknęła jakieś leki, próbując się otruć. Na pogrzebie obecni byli wszyscy koledzy z roku, przyszły też delegacje z innych wydziałów i wykładowcy, zabrakło jednej osoby – Sary.

Śledztwem, ze względu na sąsiedztwo ratusza i niesłychaną drastyczność zbrodni, zajął się znajomy Sterna z komendy wojewódzkiej,

inspektor Andrzej Zięba. Natychmiast odszukał Jakuba na uczelni i bez pukania wparował do jego gabinetu.

– Były otwarte, więc wszedłem. Chyba się, Kuba, nie gniewasz? – zaczął od progu swoją grę.

Jakub był tak zaskoczony, że bez słowa podsunął gościowi krzesło. Latem zeszłego roku po jakimś pijaństwie przeszli na „ty” i pozornie powinno im to ułatwić wzajemne kontakty, lecz każdy z nich, jak górski owczarek pilnujący swoich owieczek, niezwykle czujnie dbał o własny rewir.

– Unikasz mnie, przestałeś mnie chyba lubić? – rzucił grubas.

– Skądże znowu.

– Tak właśnie myślałem. Pomogę ci, jeśli ty mi pomożesz – ciągnął inspektor, rozwalając się na krześle i gapiąc się na wiszący na ścianie widoczek parku Stryjskiego.

– Co mam robić?

– To już inna gadka. Na początek daj mi listę obecności z tamtego dnia.

– Z jakiego dnia?

– Kuba, proszę cię, nie udawaj!

– Po co ci to?

– Zwykła formalność.

– Rozczaruję cię. Żadnej listy nie ma.

– Żartujesz?

– Nie żartuję! Byłem zbyt pochłonięty tematem, by zawracać sobie głowę jakąś buchalterią. Ale pamiętam, że było wtedy dziewięć osób. Trzech chłopaków – Szymon, Robert i Paweł, dwie narwane studentki – Sara i Róża, i cztery spokojne, kibicujące im panny – Ruta, Joanna, Amelia i Zyta.

Stern wyrwał z zeszytu kartkę, potem sięgnął do przybornika po zaostrzony ołówek i starannym pismem zapisał alfabetycznie dziewięć imion i nazwisk.

– To wszyscy? – zapytał inspektor, chowając kartkę do kieszeni. – Przypomnij sobie, to bardzo ważne.

– Wszyscy, chyba wszyscy. Ale możesz to sprawdzić. Zapytaj kogoś, bo ja nie ręczę.

– Pan bywszy redaktor chce się wykpić? Jest ponoć wybitnym ekspertem i naprawdę nie wie, kto wpadł na tak makabryczny pomysł?

– Chwilowo nie mam pojęcia i będę cię prosił o dyskrecję! – powiedział chłodno Stern.

– Ty mnie? A jaki ja mam w tym interes, żeby się zgodzić?

– Nie masz wyjścia. Obaj nie mamy. – Jakub zagrał z inspektorem va banque.

Zięba wyszedł, a Stern siedział jeszcze przez chwilę nieruchomo. W najdrobniejszych szczegółach zapamiętał tamte ćwiczenia, lecz jego mózg jakoś nie kwapił się podsunąć mu najmniejszą choćby podpowiedź, która rzuciłaby światło na ciemność okrywającą wszystko niczym obrzydliwa, wisząca nad miastem chmura.

Po miesiącu sprawa zaczęła powoli przycichać i życie na uczelni wróciło – jeśli można w ogóle tak mówić – do normy. Śmierć Szymona Lacha potraktowano jako pojedynczy wybryk szaleńca, który zaszył się gdzieś, i sądzono, że tylko kwestią czasu jest schwytanie go i osadzenie w więzieniu. Policja, zaślanając się dobrem śledztwa, nie udzielała żadnych informacji. Kiedy jednak znad Karpat nadciągnęła trzydniowa zadymka zapowiadająca koniec srogiej zimy, z poniedziałku na wtorek pod pomnikiem Adonisa (vis-à-vis „Atlasa”, w którym teraz właśnie szampańsko bawili się z Hillelem) znaleziono nad ranem drugą ofiarę szaleńca: przysypaną śniegiem dziewczynę owiniętą całunem. „Dziewczynę niezwyklej urody” – jak się wyraził inspektor Zięba, który natychmiast przyszedł do gabinetu Sterna, by podzielić się z nim ekscytującą wiadomością.

– Śnieg przykrył ślady, nikt niczego nie widział i nie słyszał, lecz ty na pewno będziesz w kursie!

Taki wstęp nie spodobał się Sternowi, wietrzył jakiś podstęp.

– Czy to nie dziwne? – powiedział Zięba, tym razem gapiąc się na widoczek przedstawiający Kopiec Unii Lubelskiej. – Ona także uczęszczała na twoje nauki! Znasz ją, to Sara Reddig, córka ginekologa z kliniki przy Pijarów. Podobno dorabiała sobie w jakiejś księgarni jako sprzedawczyni. Oczywiście nie od razu ją rozpoznaliśmy. Trzeba było sporo wyobraźni, by poznać w niej twoją studentkę. Jakiś czubek wcielił się w rolę Indianina i zwyczajnie ją oskalpował.

Słyszając to, Stern o mało nie zemdlał. Spotkała go największa z możliwych kar. Wiele by dał, żeby wiadomość okazała się nieprawdziwa, lecz faktów nie dało się zmienić.

– Przepraszam cię, Kuba, ale miarka się przebrała. Masz zakaz prowadzenia zajęć na uczelni i jeszcze dzisiaj dostaniesz wypowiedzenie. Za zgodą dziekana przepytalem wszystkie studentki i studentów z twojej grupy. I wiesz co? Opowiadali ciekawe, bardzo ciekawe rzeczy. – Inspektor oderwał wzrok od wyblakłej akwarelki i spojrzał badawczo na Sterna. – Dlaczego nie powiedziałaś mi prawdy? Mówili, że za twoim przyzwoleniem brali udział w jakimś upiornym eksperymencie. Czy mógłbyś zdradzić, na czym on polegał?

Jakub roześmiał się nerwowo. Rzucanie na niego podejrzenia tylko go rozzłościło. Był, i wcale nie musiał tego udowadniać, jak żona Cezara – poza wszelkim podejrzeniem. A eksperyment? Słuchacze sami sypali pomysłami, a on ledwo nadążał zapisywać je na tablicy. Nie przypuszczał nawet, że młodzi ludzie, w większości pochodzący z dobrych domów, mogą kryć w sobie aż tak mroczne pokłady zbrodni, które on jak akuszer wydobył tylko na światło dzienne. Garnęli się na jego zajęcia i nawzajem podsycali swoją wyobraźnię, która niczym projektor miała wyświetlić zapierający dech upiorny film.

Nie mógł się wyprzeć przed inspektorem, że to on – naturalnie w ramach ćwiczeń – poprosił słuchaczy o przygotowanie własnych scenariuszy dla fikcyjnego psychopaty. Ku zaskoczeniu Sterna największą inwencję wykazała Sara – najspokojniejsza z grupy, jak mu się wtedy zdawało, i sprawiająca na kolegach wrażenie lekko zakompleksionej. To ona pierwsza przygotowała nieprawdopodobny wręcz projekt. Opowiedziała z detalami, jak by postąpiła, gdyby miała się wcielić w seryjnego zabójcę. Podała miejsce, a nawet sposób uśmiercenia czterech ofiar. Niestety zajęcia zbyt wcześnie się skończyły i Sternowi udało się zapisać na tablicy tylko trzy z nich. Pierwszą „jej” ofiarą był Szymon Lach, doskonale zapowiadający się karnista pochodzący z rodziny o starych sędowniczych tradycjach.

Potem chyba poczuła się jakoś głupio, bo dla zatarcia złego wrażenia oznajmiła, że sama chętnie zostanie drugą ofiarą, i zapytała, czy może ktoś jeszcze zgłosi się na ochotnika. Wśród śmiechów podniósł się las rąk, pierwszy był Paweł Zimmer.

Ćwiczenia przeciągnęły się aż na przerwę i wtedy doszło do sceny, która Sternowi zapadła głęboko w pamięć. Pod drzwiami czekała już druga grupa studentów z niecierpliwym się wykładowcą Emilianem Kanclerzem. Kanclerz wszedł do sali, przeczytał zapisany na tablicy plan Sary, a potem ostentacyjnie poprosił woźnego o jego wytarcie. Studenci Sterna nawet na korytarzu jeszcze zawzięcie dyskutowali, tworząc kolejne nieprawdopodobne scenariusze, a Kanclerz odprowadzał ich chłodnym wzrokiem.

Zgodnie z prośbą Jakuba, żadna z tych informacji nie dostała się do publicznej wiadomości, a umiejętnie rozpuszczane przez agentów Zięby plotki o przysypanej śniegiem pijaczkę ostudziły targające społeczeństwem emocje. Stern miał do pokonania jeszcze jedną karkołomną przeszkodę – nowego naczelnego „Kuriera”, Marka Mańkiewicza, który zaczął wokół tej sprawy niepokojąco intensywnie

węszyć. Redaktor postawił więc wszystko na jedną kartę. Przeprowadził z naczelnym długą rozmowę i ten warunkowo nałożył na tę wiadomość embargo. Ceną był jednak powrót do redakcji. Pod presją Stern w końcu się zgodził.

Nie zaznał jednak spokoju. Gazeta wcale nie była bezpiecznym schronieniem. Minął ledwie miesiąc, gdy do redakcji „Kuriera” wparował Zięba, siadł na biurku Sterna i z grobową miną oznajmił:

– Żarty się skończyły! Pan redaktor ma nieziemski kłopot!

– Dlaczego nieziemski?

– Bo ów student, który zgodził się zeznawać przeciwko tobie, od kilkunastu godzin nie żyje. Spisałem jego zeznania, chłopak przez ciebie czuł się zagrożony, możesz być pewien...

– Jeśli wierzysz w jego słowa, po co te ceregiele? – przerwał mu Stern, demonstracyjnie wyciągając złożone dłonie. Zięba zaklął, a redaktor, nie tracąc rezonu, poczęstował go papierosem.

Według relacji Zięby, u wylotu Halickiej, tuż przy rzeźbie atletycznego Neptuna, znaleziono w piątek kolejną, trzecią już ofiarę szaleńca: chłopaka o kruczych włosach – brakujący element demonicznej układanki.

Stern aż się wzdrygnął. Ofiarą był Paweł Zimmer. To on od pierwszego dnia studiów miał z Sarą na pieńku. Robił jej niewybredne kawały, a nawet otwarcie groził. Jego marzeniem było wprowadzenie na studiach zasady numerus nullus, ostrej segregacji rasowej na wzór amerykańskiego prawa wobec Murzynów.

Zimmer był wybitnie zdolnym studentem, ale też wyjątkową kanalią. Należał do organizacji, której celem było zwalczanie „żydostwa rozwijającego się w gospodarce i sztuce”. Stern odmówił wtedy zapisania na tablicy podyktowanego przez Pawła zdania, że „Scenariusz Sary jest tylko chałatem, który może przymierzyć byle szuja”. Tym porównaniem Paweł Zimmer jeszcze bardziej naraził się całej grupie. Najwyraźniej

chciał zrobić dziewczynie na złość, bo dodał, że w tak skrojonym ubranku powinien się znaleźć zaplanowany feler. „Jakaś wada, miła koleżanko – kpił w najlepsze – która uczyni go bardziej naturalnym, na przykład biały guzik przyszyty do przepoconej, zawszonej mycki”.

Kiedy wygłosił przed grupą tę swoją chamską tyradę, Stern nie wyrzucił go z sali, tylko próbował obrócić jego słowa w nonsensowny żart. Sara Reddig milczała dla świętego spokoju, lecz jej spojrzenie wyraźnie mówiło, że się zawiodła na wykładowcy.

Ledwie Zięba opuścił redakcję, rozpętała się burza. Jakub został wezwany do naczelnego. Tym razem, mimo długiej rozmowy z Maniem, nie udało mu się utrzymać embarga na wiadomość. Szef oświadczył, że nie ma zamiaru robić z „Kuriera” gazetki kościelnej. Jego podstawowym celem było zwiększenie nakładu i szybko dopiął swego.

Rewelacyjny temat otrzymała Wilga de Brie. Dziennikarka wykorzystała podarowaną przez los szansę i przedstawiła hipotetyczny przebieg zdarzeń, oparty na relacjach świadków. Przepytowała nocnych stróżów z narożnych kamienic, mleczarzy i piekarzy, a nawet panienki wiadomej profesji, które nad ranem mogły wracać od klientów. Potem znalazła idealny punkt obserwacji: okno w ratuszu, skąd rozpościerał się fantastyczny widok na kamiennego władcę mórz.

Stern musiał przyznać z nieukrywaną zazdrością, że doskonale wykonała swoją pracę. Opisała wystający z gardła studenta trójząb i dziwną lekkość zastygniętego ciała, pasującą do stworzonej przez Hartmana Witwera rzeźby. Bez skrupułów wykorzystała nadarzącą się okazję, by zaistnieć jego kosztem.

Kończyli już drugą butelkę, a mimo to mroczne myśli nie opuszczały Jakuba. Nalał sobie kolejny kieliszek wódki i szybko przełknął, nie patrząc na adwokata. W tej samej sekundzie poczuł zaskakujący ból, który rozlewał się po całym ciele i z każdym głębszym oddechem zakorzeniał się pod żebrami. Miał wrażenie, że trafił do jatki za starym

teatrem, w której jakimś zmyślnym narzędziem włożonym przez usta lub odbył oprawcy pozbawiali go właśnie wnętrzości. Próbował stłumić niepokorną wyobraźnię, lecz dziesiątki scen odrażających mordów, które kiedyś opisał, trawiły go od środka.

Machinalnie napełnił kieliszek i znów wypił, lecz przyniosło to tylko chwilową ulgę. Kiedy oparł się o bordową welurową kanapę, słuchając śpiewanego przez pianistę szlagieru Ordonki, uwolniona wyobraźnia zastawiła na niego kolejną pułapkę. W jednej sekundzie siedząca pod oknem młoda prostytutka, studiująca przyniesione przez kelnera menu, wiała się w jego wyobraźni pod kamienną figurą Diany, osaczona przez psy spuszczone przez boginkę ze smyczy.

Samuel zauważył nienaturalne zamyślenie Jakuba i odsunął jego kieliszek.

– Kuba, chyba masz już dosyć? – zapytał z dziwnym uśmieszkiem, jakby dając mu do zrozumienia, że to ostatnia chwila na uratowanie duszy. – Jasne, obaj mamy dosyć – dodał szybko, by nie urazić kolegi. Podniósł do góry rękę, chcąc przywołać kelnera, lecz Jakub zaproponował:

– Ani się waż! – powiedział, usiłując stłumić czkawkę. – Właśnie teraz, dzięki tej radiowej bandzie, przyszła mi do głowy genialna myśl. Ten, kto popełnia te zbrodnie, prowadzi z nami taką samą grę jak Wieszczyk, na którego porykiwania dają się nabrać słuchacze. Znam zakończenie sztuki, brakuje mi tylko reżysera i aktorki.

– Rzeczywiście oryginalne – kpił Hillel. – Radzę ci to zapisać, Gwiazdorze.

– A jeśli jestem pewny – Stern ciągnął pijacki wywód – tylko nie mam dowodów? To co? No, co mi teraz powiesz, chytry Basie?

– Tym gorzej dla ciebie. Wierz mi, jutro, gdy wytrzeźwiejesz, wszystkie twoje odkrycia nie będą warte funta kłaków.

– Więc zabierz mnie teraz do domu. Jestem świnią, obiecałem jej i znowu nie dotrzymam słowa.

– Coś jej obiecał?

– Spokój, tylko spokój – powiedział Jakub i zamilkł.

Samuel dyskretnie przywołał kelnera i zapłacił. Potem ubrał zataczającego się Jakuba w płaszcz i troskliwie odtransportował dorożką na Pohulanę. Otworzył skrzypiącą furtkę i wprowadził przyjaciela na ganek. Oparł o drzwi, nacisnął dzwonek, a gdy tylko usłyszał kroki Anny, natychmiast się oddalił.

Wtorek, 10 maja

Nad ranem obudził Jakuba tępy ból głowy. Nie otwierając oczu, usiłował przypomnieć sobie dziwaczny sen. Śniło mu się, że ubrany w nowiutki drelichowy mundur maszerował na front. Na głowie miał hełm, na ramieniu karabin M, na plecach zaś wypchany żołnierski tornister. Szedł z innymi, wyzuty z prywatnego życia, pozdrawiany przez przypadkowych przechodniów.

Kurz wzbijał się z bruku, w kark niemiłosiernie prażyło go słońce, a on spocony i spragniony mijał dom Hillela, zupełnie jakby trafił na kraniec świata.

W otwartym oknie zobaczył wychylającego się przyjaciela. Samuel machał do niego ręką.

– Brawo, Jakub! Wyglądasz znakomicie! Kiedy wrócisz, musimy znowu wpaść do „Atlasa”.

Właśnie. Był wczoraj w „Atlasie” i wcale się tego nie wypiera. Troskliwy Hillel odstawił go pod same drzwi, potem Jakubowi urwał się film. A teraz w cudowny sposób odnalazł się w swoim łóżku, w piżamie, nakryty ciepłą kołderką, jak malutkie dziecko.

Otworzył oczy. Powoli zwłóknął się z łóżka i podszedł do okna, lecz widok nieba wcale nie poprawił jego nastroju. Zdawało mu się – a może był tego pewien, lecz bał się przyznać – że od wczoraj wisi nad miastem ten sam obrzydliwy obłok i żaden wiatr nie jest w stanie go przepędzić. Tak właśnie mógł wyglądać świat po przepiciu: wielgachne, zawieszony w przestrzeni „coś”, co lada chwila mogło zważyć się z hukiem na jego obolałą głowę.

Nawet nie chciał myśleć o tym, co powie Anna. Bał się jej gadania, a jeszcze bardziej płaczu dzieci, gdy podniesionym głosem będzie wygłaszać przy nich umoralniającą gadkę. Z pewnością czai się już w

salonie, czekając, kiedy wreszcie skazaniec wyjdzie ze swego gabinetu, on zaś, wiedząc o tym, na próżno stara się odwlec egzekucję.

Nagle otworzyły się drzwi i czyjaś usłużna ręka, ale nie Anny, podała mu kubek gorącego bulionu i chrupiącą kajzerkę. Tą wyrozumiałą istotą była Magda.

– Która godzina? – zapytał, mile zaskoczony.

– A która pana interesuje?

– O dziesiątej miałem być w ratuszu. – Jak przez mgłę przypomniał sobie zapis, który zrobił poprzedniego dnia w terminarzu. – Tak, najpierw ratusz, a potem...

– Ma pan jeszcze cały pół godziny. Pani prosiła grzecznie, by pana nie budzić. Kwadrans już, jak do apteki wyszła. Ale z bulionem to był mój pomysł – dodała, wyraźnie oczekując pochwały. – Wcześniej zaprowadziłam Kasię do Kistryna. Jak pan widzi, ja od rana nie próżnuję.

– Jesteś fenomenalna – zaczął z entuzjazmem, lecz zabrakło mu puenty.
– Nie wiesz, czy...

– Wiem – ubiegła jego pytanie. – Zaraz dam panu świeżej koszuli, krawatę i skarpetki. Na mój kinol, bez nikakich pan zdąży.

Stern spojrzał na zadarty nos Magdy i mało się nie zakrztusił. W ekspresowym tempie ogolił się, robiąc w lustrze dzikie miny do Piotrusia. Potem ubrał się – rozanielony Piotruś nie spuszczał z niego wzroku – i z podkrążonymi oczami wyszedł na ulicę.

Do ratusza dotarł kwadrans po dziesiątej. Patrzył na kamienne lwy z tarczami, na próżno usiłując przypomnieć sobie nazwisko urzędnika, które zapisał w kalendarzu. Potem jak bilardowa kula wpadł do sekretariatu, podrywając siedzącą za biurkiem sekretarkę. Przedstawił się, a wtedy spotkała go niespodzianka.

– Myślałam, że pan już wie. Pańskie spotkanie zostało odwołane.

Jakub próbował dociec, jaki był tego powód, lecz sekretarka zbyła go tylko uśmiechem.

– Spóźnił się pan, ale to nie ma nic do rzeczy.

– To znaczy, że zdarzyło się coś ważniejszego, co...

– Teraz trwa narada w sprawie zajezdni tramwajowej. U pana prezydenta jest główny inżynier. Pańska sprawa musi więc poczekać.

– Ile?

– Zostanie pan powiadomiony.

Stern zamierzał już wyjść, kiedy nagle z gabinetu prezydenta wyszedł jakiś urzędnik. Na widok dziennikarza oniemiał i zrobił się czerwony. Potem skinął głową, co mogło wyglądać na przywitanie, i zniknął.

– Czy to był pan A...

– To był właśnie pan A... rkacki – powiedziała sekretarka podniesionym głosem, wyraźnie dając do zrozumienia, żeby nie zawracał jej więcej głowy i wreszcie sobie poszedł.

Stern zamknął za sobą wielkie dębowe drzwi. Mógłby oczywiście pobiec za panem Arkackim, czy jak mu tam, i zapytać go wprost, co to wszystko ma znaczyć. Dlaczego jednego dnia prezydentowi zależy na wyjaśnieniu pochodzenia tajemniczej przesyłki, drugiego zaś nie ma już na to ochoty? A może Jakub narozrabiał wczoraj w „Atlasie” i jeden usłużny telefon zrobił z niego persona non grata? Po chwili doszedł jednak do wniosku, że to coś więcej niż zwykła zmiana prezydenckich planów, że w te knowania wdał się ktoś, kto przesadnie dba o wizerunek prezydenta. Dlaczego prezydent nie kazał zadzwonić na przykład do Zięby, tylko do niego?

Szedł korytarzem w kierunku wyjścia, po połyskującej, idealnie wyfroterowanej posadzce. Zaaferowany stanął przy oknie i spojrzał z góry na Rynek. Obrócona do niego plecami Diana w otoczeniu sfory psów zdawała się nic sobie nie robić z jego obaw. Ludzie kręcący się przy fontannie także. Na kamiennym murku tuliła się para zakochanych, pozując fotografowi do zdjęcia. Błysnął flesz, rozświetlając szarość dnia. Stern pomyślał, że zupełnie inny widok spędza sen z oczu prezydenta.

Pomyślał też, że jak na razie obaj są biernymi obserwatorami czyjejs wyrafinowanej gry.

Wściekły wszedł do redakcji i pierwsze kroki skierował do Mania, domagając się wyjaśnień.

– Kuba, wiedziałem, że przyjdiesz. Twoja podrażniona ambicja...

– Zrobiłem z siebie głupka.

– Po pierwsze, spóźniłeś się! Po drugie, nie wiesz jeszcze wszystkiego. I zrozum, że nie miałem innego wyjścia. Czasem i ja muszę zapomnieć o czytelnikach.

Stern stał nieruchomo, wpatrując się w Mania i czekając na wyjaśnienia.

– O wpół do dziesiątej odebrałem telefon, to fakt. Zaraz zadzwoniłem do ciebie, lecz Magda powiedziała, że przed chwilą właśnie wyszedłeś. Na pociechę powiem ci, że on nawet cię podziwia...

– Daruj sobie...

– No dobra, ale to musi pozostać między nami: prezydent ma teraz inny kłopot. Wczoraj po południu kierownik referatu geodezji upił się i zgwałcił w ratuszu swoją sekretarkę. Wiem o tym, mam cały opis zajścia.

– Jeszcze się zastanawiasz? Daj to na pierwszą stronę!

– Nie mogę. Prosił, by nie drukować tej rewelacji. – Manio zniżył głos.

– Chyba nie muszę ci tłumaczyć: rocznica śmierci Marszałka.

– I zgodziłeś się? Nie wierzę! Przecież jedno z drugim nie ma nic wspólnego!

– Sęk w tym, że dzieje się to w jednym mieście – uciął Manio. – Proponuję, byś wymazał naszą rozmowę z pamięci. À propos, dowiedziałem się, że chciał rozmawiać z tobą jako ekspertem o „zaproszeniach”. Ktoś przysłał mu osobliwy list ze szkicem fontanny Diany, do tego jakiś wkurwiający wierszyk o..., mniejsza z tym. – Machnął ręką, nie mogąc przypomnieć sobie jego treści. – Wczoraj pod twoją nieobecność goniec z ratusza dostarczył mi jeden taki egzemplarz. –

Manio wyjął z koperty zaproszenie i podniósł nad głowę. – Proszę bardzo, co o tym sądzisz?

Stern nawet nie zareagował. Czuł się po prostu oszukany. Kątem oka patrzył na dzieło szaleńca trzymane przez naczelnego ponad głową, lecz postanowił zachować wnioski dla siebie.

– No, spójrz. Według mnie ta Diana wygląda jak ladacznica.

Nadal milczał.

– Masz rację, może to nie jest aż tak ważne. – Naczelnny przeczytał po cichu rymowany tekst. – Podobno takie same dziwne „zaproszenia” z infantylnym wierszykiem dostali jego zastępcy. I jest jeszcze coś. Prawdopodobnie ta sama osoba wysłała do prezydenta ostatni artykuł Wilgi, ten o Pawle Zimmerze, z podkreśleniami. A swoją drogą czegoś tu nie rozumiem: Wilga pisze teksty, a ciebie zapraszają na salony jako konsultanta?

Manio roześmiał się z własnego dowcipu, potem podniósł słuchawkę, by poprosić do siebie długonogą Andreę.

Rozmowa była skończona. Stern wycofał się do swojego gabinetu. Skołowany zaparzył kawę, siadł w fotelu i by poprawić sobie humor, zagłębił się w lekturze najnowszego numeru „Kuriera”. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie warty honorowej przy grobie Marszałka na Wawelu, nad nim zaś ogromny tytuł: „W trzecią rocznicę zgonu”, a pod nim sążnisty artykuł Mania.

Jakub siorbał wrzącą kawę i w żółtym tempie, ziewając z nudów, czytał dalej: Matka Gauleitera z Lipska, Chawa Chemnizter, zmarła w przytułku żydowskim w Warszawie.

Nie dokończył lektury, z drzemki też nic nie wyszło – przeszkodziła mu w tym Wilga. Nie miał śmiałości zwrócić jej uwagi, więc w milczeniu cierpiał, gdy wkręcała do maszyny kartkę i ostro zabierała się do pracy. Ona także się nie odzywała, nawet nie patrzyła w jego stronę, wyraźnie go ignorując. W ciągu półtorej godziny, i to bez chwili odpoczynku, zdążyła

napisać dwa artykuły i jak na złość wcale nie zamierzała przestać. Jej metoda okazała się skuteczna. Stern pierwszy nie wytrzymał.

– W porządku! Wygrałaś. Jeśli chcesz, możemy zawrzeć układ, tylko, na Boga, przestań!

– Kto na nim skorzysta?

– Ty i ja. Wiesz sama, że tak skomplikowanej sprawy nie da się prowadzić w pojedynkę.

– Od kiedy zaczynamy? – Nie ustępowała.

– Od zaraz! – oznajmił Jakub. – Tylko, błagam, przestań wreszcie tak barabanić.

Wilga uśmiechnęła się tryumfalnie, pocałowała Sterna w policzek i wyszła do sekretariatu pochwalić się nowymi tekstami.

Kiedy zniknęła za drzwiami, Jakub zapadł się głębiej w fotelu. Nie spodziewał się po Wildze takiej reakcji. Zadowolony przykrył się gazetą i zamknął oczy. Wtedy, nie wiedzieć dlaczego, przypomniał sobie pewną historię, która zdarzyła się trzy lata temu w maju. Miał wrażenie, chociaż nie umiałby tego udowodnić, że wspomnienie ma związek z ostatnimi wydarzeniami na Rynku. Do Lwowa przyjechał wtedy inżynier Stefan O., wybitny okultysta i wizjoner, znany nie tylko w kraju, lecz także za granicą. Było słoneczne popołudnie, kiedy wysiadł z pospiesznego pociągu relacji Warszawa – Lwów. Podróżował sam. Wyszedł z hali dworca na plac Wilsona i spojrzał na tonącą w wiosennych promieniach słońca katedrę Świętego Jura. Stern był w pogotowiu, krył się za żeliwnym słupem i z ukrycia zrobił gościowi kilka zdjęć.

Widział, jak inżynier wsiadł do dorożki, i słyszał nawet, jak zamówił kurs do hotelu „George'a”. Dostrzegł też dwie skórzane walizki, które tamten postawił przy nogach po swojej prawej stronie. Stern natychmiast wskoczył na rower i nie zwracając na siebie uwagi, ruszył za nim. Trzymał się w bezpiecznej odległości, lecz nie umknęło jego uwagi, że w alei Focha, tuż przed Gródecką, jakiś zuchwały batiar rzucił się pod konia,

a kiedy dorożkarz gwałtownie zahamował, koleś tego ryzykanta zwyczajnie sprzątnął mniejszą walizkę. Zniknął z nią, jakby się zapadł pod ziemię.

Wtedy Jakub Stern przedstawił się Stefanowi O. i zaoferował pomoc, lecz ten odmówił. Był roztrzęsiony. Powtarzał, że ukradziono mu niezwykle cenny maszynopis, jedyny egzemplarz, jaki posiadał, i zamiast do hotelu kazał się wieźć fiakrowi na najbliższy komisariat policji. Dziennikarz nie chciał się więcej narzucać i obserwował z oddali wejście do Komisariatu VII przy Gródeckiej 90. Czekał niecałe trzy kwadransy. Gość po złożeniu zeznań tą samą dorożką pojechał do hotelu „Bristol”, przy ulicy Legionów. Stern z czystej ciekawości pojechał za nim.

Później dowiedział się, że mimo postawienia na nogi całej miejskiej policji niczego nie udało się ustalić – walizka zapadła się jak kamień w wodę. Być może – spekulował dziennikarz – wylądowała w jakimś cuchnącym śmietniku na Krakidałach, a jej zawartość została pogryziona przez szczury. Z pewnością zuchwały złodziej liczył na coś więcej, a zapisane kartki nie przedstawiały pewnie jego zdaniem żadnej wartości.

Przypomniał też sobie wykład na uniwersytecie prowadzony przez Stefana O. Sala pękała w szwach – wielu lwowiaków przyszło zobaczyć europejską sławę. Stern i Hillel z trudem znaleźli wolne miejsca.

Podczas pierwszej części warszawski gość rysował na tablicy skomplikowane figury, objaśniał zebranym przyczyny przełomu wiary, a wreszcie zacytował z pamięci znaczny fragment niedokończony powieści zatytułowanej „Nieśmiertelność”, która, jak się wyraził, „zaginęła w niezwykle tajemniczych okolicznościach”.

Stern zapamiętał niski, nosowy głos wizjonera, którym zdawał się on usypiać słuchaczy, bez trudu docierając do samego jądra ich podświadomości. Według zebranych poruszane kwestie były niezwyklej wagi. Wtajemniczeni usłyszeli wykład o „kryzysie psychiki i przyszłości świata” oraz o kipiącym „astralu”, z którego zbudowany jest wszechświat.

Dowiedzieli się też, że poznając oddech śmierci, poznaje się nieśmiertelność.

Na spotkanie przybyło grono wykładowców (głównie z wydziałów filozoficznego i matematycznego), niewielka grupka studentów, sporo zgrzybiałych radców i kancelistów pamiętających czasy CK Galicji i Lodomerii z Wielkim Księstwem Krakowskim. Na sali panowała cisza przerywana tylko tłumionymi pokasływaniem i skrzypieniem foteli. Na zakończenie pierwszej części wykładu Stefan O. zwrócił się do zebranych z pytaniem, czy wierzą w opisaną przez niego przyszłość. Zamiast odpowiedzi rozległy się burzliwe oklaski. Stern oczywiście miał ochotę natychmiast zaprzeczyć, nie śmiał jednak podnieść ręki. Był przecież redaktorem z „Kuriera”, który jak aportujący pies miał tylko przynieść czytelnikom sensację.

Pod koniec wystąpienia Stefana O. niespodziewanie zgasło światło, potęgując niesamowity nastrój. Wśród głośniejszych komentarzy woźny przyniósł lichtarz z zapalonymi świecami, a później kryształową karafkę z wodą i szklankę dla gościa.

Stefan O. jakby nie zauważał tych problemów. Bez pośpiechu nalał do szklanki wody i napił się. W tej samej sekundzie, gdy skończył pić, żarówki w żyrandolach na nowo rozbłysły.

I wtedy nadszedł decydujący moment – zapowiedziana w zaproszeniach prognoza. Na prośbę mistrza przypadkowo wylosowani goście zapisali na karteczkach pytania, które zebrał do wazy przechodzący wzdłuż rzędów profos. Gość odpowiadał, stojąc za katedrą. Wyjaśnienia były tak celne, że zainteresowani, nie dowierzając, reagowali głośniejszymi komentarzami. A kiedy odczytał pytanie: „Czy będzie wojna?”, wszyscy zamarli w oczekiwaniu. Mistrz namyślał się przez chwilę, potem zdecydowanym głosem kategorycznie zaprzeczył. I wtedy rozległy się burzliwe brawa.

Na koniec szacowny gość wyjął z wazy ostatnią kartkę i szybko przebiegł po niej wzrokiem. Zatraskany spojrział na salę, jakby szukając autora, i oświadczył, że na to jedno pytanie nie może, więcej, nie chce udzielić odpowiedzi.

I tak spotkanie zakończyło się nieoczekiwanym zgrzytem. Nawet bukiet kwiatów wręczony przez wnuczkę dziekana wydziału filozofii nie zatarł przykrego wrażenia.

Przed dwudziestą Hillel i Stern wyszli z uczelni. Postanowili wracać do domu pieszo. Jakub miał wielką ochotę podyskutować z przyjacielem na temat spotkania, lecz ten, jak na złość, przez całą drogę uparcie milczał. Kiedy dotarli pod dom dziennikarza, adwokat zwrócił się do niego z dziwnym pytaniem.

– Dlaczego mistrz mnie okłamał?

– Ciebie? Nie rozumiem.

– To ja zapytałem go o wojnę.

Jakub był zaskoczony.

– Sądzisz, że skłamał? Jaki niby miałby w tym cel?

– Nie wiem, ale się przekonamy.

Hillel ścisnął dłoń przyjaciela i zniknął w gęstej mgłę ścielącej się nisko nad Pohulanką.

Jakub zamknął za sobą furtkę i zamyślony wszedł na ganek. Ciekawiło go jeszcze jedno – jakie było to ostatnie pytanie, na które mistrz nie udzielił odpowiedzi.

Teraz, trzy lata po wykładzie inżyniera Stefana O., instynkt podpowiadał Sternowi, że tamto wydarzenie i te obecne mają z sobą jakiś związek. Hillel wspomniał, że jeden z jego klientów widział na Krakidałach dziwny maszynopis. Podobno zapisane kartki leżały na straganach między wiklinowymi koszami, wyszczerbionymi szablami i skubanymi gęsiami, nabierając swojskiego zapaszku i pokrywając się plamami od niemytych rąk i padających kropli deszczu.

Okolo południa, jakby wykorzystując nieobecność Wilgi, odwiedził Sterna Marek Mańkiewicz. Siadł na brzegu biurka i z tajemniczą miną sięgnął do kieszeni marynarki. Wyjął z niej wiśniowe wieczne pióro i teatralnym gestem położył przed Jakubem.

– Co o tym powiesz?

– Boże, przecież to mój waterman! – Jakub poderwał się z krzesła. – Ile ja się go naszukałem!

– Czy aby na pewno twój?

– Dostałem go od Krezusa. Spójrz, tu są moje inicjały. Dziwne, spisałem go na straty, a jednak się odnalazł.

– Powiedzmy, że pewna osoba znalazła i uprzejmie przyniosła do mego gabinetu.

Stern uważnie spojrział na Mania.

– Kto? Nie rozumiem, dlaczego kluczysz?

– To była de Brie. Napisała fantastyczny tekst – „Strach Amfitryty”, który nigdy się nie ukazał, bo ja i ty zawarliśmy umowę.

– Żałujesz?

– Nie mam wątpliwości, że gdyby jej tekst się ukazał, ludzie pisaliby do nas na bank jeszcze przez kilka miesięcy.

– Dlaczego teraz mi o tym mówisz?

– Wilga dotarła na miejsce zbrodni, zanim zabrano zwłoki.

– Chodzi ci o tego mojego studenta Szymona?

Mańkiewicz kiwnął głową.

– Wypytywałem mnie już o to Zięba i wszystko mu powiedziałem. Szedłem wtedy na ćwiczenia. Rozglądałem się wokół fontanny, szukałem jakichś śladów, pewnie nachyliłem się...

– Załóżmy, że wiesz o czymś, o czym nie chcesz mi na razie powiedzieć. Nie mam do ciebie pretensji, bo przecież mogłeś znaleźć się tam przypadkowo, a jeśli tak, to...

– Insynuujesz, że mam coś wspólnego z tym parszywym zdarzeniem.

– Czy coś takiego powiedziałem?

– Manio, przestań bawić się ze mną w ciuciubabkę. Przychodzisz z tym po paru miesiącach? Lepiej od razu powiedz, o co ci chodzi?

– Ta nowa od początku ma wyjątkowe szczęście – powiedział naczelny, ziewając. – Przeszukała dokładnie fontannę i znalazła leżący w śniegu zgubiony przez ciebie drobiazg. A jak się dowiedziała, że ofiarą był właśnie twój student, skojarzyła fakty i...

– Chyba mnie nie podejrzewasz? Znasz mnie od lat i wiesz, że muchy bym nie skrzywdził... – Jakub się nastroszył.

– Przepraszam, jeśli cię uraziłem, ale gdybyś mógł coś sobie przypomnieć...

– Sęk w tym, że mam w głowie pustkę – powiedział Stern, zaciskając zęby.

– Wierzę ci już, chłopie, wierzę, ale gdyby tak przypadkiem wróciła ci pamięć, to po prostu zajdź do mnie. – Mańkiewicz uśmiechnął się rozbrajająco i nie wiadomo dlaczego puścił do Sterna oko.

Gdy Manio wyszedł, Jakub niecierpliwie odkręcił nasadkę pióra. Dokładnie obejrzał stalówkę i stwierdził, że jest w idealnym stanie. Potem sprawdził tłoczek, podnosząc go pod światło. Odkręcił zakrętkę kałamarza i powoli, precyzyjnym ruchem nabrał atramentu. Delikatnie strzepnął i z namaszczeniem wykaligrafował na czystej kartce jedno słowo: „Sara”.

Z zadowoleniem przyglądał się, jak ciemnoniebieski atrament szybko wsiąka w papier. Pióro jak wyrzut sumienia domagało się dalszych odpowiedzi i dlatego, by nie kusić losu, Jakub na wszelki wypadek schował je do szuflady biurka. Akurat w tym momencie weszła Wilga i zauważyła jego zmieszanie.

– Dowiedziałam się, że masz przede mną jakieś tajemnice.

Stern nie miał zamiaru brnąć w jej słowne pułapki i czekał na wyjaśnienia.

– Czemu nie powiedziałeś mi o twoim poprzedniku?

– Bo nie widzę żadnego związku między nim a naszym śledztwem – odrzekł spokojnie, gniotąc kartkę z wykaligrafowanym imieniem i wrzucając ją do kosza.

– A ja przeciwnie – powiedziała, siadając na krawędzi biurka. – Czy wiesz, że on z tobą rywalizował?

– Szczerze gratulacje! Już po pierwszej wizycie na uniwersytecie masz takie osiągnięcia?

– Nie kpij. Ustaliłam, że twój poprzednik, Emilian Kanclerz, wcale nie był lubiany. Studenci przezywają go Wykałaczką, bo nawet na wykładach nie przestaje dłużyć w zębach, albo Maską, gdyż jego pokerowa twarz nie odzwierciedla żadnych uczuć.

– Mogłabyś jaśniej?

– Co powiesz o facecie, który kupuje markowe papierosy, chociaż nie pali? O kimś, kto uwielbia zapach tytoniu i częstuje studentki, a niełatwo mu, jak powiadają, odmówić.

– Coś sugerujesz?

– Na uczelni chodzą słuchy, że prawie wszystkie dziewczyny zaliczały prawo rzymskie przez łóżko.

Stern milczał. To fakt, jego poprzednik wydawał mu się nieco zagadkowy. Był też może trochę wyniosły, ale jeśli wziąć pod uwagę osiągnięcia naukowe, nie ta wada wyróżniała go spośród innych uczonych. Miał na koncie kilkanaście prac naukowych i rozpraw, za które dziennikarz wysoko go cenił.

– Kanclerz jest wybitnym znawcą prawa rzymskiego – powiedział Stern. – Jego specjalnością jest ustawodawstwo Augusta. To tytan pracy, autor wielu podręczników z dziedziny prawa rodzinnego, a do tego znany działacz sportowy. Jest też inicjatorem i sponsorem wystaw malarskich. Podobno nie ma dzieci. Mieszka gdzieś na Kleparowie, skąd dojeżdża na uczelnię samochodem.

– I nie zastanowiło cię, co czuł taki „wybitny znawca”, kiedy odebrałeś mu pracę?

Stern nie odpowiedział. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że rywalizował z Wykałaczką, nie interesowały go też rozważania o zaplanowanym upokorzeniu. Wyrzuty sumienia? Przerabiał to już setki razy, zawsze wtedy, gdy opublikował jakiś krytyczny artykuł o kimś, kto zaraz potem przestawał mu się kłaniać.

Po powrocie do domu nie mógł sobie znaleźć miejsca. Nie smakował mu obiad, denerwowały go paplanie Kasi i płacz Piotrusia, więc wcisnął Annie jakieś kłamstwo i po prostu wyszedł. Musiał poprosić Hillela o radę, jak powinien postąpić.

Ani się spostrzegł, jak znalazł się na Zielonej. I znowu, jak kiedyś, omal nie wpadł pod koła rozpędzonego tramwaju z żółto-czarną reklamą oleju samochodowego Galkar-LUX, który nagle wynurzył się z ulicy Szewczenki.

Z bijącym sercem przebiegł przez jezdnię i stanął przed dwupiętrową secesyjną kamienicą. Oparł się plecami o ścianę i ciężko łapał powietrze. W końcu głęboko odetchnął i nacisnął dzwonek przy tabliczce „Samuel Hillel – adwokat”, którą ktoś złośliwie porysował jakimś ostrym narzędziem.

Wszedł do Hillela, rzucił się na szeroki fotel i bez żadnych wstępów zapytał go o chmurę.

– Chmura? – Samuel starał się zachować powagę.

– Przynajmniej ty nie udawaj.

Adwokat nie udawał. Widział w Jakubie rzadki przypadek paranoi i szukał sposobu, by jak najdelikatniej mu to powiedzieć.

– Powiadasz, że jakaś czarna morda wisi nad miastem – bawił się z Jakubem w kotka i myszkę – i że się do ciebie szczyrzy?

– Tak, lecz z tego okna jej nie widać. Musielibyśmy...

– Zapewne coś musimy zrobić! Tyle że bardziej martwi cię jakiś szkaradny obłok niż sobotni przyjazd Hitlera do Rzymu?

Stern nie podchwycił tego tematu. Znał erystyczne zapędy Hillela i nie zamierzał stawać z nim do słownego pojedynku. Przyjaciel tymczasem wyjął z barku karafkę i dwa kryształowe kieliszki. Powoli napełnił je po brzegi.

– Gdybyś się pytał, to „Mikolasch” z moich starych zapasów!

Stern wypił starą jak należało – „dwoma strzałami” i z trudem łapał oddech.

– Miałeś wczoraj w „Atlasie” nietęgą minę. Wyglądałeś, chłopie, jakbyś chciał nas wszystkich...

– Co?

– Mniejsza o to. Czy bywszy asystent ryczałtowy, a obecnie wybitny pismak ma wolną chwilkę? – Hillel popatrzył na Jakuba niewinnym wzrokiem. – Chciałbym cię zabrać w pewne niezwykle ważne dla mnie miejsce, gdzie kiedyś czekałem na ciebie, lecz ty miałeś ponoć jakieś ważniejsze sprawy. Więc jak?

– Nie mógłbyś jaśniej?

– Pójdziemy na Pasiieczną, na grób hrabiny Sołowiowej, a potem odprowadzę cię do domu. Zgoda? – rzucił i nie czekając na odpowiedź, ciągnął: – Niedługo miną dwa lata, jak hrabina pojednała się ze swoim Bogiem... Pojednała się albo i nie, kto to może wiedzieć... Muszę jej zameldować, że tak jak chciała, sprzedałem jej ruchomości, a pieniądze przekazałem na ołtarz u Świętego Jura.

Stern nie oponował. Zaczekał, aż Hillel zamieni ciemnozielony jedwabny szlafrok na garnitur i przyglądzi krótko przyciętą bródkę.

Po kilku minutach opuścili dom przy Zielonej. Adwokat z jakiegoś powodu prowadził go dłuższą drogą, cały czas zagadując. Szli ruchliwą o tej porze Łyczakowską, mijali sklepy, zakłady rzemieślnicze i knajpy, w których skupiało się życie legendarnej ulicy.

Cmentarz był niemal pusty. Przy jakimś dalszym grobie kręciła się ubrana na czarno kobieta, modląc się i podlewając kwiaty.

– Swietłana przez całe dorosłe życie chciała być sama – powiedział Hillel, zapalając zapałką znicz. – Zerwała wszelkie kontakty, wyrzuciła zdjęcia, podała listy, skrupulatnie oczyściła swoją przeszłość ze śladów po kimś, kogo kiedyś kochała i kto nikczemnie ją oszukał. Po cichu wyjechała z Petersburga, by we Lwowie przestać istnieć. I udało się jej: teraz tylko ja i ty znamy miejsce jej pochówku.

Stern nie słuchał Hillela. Zgodnie ze swoim przyzwyczajeniem sumował i dzielił cyfry z daty urodzin i śmierci hrabiny. W końcu zaplątał się w tych operacjach i uspokoił się dopiero, osiągnąwszy niepodzielną trójkę. Potem przeczytał napis wykonany srebrnymi literami: *Jest' żyźń i wskriesienije*.

– Wiesz, z czym będę ją kojarzył? – usłyszał ciche pytanie Samuela.

– Ze zdychającym szpakiem zamkniętym w klatce?

– Pudło.

– A może z kadzidełkami zabijającymi starczy smród? – rzucił złośliwie Stern, lecz Hillel nie przejął się jego uszczypliwością.

– Z aromatycznymi rydzami, które piekła na rozpalonych do czerwoności fajerkach, i z posiwiąłym warkoczem, który upinała w kok w świetle naftowej lampy. Jak ona ślicznie śpiewała, zanim zaczęła palić te swoje ohydne cygaretki. Mogłem słuchać godzinami, gdy nuciła: *Utro tumannoje, utro siedoje...*

– Jesteś romantyczny?

– Może właśnie dzięki niej?

Po chwili zmówili swoje modlitwy za spokój zmarłej. Słowa „Ojciec nasz” mieszały się ze słowami kadyszu: „Niech będzie wstawione i poświęcone wielkie Jego imię”.

– Oby dusza jej została związana w węzełku życia! – powiedział smutno Hillel, zamykając na sekundę oczy.

Za bramą cmentarną adwokat znów stał się bardziej rozmowny, jakby przychodząc na grób, zrzucił krępujące brzemię.

– W tym mieście nic się przede mną nie ukryje. Słyszałem niepokojące plotki o tobie. Są tacy, którzy winią cię za wszystkie nieszczęścia.

– Zdążyłem się już do tego przyzwyczaić – powiedział Stern i zaśmiał się jakimś diabolicznym śmiechem, płosząc siedzącą na gałęzi wronę.

– Ja, oczywiście, nie wierzę w nie – dodał szybko Hillel. – Nieboszczyk Witwer, ten który poustawiał swoje rzeźby na Rynku, z pewnością też by nie uwierzył. Znam rodziców Sary Reddig. To zresztą moja daleka rodzina. Mieszkają na Sygniówce. Wiem, że planowali ślub córki, a jej przyszłym mężem miał być syn właściciela papierni ze Stanisławowa. Obrzydliwie bogaty chłopak. Rodzice, rzecz jasna, przyklepali ten związek. Sara miała tylko zdobyć dyplom. Była...

– Była nieprzeciętnie zdolna – zakończył Stern.

– Tak. Jej ojciec i matka byli z niej dumni, lecz kiedy córka zbuntowała się przeciw ich woli, po prostu wynajęli jej mieszkanie.

– Trudno uwierzyć, że spisali ją na straty.

– Ojciec gotów był jej wybaczyć – powiedział Samuel – ale matka...

Samuel spojrzał na Jakuba pytająco, lecz kiedy zauważył zamyślenie kolegi, niespodziewanie zmienił temat i zaczął barwną opowieść o żydowskiej orkiestrze ze Lwowa, przygrywającej teraz na weselach w palestyńskim kibucu.

Kiedy po trzech godzinach Jakub pojawił się w domu, Anna mogła wreszcie dać upust emocjom.

– I co, jesteś zadowolony? Hillel jest dla ciebie ważniejszy niż rodzina? Szwendasz się z nim od wczoraj, narażając się na kpiny. A może się już do niego przeprowadziłeś?

– Byliśmy na cmentarzu zobaczyć grób Sołowiowej – zaczął tak spokojnie, jak tylko potrafił. – To rosyjska hrabina – dodał. – Samuel

opowiadał, że śpiewała Weretyńskiego i że była mistrzynią w smazeniu rydzów.

– Zdziecinniałeś? Zostawiasz mi na głowie dom, bo jakaś ruska hrabina zawodziła romanse i smażyła grzyby? Zapominasz o swoich obowiązkach, no, ale skoro już jesteś, może jej coś wreszcie powiesz. Niech przestanie trajkotać, bo obudzi małego.

– Kto?

– Kasia! Niech przestanie mnie drażnić tym idiotycznym prymitywnym akcentem.

– „Lwowskiej Fali” słucha cała szkoła. Nie wydaje ci się zabawne, że naśladuje Tońcia i Szczepcia?

– Beznadziejne mizdrzenie się do publiczności. Obawiam się, że Magda też przykłada się do tego. Zastanawiałam się na poważnie, czy...

– Daj spokój! Nie lubisz jej, bo jesteś...

– Tak, jestem ponuraczką, której każecie śmiać się na zawołanie.

– Mamo, tak mówią wszyscy w naszej klasie – odpowiedziała krnąbrnie córka.

– No i masz to swoje wychowanie! Zobaczysz, jeszcze kiedyś ta twoja kochana córeczka podniesie na mnie rękę. – Zaraz jednak, widząc w oczach pasierbicy łzy, pożałowała tych słów. Ale nie zrobiła nic, by im zapobiec. Nie zatrzymała też Kasi, gdy ta wybiegła z domu do koleżanki.

Dlaczego tak bardzo ją kochał i wcale tego nie ukrywał? Dlaczego dałby się za nią posiekać? Niekiedy, patrząc na baraszkującego Piotrusia, odganiał od siebie natrętną myśl, że nie jest jego ojcem, że jest nim ktoś, kogo Anna poznała, gdy pracując w „Kurierze”, zaniedbywał ją. Ale myśli te ustąpiły szybko, gdy Anna rzuciła przekornie:

– No, spójrz na Piotrusia! Wykapany tatuś, rośnie mały uparciuch! No, no! Nie gniewaj się, mamusia tylko żartowała, prawda, synku? Teraz tatuś się ubierze i pójdziemy razem na spacer do Cetnerówki. Zobaczymy wiewiórki i kwitnące kasztanowce.

Anna zamilkła i spojrzała na męża. Uśmiechał się, jakby zgadzając się na jej propozycję, więc wstała z fotela i szybko poszła się ubrać. Ubrała też Piotrusia i po kwadransie weszła do salonu. Jakub nadal siedział zamyślony, przewracając strony gazety.

– Szukasz czegoś?

– Przepraszam – odpowiedział i szybko się poderwał. – Właśnie znalazłem coś, od czego będzie zależeć...

– Czyjeś życie? – dokończyła Anna. – Ale chyba nie nasze, bo ty dalej bujasz w obłokach.

Nie kryjąc złości, sama poszła na spacer z Piotrusiem, lecz po niecałej godzinie wróciła. Gniew szybko jej przeszedł. Kupiła nawet dla Jakuba piwo marcowe, a dla Kasi malinowego lizaka i precle.

– Kuba, czy musimy się wiecznie kłócić? – rzuciła ze skruszoną miną, stawiając przed nim napełniony kufel. – Tak mi przykro, że się uniosłam – pocałowała go mocno – ale gdybyś nie robił mi ciągle na złość, żylibyśmy jak po ślubie. Pamiętasz?

Nie wychodziła z jego gabinetu. Patrzyła, jak analizuje jakiś tekst i szybkimi ruchami ołówka nanosi poprawki.

– Jeśli masz chęć teraz popracować, nie będę ci przeszkadzać. Przyjdę później, zgoda?

– Zgoda, kochanie.

Była o niego zazdrosna, tak jak on kiedyś o nią, lecz nie chciała się do tego przyznać. Ciągle miała wrażenie, że inne kobiety zbyt długo na niego patrzą, obserwując jego szpakowate włosy, wyprostowaną sylwetkę i energiczny chód.

Dlaczego pod jego nieobecność zaglądała do jego pokoju, szukając jakiegoś namacalnego śladu, jakiegoś bibelotu, który potwierdziłby jej wątpliwości? Co takiego się stało, że aż tak zaczęło jej na nim zależeć?

Odkąd jej figura po porodzie nabrała bardziej kobiecych, zaokrąglonych kształtów, stale wypytywała go, dokąd idzie i kiedy wróci,

jakby czuła się zagrożona, jakby się obawiała, że pewnego dnia wybierze młodszą i ładniejszą, choćby jedną spośród gotowych na wszystko, zadurzonych w nim studentek.

Podobał jej się jego swobodny styl bycia i wygląd. Lubiła patrzeć, jak wychodził z łazienki w samych spodenkach, idealnie ogolony nowoczesną brzytwką Toledo, którą mu kupiła na imieniny. Pachnący kosmetykami z fabryki Ihnatowicza, z podniecającą męską nutą. Miał zwyczaj przeczesywania włosów palcami i nikt na całym świecie – była pewna – nie robił tego tak uwodzicielsko. I było w nim jeszcze coś, czego się bała i co pociągało ją w nim najbardziej – szalona wyobraźnia, pozwalająca mu z łatwością kreować coraz to nowe światy.

– Czy młoda mama pamięta, że za tydzień jej urodziny? Masz jakieś specjalne życzenie?

– Tylko jedno. – Zaczęła się tajemniczo uśmiechać, patrząc mu w oczy.

– Nazywa się „Marechal Niel”, jak minister wojny za Napoleona III.

– A co to takiego?

– Zgadnij! Chcę, żebyś posadził ją przed domem, przy ganku. To specjalna, stara odmiana, której nie trzeba przycinać na wiosnę. Jest boska. Ma delikatne, złote płatki. Kupisz mi ją?

Domyślił się, że chodzi o różę, i natychmiast się zgodził.

Kiedy wyszła, Jakub położył się na kozetce i sięgnął po gazetę. Popijając piwo, z zadowoleniem oglądał trzecią stronę „Kuriera” z wielką reklamą szamponu ELIDA. Lubił spływające na niego skupienie, gdy w domu panowała cisza. Kolejny raz zlustrował rycinę polskiego bombowca P-37 „Łoś”, który na wystawie lotniczej w Białogrodzie okazał się międzynarodowym szlagierem, a potem nagle przypomniał sobie ohydne zaproszenie, które pokazał mu Manio. Coś, co wryło mu się w pamięć i prześladowało go przez cały dzień: dwie zrośnięte czołami główki z rozlanego czerwonego atramentu i szkic Diany stojącej w rozkroku na kamiennym postumencie niczym łyżczakowska kurwa. Intencje artysty

były jasne: niedługo na Rynku pod ratuszem ma się rozegrać kolejny dramat.

Środa, 11 maja

Tego dnia na ostatniej stronie „Kuriera”, obok reklamy proszków od bólu głowy „z kogutkiem”, pojawił się rysunkowy żart przedstawiający chmurę, która uparła się rzucać cień na wielkie królewskie miasto. Karykaturzysta (ukryty pod inicjałami R.Z.) narysował olbrzymiego goryla pałaszującego pomarańczę. Tą apetyczną pomarańczę była oczywiście wypięta pod niebo kopuła kościoła Dominikanów.

– Nie bawi cię ten dowcip? – Stern spojrział na Wilgę zza gazety.

– Nie zmieniaj tematu! – odpowiedziała rzeczowo. – Odnoszę wrażenie, że kręcimy się w kółko, a może lista, którą mi dałeś, jest za krótka?

– Bardzo proszę, możesz mnie do niej dopisać!

Wilga odczekała, aż zrobi tę swoją minę zbitego psa.

– Nakreśliłam jego portret psychologiczny i jestem pewna, że to żaden z twojej gówniarzerii. Tym kimś jest koleś twojego pokroju, a nie te dzieciaki.

Stern nie przejął się jej złośliwością.

– Zięba sprawdzał mnie sto razy. Ja mam alibi!

– Tu nie chodzi o twoje gówniane alibi! – syknęła, zabierając mu gazetę. – Ten ktoś ma wyraźną przyjemność w układaniu makabrycznego pasjansa. To nie jest jakieś tam dźgnięcie kosą na Łyczakowie. – Spojrzała z góry na Sterna. – Kiedy pracowałam w łódzkim „Kurierze”, zainteresowałam się nowoczesną teorią kompensacji, wymyśloną przez Adlera. Facet wykładał na Columbii i zmarł przed rokiem w Aberdeen, w Szkocji.

Stern wytrzeszczył oczy, udając zaszłuchanego studenta.

– Proszę cię, nie błaznuj. Jego teoria stara się wyjaśnić nieracjonalne zachowania ludzi. Kompensacja to takie działania w zamian, rozumiesz?

Wyrównanie rachunków. Jeśli czegoś nie mogę zrobić, to mogę zrobić coś innego – coś, co podniesie mój prestiż.

– Jeśli nie mam wyboru?

– Zgadza się. Mogę wykonać inne, równie skomplikowane zadanie, aby odczuć tylko satysfakcję. To tak, jakbyś zrezygnował z pracy dziennikarskiej i na nowo poświęcił się uczelnianej karierze.

– Nie bądź wredna!

– Staram się, jak umiem, wyjaśnić ci mechanizm zjawiska. Według mnie ten ktoś, kogo szukamy, w podobny sposób realizuje swój plan, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

Stern przez chwilę milczał, a potem nagle uderzył pięścią w biurko.

– Mam! Całkiem wyleciało mi z głowy. Jest jeszcze jeden student, którego nie wzięliśmy pod uwagę.

– Kto?

– Był u mnie trzy, może cztery razy i po pamiętnych ćwiczeniach przeniósł się do innej grupy.

– Wreszcie zaskoczyłeś! Powiedz o nim coś więcej! – Poderwała się zaciekawiona.

– Ma na imię Robert. Nazwisko... Balecki... Nie, Barecki! Wysoki, krótko ostrzyżony blondyn. Przeciętny, nic specjalnego, nic, co mogłoby się rzucać w oczy. Chociaż... może rozkołysany chód i wysportowana sylwetka? Nosił granatową marynarkę i stalowoszary krawat. Widziałem, jakim wzrokiem ten szczeniak patrzył na Sarę, był chyba też zazdrosny o Szymona.

– Coś mi się wydaje, że tych adoratorów było więcej? – Spojrzała na niego pytająco.

Stern nie przejął się jej komentarzem.

– Ktoś mi powiedział – ciągnął – że to syn oficera, który przywłaszczył sobie pułkową kasę i został za to zdegradowany. Głośna sprawa. Były naciski z góry i Manio próbował ją wyciszyć. Oskarżenie ojca zbiegło się

z rezygnacją chłopaka z moich zajęć. Cała grupa zaczęła go bojkotować. Koledzy nie chcieli mu podawać ręki, a koleżanki nie odpowiadały na „dzień dobry”. Facet ze wstydu mało nie zapadł się pod ziemię.

– Gdzie moglibyśmy go znaleźć?

– O ile mnie pamięć nie myli, należał do jakiejś uczelnianej reprezentacji. Zapasy albo boks. To jeden z tych biedaków, których rodzice na siłę pchają na uniwersytet. Może być w sali treningowej albo na zawodach. Pewnie ćwiczyc pady albo grzmoci w worek treningowy, zamiast studiować logikę. Jeśli mnie zobaczy, może się czegoś domyślić. Byłoby lepiej, gdybyś ty spróbowała z nim pogadać i...

– Dzięki za propozycję. Mam go poprosić, żeby zademonstrował na mnie próbkę swych umiejętności?

Stern nabrał potężny haust powietrza i nie czekając, aż Wilga się rozmyśli, zadzwonił do dziekanatu i zapytał o Bareckiego. Dowiedział się, że jego dawny seminarzysta zaniedbuje naukę, skupia się wyłącznie na treningach i prawdopodobnie wkrótce będzie skreślony z listy studentów.

Sekretarka powiedziała też, że zajęcia sportowe sekcji boksu odbywają się przed obiadem w sali treningowej przy stadionie Pogoni i właśnie tam, według wszelkich znaków na niebie i ziemi, powinien się teraz znajdować pan Robert.

– Zaprowadzę cię tam. Będę w pobliżu, a gdyby coś ci groziło... – Stern nie ustępował.

– To co? Mam zawołać trenera?

– A wiesz, że to niegłupi pomysł. – Jakub uśmiechnął się pod nosem.

– A dalej?

– Zrób z nim wywiad. Dam ci welteksa. Na początek pstrykniesz mu kilka zdjęć, a potem, jak przystało na panią psycholog z dyplomem, będziesz obłaskawiać jego rogatą duszę.

Było dwadzieścia po pierwszej, gdy Jakub i Wilga dotarli na stadion niedaleko parku Kilińskiego. Tak jak się umówili, Jakub siadł na ławce kilkadziesiąt metrów od wejścia, a Wilga weszła do sali sportowej.

Dawno nie była w takim miejscu. Ostatnio chyba przed czterema laty, uczęszczała wtedy na zajęcia z wychowania fizycznego na studiach. Kiedy padał deszcz, grywała w tenisa lub kometkę. Tyle że u nich panował błogi spokój, tu zaś słychać było odgłosy walki i przeraźliwie śmierdziało męskim potem.

Rozejrzała się, a potem pewnym krokiem podeszła do posiwiąłego pana w białym sportowym stroju, wyglądającego na trenera.

– Nazywam się Wilga de Brie, jestem dziennikarką „Kuriera”. Na pewno zna pan mojego kolegę, redaktora Stanisława Długolątę. Dziś mam napisać za niego tekst o panu Robercie Bareckim. Redakcja uznała, że to talent i że warto, by czytelnicy mogli o nim coś dobrego przeczytać. Czy pozwoli mi pan zrobić kilka zdjęć i króciutki wywiad do kroniki sportowej?

– To tamten chłopak w granatowej koszulce – odpowiedział trener, wskazując gwizdkiem na sportowca podskakującego w końcu sali. – Przygotowuje się do spartakiady. Proszę z nim za długo nie rozmawiać, po rozgrzewce będzie miał ostry sparing.

Wilga gładko pokonała pierwszą przeszkodę, potem, klucząc między młodymi mężczyznami (przyglądającymi się jej z wyraźnym zaciekawieniem), dotarła do przeciwległego rogu sali, gdzie Robert Barecki wykonywał morderczą serię podskoków ze skakanką. Chłopak ciągle przyspieszał, aż skakanka zdawała się tworzyć wokół jego ciała przezroczystą bańkę.

Wilga stanęła przed nim w odległości kilku metrów i zaczęła mu się natarczywie przyglądać. Młodzieniec starał się nie zwracać na nią uwagi, lecz w końcu, zaaferowany, nadepnął na sznur.

– Czy pan Robert Barecki? – Zamachała mu przed oczami legitymacją prasową.

Osilek zamarł na moment, zastanawiając się, z kim ma do czynienia, i w końcu pod spojrzeniem Wilgi pokornie spuścił wzrok.

– Jestem dziennikarką „Kuriera”, nazywam się Wilga de Brie. – Wyciągnęła do niego rękę.

Dryblas uklonił się i milcząc, zamknął jej kruche palce w swej wielkiej, spoczonej dłoni.

– Rozmawiałam z pana trenerem. Pozwolił mi zrobić z panem króciutki wywiad. – Z ulgą wyzwoliła rękę z uścisku. – Proszę się nie obawiać. Będę czekała na pana przy wyjściu.

– A o co chodzi?

– Słyszałam o panu wiele dobrego. – Zagrała va banque. – Interesuje mnie pańska kariera sportowa.

Robert Barecki zrobił minę, jakby coś sobie kalkulował, wreszcie skinął głową.

– Jeśli trener kazał, to wyjdę – powiedział przyciszonym głosem. – Proszę zaczekać, aż się przebiorę.

Wilga, rzucając na lewo i prawo ciekawe spojrzenia, skierowała się ku wyjściu. Usiadła na ławce przy pokrytym bratkami klombie, przez cały czas obserwując spacerującego kilkadziesiąt metrów od niej Jakuba Sterna.

Na boisku po prawej stronie alejki kilku chłopaków grało w szczypiorniaka, a nieco dalej, po lewej stronie, grupka dziewcząt ćwiczyła skok wzwyż pod okiem instruktorki.

Wilga wyjęła aparat fotograficzny, nastawiła przesłonę i ostrość. Czekala. Kiedy tylko zobaczyła w drzwiach Bareckiego, błyskawicznie wycelowała i zrobiła mu kilka zdjęć.

Ubrany w nowiutki granatowy dres student podszedł do niej, krygując się jak panienska.

– Zrobiła mi pani zdjęcia?

– Tylko kilka ujęć. Nie lubię, jak ktoś pozuje, sam pan przyzna, że wygląda się wtedy nienaturalnie.

– Jasne.

– Woli pan, panie Robercie, usiąść czy pospacerować ze mną? – zapytała, starając się wczuć w psychikę rozmówcy.

– Jest mi to obojętne – odpowiedział chłopak, patrząc na nią z boku.

– W takim razie proszę, by pan przy mnie usiadł. Na początek chciałabym, jeśli pan się zgodzi, zostać pana przyjaciółką. Wiem, że brzmi to zaskakująco, lecz jeśli zdecyduje się pan ze mną współpracować, postaram się udowodnić, że zaufanie do mnie może się panu opłacić.

Barecki przygładził palcami blond włosy obcięte na jeża. Niejasny początek nie nastrajał go do zwierzeń, wyraźnie czekał na pytania. Wilga wyjęła notatnik i zaostrzony ołówek.

– A gdybym na początek zapytała o pana zainteresowania? Nasi czytelnicy uwielbiają sferę prywatną. Pewnie lubi pan muzykę? Jeśli tak, to jaką? A może czytuje pan książki?

– Owszem, lubię muzykę. Czasem słucham płyt Ordonki albo chóru Dana, ale nie mam słuchu. A na książki nie mam już zupełnie czasu. W zasadzie interesuje mnie wyłącznie sport.

– Doskonale rozumiem, sport jest wielkim wyzwaniem i całkowicie pana pochłania. – Wilga zanotowała coś w notesie. – Znakomita odpowiedź.

Po tym wstępie przeszła do właściwych pytań.

– Czy kiedykolwiek pańskie umiejętności przydały się panu w trudnej sytuacji?

– Dlaczego pani o to pyta?

– Nie sądzi pan, że życie to nieustanna walka?

Barecki znów przygładził włosy.

– Jeśli tak pani uważa – odpowiedział, uśmiechając się – ja też się z tym zgadzam.

– A gdybym zapytała inaczej. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Czy pana przeszłość nie będzie przeszkodą w pańskiej karierze?

– Nie rozumiem? – Barecki był wyraźnie zmieszany.

– Wiele karier sportowych skończyło się w głupi sposób. Bywało, że zawodnicy myśleli już nawet o igrzyskach, ale przeliczyli się, bo ukrywali coś, co...

– Czy pani mnie straszy?

– Nie mam powodu. Chciałabym tylko poznać pewien szczegół z pańskiego życia.

Robert Barecki milczał.

– Jeśli odpowie mi pan szczerze, obiecuję, że grzecznie panu podziękuję i więcej się nie spotkamy. Więc jak?

Milczał nadal.

– Czy pamięta pan, co robił pan w nocy z piętnastego na szesnastego kwietnia?

Bokser zgiął się wpół, jakby nagle otrzymał potężny cios w splot słoneczny. Oparł łokcie na kolanach, a potem powoli wyprostował się i cicho powiedział:

– Wiedziałem, że ktoś do mnie z tym przyjdzie. Wiedziałem, że tego nie da się ukryć. Boże, dlaczego mam do tego wracać?

– Chciałabym panu pomóc.

– Jak? Tego nie da się cofnąć. – Przetarł twarz wielgachną dłonią. – Z początku miałem zamiar się przyznać, ale...

– Ale co?

– To jakiś obłąd. Ja naprawdę nie mam z tym nic wspólnego.

– Więc to nie pan? – rzuciła z wyraźną kpinią w głosie.

– Nie ja! Może mi pani wierzyć albo i nie. Była między nami sprzeczka. Przetrzepałem go trochę, bo na to zasłużył. Za mojego ojca i za

Sarę. Na moim miejscu pani postąpiłaby tak samo. Szydził ze mnie przy koleżankach i kolegach. Innym też dokładał. Zapisywał swoje brednie w zeszytiku, a potem dawał wszystkim na przerwie do poczytania. Myślałem, że wcisnę mu te jego świństwa do gardła. Chciałem załatwić nasze porachunki honorowo. Przechwalał się, że mi dołoży. Umówiliśmy się wieczorem w parku, niedaleko uczelni. Bez świadków. Sama pani rozumie, że nie miał ze mną szans. Zostawiłem go w krzakach, to moja wina, ale nic poza tym.

– Nie interesowało pana, czy żyje? – blefowała Wilga.

– Kiedy odchodziłem, próbował się podnieść. Jeszcze mnie wyzywał. Byłem pewien, że za parę minut otrzepie się i pójdzie do domu. Zresztą nikt mi nic nie udowodni.

– Myli się pan. Znalazł się świadek.

– To niemożliwe! – Robert Barecki poderwał się z ławki wystraszony. – Kto to jest? Znam go?

– Tego nie mogę panu powiedzieć.

– Pani kłamie!

– Może to ustalić policja.

– Proszę tego nie robić. Trener wyrzuci mnie z drużyny.

Wilga spojrzała na boksera.

– Zastanowię się.

– Czy mogę teraz wrócić na trening? – zapytał błagalnie.

– Ależ oczywiście. Proszę tylko zapisać mi swój adres. – Podała mu notes i ołówek. – I nikomu nie wspominać o naszej rozmowie. Jeśli zajdzie potrzeba, ktoś pana wkrótce odwiedzi.

Po powrocie do redakcji wciąż się kłócili. Wilga chodziła nerwowo między biurkami, Stern zaś stał przy oknie, palił papierosa i strzepywał popiół na parapet.

– Notes? To cwany typek. Wymyślił jakiś tajemniczy zeszyt i myśli, że nas na to nabierze. Nie jest taki głupi, jakiego udaje. Ale nie zapytałaś go

o najważniejsze.

– Mianowicie?

– W jaki sposób jego poobijany sparingpartner wlażł na fontannę? I dlaczego przebił się trójzębem? Ktoś go tam musiał przywieźć albo zanieść na plecach. Zrobił to w środku nocy, a może wczesnym rankiem.

– Barecki był przerażony.

– Kapitalnie to odegrał przed tobą, a ty mu uwierzyłaś?

Wilga spokojnie przełknęła herbatę, odstawiła filiżankę i nie spiesząc się, odpowiedziała:

– To nie jest kwestia wiary.

– A czego?

– Ten facet jest niewinny i jestem tego pewna.

– Chryste, rozmawiałaś z nim kilkanaście minut. Mówiłem ci, jakim wzrokiem patrzył na Sarę? Przecież sama powiedziałaś, że do wszystkiego się przyznał.

Stern zgasił papierosa w popielniczce i siadł za biurkiem.

– Powiedział tylko, że kiedy odchodził, tamten chłopak, swoją drogą niezła kanalia, jeszcze żył. Barecki to naiwny, gamoniowaty gość. Jego miejsce jest nie na uczelni, tylko na ringu.

– A może na spacerunku w Brygidkach?

– Coś mi się wydaje, że kpisz sobie ze mnie.

– Tak samo jak ty z niego zakpiłaś, każąc mu czekać na jakiegoś wymyślonego przez siebie faceta.

– Miałam na myśli ciebie! – Spojrzała przenikliwie, kładąc przed nim wydartą z notatnika kartkę z adresem Bareckiego.

– Wybij to sobie z głowy! – Stern wyraźnie zamierzał zakończyć dyskusję.

– Więc może lepiej podnieś słuchawkę i zadzwoń do swego przyjaciela Zięby.

W milczeniu przełknął kąśliwą uwagę.

– Sama sobie z nim pogadaj! – odburknął cicho.

– Nie jesteś dziś dla mnie uprzejmy – powiedziała oficjalnie i by zakończyć niepotrzebny spór, dodała szybko: – Jest ktoś, o kim nie mamy pojęcia. Ten ktoś nie działa szablonowo. To wyjątkowo bystry obserwator, który korzysta z nadarzającej się okazji.

– Amen! – przerwał Stern i demonstracyjnie się przeżegnał.

W tym momencie zadzwonił telefon i oboje rzucili się do słuchawki. Wilga była pierwsza. Z tryumfalną miną spojrzała na Jakuba.

– Tak. Jest. Oczywiście, że mu przekażę – odezwała się poważnym głosem, potem oddała słuchawkę Jakubowi.

– Jakub Stern, słucham.

– Tu mówi ojciec. Czy mógłbyś przyjść, synu, i to zaraz? – usłyszał zdenerwowany głos.

– Naturalnie. Czy coś się stało?

– Powiem ci, jak przyjdiesz – powiedział ojciec cicho i rozłączył się. Zasepiony Jakub sięgnął po płaszcz i kapelusz.

– Co się dzieje? – Popatrzyła na niego zdziwiona.

– Zobaczymy się później – rzucił i wybiegł na korytarz.

Na Kazimierza Wielkiego dotarł w niecałe pięć minut. Po drodze zastanawiał się, co mogło się zdarzyć. Ojciec rzadko do niego telefonował. Właściwie zrobił to tylko raz, gdy jego brat Edek wyjechał bez pożegnania do Hiszpanii.

Jakub wszedł do kamienicy „Pod Koźlą” i biegiem pokonał dwa piętra. Zapukał do drzwi i już po chwili ujrzał zatroskaną, porytą zmarszczkami twarz ojca.

– Nie ma jej – usłyszał. – Wróciłem z kościoła, a jej już nie było. Jestem głupi. Poszedłem na mszę za Marszałka. Spała jeszcze. Wracam, a

jej nie ma. Szukam, przepadła. Obszedłem podwórko, pół ulicy, pytałem sąsiadów i nie wiem, nie wiem już, Kubusiu, gdzie ona jest.

Jakub przytrzymał roztrzęsioną dłoń ojca.

– Zgłaszałeś na policję? – zapytał głośno, pamiętając, że po jakimś wojennym urazie ojciec gorzej słyszy.

– Jeszcze mnie wyśmieją – fuknął ojciec. – Powiedzą, że stary Stern zwariował.

– Obiecuj, że nie ruszysz się z domu.

– Obiecuję – powiedział bezradnym głosem. – Kuba, po co ja wychodziłem?

Jakub zszedł na parter i zapukał do stróża. Drzwi otworzyła jego opóźniona w rozwoju córka. Znamię na jej czole przypominało odcisk ubłoconej kociej łapy.

Kiedy Jakub zapytał o swoją matkę, dziewczynka zaczęła chichotać.

– Tak? Daj Mańci pypkę. Mańcia ma tera przysmak smaczny, mniam, mniam.

Potem parsknęła śmiechem, pokazała palcem w dół, a potem z hukiem zatrzęsła drzwiami.

Jakub przez chwilę jeszcze stał, zastanawiając się, co dziewczynka miała na myśli, a potem zszedł do piwnicy.

Piwnica rodziców znajdowała się po prawej stronie korytarza. Wiele razy znosił do niej ziemniaki na zimę albo – najczęściej wtedy, gdy odwiedzał rodziców z Anną i Kasią – przynosił z niej na obiad przetwory.

Przekręcił kontakt i słabe światło żarówki odsłoniło ceglane ściany pobielone wapnem. Zatrzymał się i nasłuchiwał. Panowała cisza. Doszedł do końca korytarza i zobaczył znajome wejście z wymalowaną kredą dziewiątką. Na skoblu nie było jednak kłódki. Zaintrygowany pchnął drzwi i zajrzał do środka. Omal nie zemdleł z wrażenia. Na drewnianym stołeczku siedziała jego matka i bawiła się zostawioną przez Kasię szmacianą lalką.

– Teraz dam jej pić – powiedziała, patrząc na Kubę – a potem Mania pójdzie grzecznie spać.

– W domu damy jej pić, mamo. Musimy iść, bo Mania jest zmarznięta i głodna.

– Tak, damy jej pić w domu – zgodziła się, wychodząc z nim posłusznie, tak jakby w tym momencie zakończyła zabawę.

Kuba sięgnął jeszcze na półkę po butelkę z sokiem malinowym i wek z piklami, a potem zamknął piwnicę i zaprowadził matkę do mieszkania.

Ojciec miał łzy w oczach. Zabrał przetwory od syna i roztrzęsiony poprosił go, by został z nimi jeszcze kilka chwil, aż przyjdzie pielęgniarka. Jakub niewiele mówił. Słuchał żalów ojca i potakiwań matki, która znalazłszy się w swoim mieszkaniu, znów była zwyczajną panią Stern.

Kiedy przysłała pielęgniarka, ojciec poczuł się pewniej.

– Możesz już iść, chłopcze – oznajmił dziarsko. – We trójkę damy sobie radę.

– Damy sobie, łobuziaku, radę – zapewniła matka, przytulając się do męża. – Odwiedźcie nas w niedzielę!

W drodze do redakcji, przywołał w pamięci odległe zdarzenie, które tkwiło w nim jak zadra. Miał wtedy pięć lat. Poszedł z rodzicami na festyn odbywający się na rynku. Rodzice na chwilę spuścili go z oczu i natychmiast zgubił się w tłumie. Na próżno zapłakany ich szukał, przeciskając się przez tłum dorosłych, i wtedy jakaś miła kobieta wzięła go za rączkę. Opowiedziała historię o biednym ptaszku, który wypadł z gniazdka, i zaprowadziła do swego domu przy czarnej kaplicy Boimów.

Nieznajoma prosiła, by zwracał się do niej „ciociu”, a była bardziej czuła (ta myśl utkwiała mu w głowie) niż rodzona matka. Kiedy zapadł zmierzch, „ciocia”, przykładając palec do ust, zaprowadziła go do wnętrza kaplicy i pokazała pod sufitem uśmiechniętego aniołka. Powiedziała, że właśnie on jest takim aniołkiem, którego będzie strzegła do końca życia.

Spodobała mu się ta zabawa. Zgodził się być aniołkiem u nowej „cioci” i pewnie zostałyby z nią dłużej, lecz po trzech dniach poszukiwań jego przygodę przerwała policja. Nad ranem wyważono drzwi i uwolniono go z niewoli.

Jakub pamiętał, że płakał i chciał pójść za nową „ciocią” na komisariat. Cóż, jego mama nie miała tak pięknych niebieskich oczu ani wspaniałego obrazka na ścianie, z którego uśmiechała się Matka Boska.

Ale przygoda zdradziła też pewną tajemnicę – Edek, starszy o trzy lata brat, wcale nie był zmartwiony jego zniknięciem. Już następnego dnia przeniósł do swego pokoju jego najlepsze zabawki, utrzymując, że teraz mu się należą. Mały Kuba miał ochotę go za to zabić. Ta myśl zapadła w nim na długo. I zawsze, ile razy pomyślał o nieobecny bracie, wracały do niego te wstydlive wspomnienia.

Teraz dorosły Edek zaszył się gdzieś w Hiszpanii i nie dawał znaku życia. Może strzelał do pikujących samolotów z Legionu Condor w Sierra de Guadelupe? Jakub Stern przeglądał niedawno „Polskę Zbrojną”. Informacje z hiszpańskiego frontu nie robiły już na nim wrażenia. Europejski kocioł wrzał od miesięcy, przygotowując się do bardziej spektakularnych fajerwerków.

Siedzieli na poddaszu, w małej redakcyjnej kawiarence otwieranej tylko dla specjalnych gości. Andrzej Zięba wpadł, jak utrzymywał, całkiem przypadkowo. Odwiedził naczelnego, a potem, korzystając z okazji, zaszedł do Sterna na pogawędkę.

– Więc nigdy nie spotykałeś się z Sarą Reddig? – zapytał, starannie oglądając obgryzione paznokcie. – No, chłopie, przecież wiem, że się z nią spotykałeś. Mam ci podać daty i miejsca?

– Musiałem z nią coś wyjaśnić.

– A więc jednak! – Inspektor nie krył zadowolenia, że dziennikarz nabrał się na jego starą sztuczkę. – To było z twojej strony nierozważne.

Młody, atrakcyjny asystent uwodzi studentkę o złotych włosach, które potem...

– O co ci chodzi? Chcesz, żebym się, kurwa, do czegoś przyznał? Że to właśnie ja jestem tym czubkiem, który tylko czeka, by obedrzeć kogoś ze skóry? – Stern stracił wreszcie cierpliwość i zaczął się drzeć. – Tak, spotykałem się z nią, nie pamiętam ile razy. To się zaczęło niewinnie i Anna nie może się o tym nigdy dowiedzieć. Mała zapraszała mnie do swojej kawalerki na Zamarstynowie, niedaleko pętli tramwajowej. Niekrepujące wejście, wiecznie pijany stróż. Robiła kolację, zapalała świece, puszczała z gramofonu muzykę, siadała naprzeciwko mnie w rozchylającej się podomce... Właśnie to chciałeś usłyszeć?

Jakub nie uważał tego za zdradę, chociaż kilka razy leżał z nią w łóżku. Dotykał jej nabrzmiątych piersi, pieścił je, całował, lecz było to raczej poddanie się instynktowi niż wyrachowana gra obliczona na zrujnowanie związku z Anną. Jakaś dziwna wzajemna fascynacja sprowadziła ich na manowce i musieli się z tym kryć. Zwłaszcza Sara, której spojrzenia rzucające w jego kierunku mogłyby ich zdradzić na uczelni. Jak do tego doszło, że porażeni szaleństwem obmyślali te ociekające krwią historie? Uzupełniali się w swych fascynacjach, doprowadzając się niemal do obłędu.

Nagle Stern przypomniał sobie, jak to Sara w swoje urodziny wypijała za dużo wina i kazała mu przywiązać się do łóżka.

– Zgłupiałaś? Nigdy tego nie zrobię!

– Proszę cię, Kuba! Nie znasz się na żartach? No, nie bój się, tchórze. To tylko taka zabawa!

Sam nie wiedział, dlaczego jej wtedy posłuchał. Może dlatego, że była zjawiskiem i to ona rozdawała karty w tej grze? Podniecona zdjęła jedwabną halkę w czerwone serduszka. Spojrzała mu dziko w oczy, jakby nakazując rozpoczęcie generalnej próby. Wtedy przywiązał ją do łóżka i nagle oboje zamienili się w wygłodniałe bestie. To był stan uniesienia,

jakiego nigdy przedtem nie przeżywali. Jakub się przeraził. Przyłapał się na myśli, że po przekroczeniu mrocznej granicy mógłby z łatwością dokonać tego, co wymyśliła Sara.

Po tym spotkaniu opamiętał się. Miał zamiar z nią zerwać, zastanawiał się, kiedy jej to powiedzieć, lecz wciąż brakowało mu odwagi. Gdyby nie jej nagłe zniknięcie i tragiczna śmierć (niczym biblijna kara za grzechy), wszystko mogłoby się jeszcze zdarzyć.

Zięba, widząc zamyślenie Jakuba, uśmiechnął się tryumfalnie. Gotów był poklepać dziennikarza po plecach, byleby ten nie przerywał i dociągnął do momentu, który on uzna za niezbity dowód.

– Mieliśmy wiele wspólnych tematów – ciągnął Stern, przypominając sobie zakrwawioną jedwabną halkę, którą zobaczyli z Wilgą wtedy, w rotundzie.

– W to nie wątpię – przerwał mu inspektor i otworzył nową paczkę papierosów. Podsunął dziennikarzowi, a kiedy ten odmówił, sam wyjął papierosa, z namaszczaniem przetoczył go między palcami, obwąchał i zapalił.

– Interesowały ją patologie – dokończył Jakub. – Czasem jakaś niezrozumiała siła ciągnie te niebiańskie istotki...

– Jak ćmy do płomienia świecy? – powiedział przymilnie inspektor. – A jak wszystko jej precyzyjnie wyjaśniłeś, wtedy nie wydała ci się już tak ponętna, co? Pomyślałeś sobie, że gdyby Anna dowiedziała się o waszych spotkaniach, całe wasze życie zamieniłoby się w kupę gówna. A ta perspektywa...

Stern poderwał się i obrzucił inspektora nienawistnym spojrzeniem.

– Przepytywałeś mnie sto razy. Jeśli wiesz, że to ja, dlaczego mnie nie aresztujesz?

Zięba nie ruszył się z miejsca, a cyniczny uśmieszek nie schodził mu z twarzy. Patrząc na Jakuba, zaciągnął się z lubością i powoli wypuścił dym.

– Coś sobie przypomniałem.

– Co takiego?

– Ile to razy upokorzyłeś mnie tą swoją chamską, dziennikarską butą. Ile razy robiłeś ze mnie przy świadkach balona. Te konferencje prasowe, na których musiałeś błyszczeć moim kosztem, te wredne docinki przy moich kumplach. Zabrakłoby palców u rąk i nóg, żeby to wszystko zliczyć, a teraz błagasz mnie o łaskę? Mam pominąć w raporcie, że u niej bywałeś, że była twoją kochanką?

Stern siadł naprzeciw Zięby z założonymi rękami.

– A czy powiedziałem ci, że była? – zapytał cicho.

– Przecież sam przyznałeś przed chwilą, że puszczała płyty i zapalała świece...

– Tylko to, nic więcej. A to „więcej” jest o wiele ciekawsze od tego, co do tej pory słyszałeś.

Zięba bezwiednie zagryzł papierosa. Zawsze tak robił, gdy się denerwował. I teraz poczuł w ustach szczypiące wiórki tytoniu, które zaczął zbierać z języka i wściekle wrzucać do popielniczki.

– Zazdrościsz mi? – Dziennikarz nie ustępował.

– Co powiedziałaś?

– Że mi teraz zazdrościsz!

– O czym ty, hebesie, bredzisz?

– A o tym, że poleciała na mnie najładniejsza studentka z całego wydziału, że spędziliśmy razem dziesiątki godzin i że byliśmy z sobą szczęśliwi. Proste? Tego nie można kupić w twoich tanich burdelikach, tego się nie da zamienić na żadne pieniądze. Miałaś jakieś kobiety, wiem, że miałaś, lecz nie wytrzymały z tobą, bo żadna normalna baba z tobą nie wytrzyma.

Zięba zrobił się szary na twarzy. Nawet w najczarniejszych snach nie przypuszczał, że Stern tak mu się odwzajemni, że jego pycha wylezie z niego jak słoma chamowi z butów.

– Przepraszam – usłyszał. – Zagalopowałem się, ale...

– Ale? – Zięba spojrział na niego spode łba. – A ja cię, kurwa, kwadrans temu broniłem przed naczelnym. Nadstawiałem za ciebie pierś jak za rodzzonego syna. I tak mi się teraz odwdzięczasz?! Dochodzą do mnie niepokojące wieści, że próbujesz robić coś na własną rękę i wciągasz do gry tę nawiedzoną gówniarę. Jej też chcesz zaimponować? Wiem, że parę razy była na uniwersytecie i spotykała się ze studentami! Ludzie wpadają po tych zabójstwach w histerię i wszystko mi donoszą, nawet to, że twoja Wilga de Brie, czy jak jej tam, przebrała się za sprzątaczkę! Łaziła po korytarzu ze szmatą i wiadrem. Rozpytywała monterów, robiła „po kryjomu” zdjęcia, zaglądała do sal wykładowych i do dziekanatu... – Inspektor zawiesił głos. – Oczywiście możesz milczeć, masz do tego prawo, ale ostrzegam cię...

– Po co kluczysz? – zrewanżował się Stern ze złością. – Mam do ciebie zadzwonić? I zdać ci relację?

– Kuba, do niczego cię nie zmuszam. I tak zrobisz po swojemu!

Obrażony Zięba ostentacyjnie włożył rękę do kieszeni i wyszedł bez pożegnania.

Po spotkaniu z inspektorem Stern nie miał już nastroju do pracy. Przez chwilę jeszcze siedział w kawiarence, przeklinając w duszy namolnego policjanta, a potem zszedł do swego pokoju. W pośpiechu włożył płaszcz, zabrał kapelusz i teczkę i wyszedł do domu, zapominając nawet pożegnać się z Wilgą. Po drodze odebrał z sekretariatu zaadresowaną do siebie przesyłkę.

Naprzeciwko kancelarii mieściła się „depeszownia”, w której siedział stary Fred Organista, przezywany Maczałą. Od wielu lat przynosił na biurko naczelnego (wpierw Krezusa, a teraz Mania) najnowsze depesze. Kiedyś był wziętym redaktorem i tak jak Jakuba interesował go lwowski pitawał, ale się rozpił, i tylko ze względu na jego chlubną dziennikarską przeszłość Manio nie miał sumienia wyrzucić go na bruk.

Mimo starań nie udało się przejść Sternowi niepostrzeżenie obok nudzącego się jak mops kolegi. Maczała wychylił się błyskawicznie ze swej kajuty.

– Mam cię, Kubuś – rzucił poufale. – Nie zajrzysz do mnie?

– Spieszę się, może innym razem.

– A jeśli chowam dla ciebie coś ekstra?

– Co znowu?

Fred wyciągnął depezę i wtedy doleciał do Sterna wyraźny zapach ćmągi.

– Przed chwilą PAT podała, że w okolicy Wilna wściekła wilczyca zagryzła siedmioletniego brzdąca – powiedział, łapiąc go za ramię.

– Fred, nie mam dziś nastroju do żartów – rzucił Stern i siłą uwolnił się z objęć pijanego kolegi.

– Kuba, jesteś podły! – krzyczał tamten. – Zapomniałeś, że gdyby nie ja, byłbyś zerem!

Jeszcze przez kilka godzin nie był zdatny do życia. Jak za dawnych czasów, kiedy harował jak wół po nocach, wszedł do swego gabinetu, zamknął się na klucz, a potem rzucił na kozetkę i momentalnie zasnął.

Wessała go przeraźliwa pustka. Czerń tak idealna, jakby w ogóle nie istniał. Kiedy wreszcie się obudził, nie pamiętał żadnego snu ani myśli, nie czuł też lewej ręki, którą przydusił ciałem do oparcia. Przez kilkanaście sekund przywracał ją do życia, czekając, aż ustąpi mrowienie. Wreszcie podniósł się i z niewyraźną miną zszedł do Anny.

– Spałem – oznajmił, przecierając twarz.

– Wiem, Magda mi powiedziała. Dzieci nie doczekały się tatusia i poszły do łóżek, a ja od godziny czekam na ciebie z kolacją. – Podsunęła mu kanapki z wędzonym łososiem i zieloną herbatę w chińskiej filizance z żurawiem, którą tak lubił. – Boże, co za dzień, ile było cudownych wrażeń.

– Na jeden dzień aż zanadto – zauważył Jakub, przypominając sobie telefon od ojca, matkę w piwnicy, a na koniec przygnębiającą rozmowę z bezczelnym Ziębą.

– Muszę ci się pochwalić: szef chce dać mi podwyżkę.

– Lepiej niech da, a nie opowiada – powiedział z przekorą, odstawiając filiżankę.

– Nie wygłupiaj się. To solidna firma.

– Nie taka jak moja?

Przełknęła jego kąśliwą uwagę, bo miała wobec niego inne plany. Patrzyła na Kubę pożądlivym wzrokiem, jakby nie widziała go od miesiąca.

– Co tak mi się przyglądasz?

– Cieszę się, że jesteś. Chyba mogę mieć swoje marzenia?

– Jakie? – zapytał, unikając jej wzroku.

– Chciałabym być dziś w pewnym miejscu! – Przeciągnęła się zmysłowo. – Ale wiem, że to niemożliwe!

– Gdzie?

– W stolicy Rzeszy, w Berlinie!

– Oszalałaś?

– Nie czytasz własnej gazety? Wczoraj otwarto tam międzynarodowy kongres ogrodniczy pod znakiem...

– Hakenkreuza?

– Pod znakiem róży! – powiedziała, udając obrażoną i obracając się do niego plecami. – To dla mnie największe święto. I nie ma nic wspólnego z głupią polityką, o której w kółko gadają nudni faceci!

– Jasne, „Róża jest różą, jest różą, jest różą” – wyrecytował. Potem wstał i niespodziewanie pocałował Annę w obojczyk, aż przeszedł ją dreszcz.

Kwadrans później leżeli już w łóżku i kochali się. Jakub jednak wciąż widział przed oczami Sarę, która z przyłożonym do ust palcem

nakazywała mu milczenie.

Anna szybko zasnęła. Zwykle zasypiała pierwsza, tak było i teraz. Lekko spocona i zrelaksowana leżała na wznak, równo oddychając. Jakub ostrożnie odchylił kołdrę i jak złodziej wykradł się z sypialni. Po cichu poszedł do gabinetu, uważając, by nie stanąć na czwarty stopień schodów, który niemiłosiernie skrzypiał.

Chciał jeszcze przed snem się upewnić. Siadł przy biurku, zapalił lampkę i wyjął z teczki przesyłkę, którą po południu zabrał z sekretariatu. Sam nie wiedział, dlaczego było to takie ważne, ale musiało być ważne, skoro przeczucie nie dawało mu zasnąć.

Precyzyjnym ruchem przeciął nożykiem brzeg koperty. Włożył dłoń do środka i wyciągnął coś, czego nie powinno się oglądać w nocy – zakrwawiony szkolny zeszyt.

Zaklął z wrażenia. Ostrożnie obrócił pierwszą kartkę z odciskami czyichś palców. Zaciekawiony kartkował kolejne strony i nagle go zamurowało. Czytał własne słowa, te, które wypowiadał w czasie ćwiczeń. Swoje dowcipy, a nawet opisy pauz, które ktoś dla kawału zaznaczył muzyczną fermatą. Zapis był połączeniem skrótów stenograficznych, odsyłaczy i rysunków. Na planie sali zaznaczone były w kółeczkach pierwsze litery imion odpowiadające miejscom, gdzie siedzieli słuchacze. Na kolejnych stronach znajdowały się szkice uczestników ćwiczeń. Jeden z nich przedstawiał doskonały profil Sary Reddig z gwiazdą Dawida nad czołem i podpisem „Jude”, inny sylwetkę Szymona Lacha w pozie rzymskiego mówcy z podpisem „zdrajca”. Robert Barecki przedstawiony został jako sportowiec w pasiaku, z adnotacją „syn złodzieja”. Kolejny rysunek przedstawiał Różę Winkler jako mysz w czarnych okularach ze sterczącymi warkoczykami, która przez dziurkę od klucza podgląda kąpiącego się faceta w masce. Na następnej stronie Stern znalazł wianuszek papużek nierozłączek,

troskliwie poprawiających sobie zatknięte w zadki piórka: Rutę, Joannę, Amelię i Zytę.

A więc to jest ten zeszyt Pawła Zimmera, o którym Wildze opowiadał Barecki? Z łatwością rozpoznał pozostałych studentów. Na samym końcu tego dziwaczego albumu nieoczekiwanie odnalazł siebie. Rysownik wypunktował wszystkie jego cechy, zachowując właściwe proporcje: Jakub stał wyluzowany, oparty o katedrę, z jedną ręką uniesioną jak u kabaretowego konferansjera, drugą zaś schowaną w kieszeni. I podpis – „Stary błazen!”.

Ten komentarz rozsierdził go. Miał ochotę podrzeć zeszyt, a jeszcze większą go spalić. Czym był ten notatnik? Z pewnością nie materiałem do zaliczenia jego seminarium. Nieocenzurowaną studencką fantazją? Niezafałszowanym opisem zdradzającym nieprzeciętny talent i spaczony charakter Pawła Zimmera?

W jednej chwili wróciły wspomnienia. Przypomniał sobie, jak świetnie czuł się, pracując na uniwersytecie. Nowa rola, którą objął po Kanclerzu, dawała mu ogromną satysfakcję. Prowadził ćwiczenia w ramach seminarium dla przyszłych prawników. Jego zajęcia stały się wśród studentów modne, a dyskusje z Pawłem Zimmerem, przystojnym nacjonalistą, przerodziły się w prawdziwą wojnę na słowa, zwłaszcza gdy szczeniak próbował udowodniać przed innymi swoją rasową wyższość.

Jakub postanowił pokazać ten dokument Wildze. Ciekaw był jej reakcji. Kiedy skończył lekturę, schował brulion do koperty, a kopertę do teczki. Ostrożnie zszedł po schodach na dół i znów przytulił się do Anny. Długo czekał na sen, lecz ten nie nadchodził. Przyszły za to pytania i wątpliwości. Przypomniał sobie profil Sary i jej zakrwawioną halkę znaną w rotundzie.

Czwartek, 12 maja

Tego dnia Długi przyniósł do redakcji prześmiewczą piosenkę krążącą na mieście i powtórzył ją Sternowi na ucho: „Mój słodki Lwowi, ty Lwowi mój, chmura ci mówi, że tyś jest...”.

– I myślisz, że to zabawne? – zapytał Jakub.

– No chyba! – potwierdził Długolato, poprawiając druciane okulary. – Nie bądź sztywniakiem. W naszej pracy potrzebny jest czasem luz. – I porozumiewawczo mrugnął. – Poza tym wiesz, co było wczoraj?

– Środa?

– Nie udawaj wariata; rotmistrz Rilke wygrał na Bimbusie nagrodę Prezydenta RP!

– Jasne, serdecznie ci gratuluję, a skoro już się napatoczyłeś, mam do ciebie mały romans – powiedział Stern, wykorzystując to, że okularnik był w dobrym humorze. – Zawsze chwaliłeś się, że masz w tym mieście niesamowite chody i że potrafisz załatwić wszystko, co Bozia wymyśli. Prawda?

– Czego znowu chcesz? – Długolato spojrzał podejrzliwie.

– Potrzebuję małego krzaczka róży.

– Masz go jak w banku! – powiedział Długi zrozumiawszy. – Mój brat ma szkółkę krzewów na Hołosku. Jeden telefon i...

– Tak, ale to specjalna róża. Obiecałem ją Annie na urodziny. Nazywa się „Marechal Niel”. Muszę ją mieć, choćbym miał stanąć na głowie.

Długolato zapisał nazwę na kartce.

– To gdzie ją podesłać?

– Podrzucić ją w poniedziałek z samego rana na mój adres. Tylko pamiętaj, to ma być tajemnica!

O dziesiątej trzydzieści Wilga wyszła do działu kulturalnego, do Halinki, dowiedzieć się czegoś o losie hrabiny Oktawii Wielopolskiej aresztowanej przez hitlerowców za szpiegostwo. Kiedy jej kroki ucichły na korytarzu, Stern sięgnął do teczek. Teraz interesowała go tylko jedna sprawa, o której jednak cały świat milczał. Z papierosem w kąciku ust, popijając gorącą kawę, którą zaparzył w przyniesionym z domu ulubionym kubeczku, zaczął dokładnie wertować zapisany przez Pawła Zimmera zeszyt.

Rozchwiane pismo nie ułatwiało mu zadania. Litera „t” łudząco przypominała „ł”, a „g” wyglądało jak pokracczne „y”. Musiał więc pokonać zaporę czyjegoś stylu, by wreszcie zmierzyć się z tekstem. Chorobliwa nienawiść, która sączyła się z każdego zdania, wywoływała obrzydzenie.

To właśnie o tym zeszycie wspominał Wildze wczoraj Robert Barecki. Młody autor dostał od niego to, na co zasłużył. Jego zmasakrowane ciało znaleziono w marcu na fontannie Neptuna pod miejskim ratuszem. Kto jednak i po co wysłał do redakcji jego zapiski na nazwisko Sterna? Na te pytania mogła mu pomóc odpowiedzieć tylko Wilga.

Kiedy więc wróciła, Jakub przełamał opór i pokazał jej brulion.

– Jasne, kiedy braknie wam pomysłu, zwracacie się, dżentelmeni, o pomoc do słabych kobiet?

– Co cię ugryzło?

– Tym gadaniem tylko pogarszasz swoją sytuację – odpowiedziała, ale zaciekawiona wzięła zeszyt do ręki. – Teraz mów bez podlizywania się: o co chodzi?

– To jest dziennik Pawła Zimmera.

Gwizdnęła z przejęcia.

– No, no. Skąd go masz, detektywie?

– To bardzo długa historia. Jakiś goniec przyniósł go wczoraj do redakcji na moje nazwisko.

– Święty Mikołaj, który spełnia twoje życzenia?

Wolno przewracała kartki, coraz bardziej zaaferowana.

– Kompletnie szaleństwo – orzekła wreszcie. – Facet spisywał swoje kompleksy i słusznie nasz utalentowany sportowiec przetrzepał mu skórę. Przesadził tylko w tym wyrównywaniu rachunków. Kogo my tu mamy? Szymon, Sara, Robert – zaczęła odczytywać imiona. – Chwileczkę, tu jest też coś o tobie. Całkiem udana karykatura i podpis: „Stary błazen”.

Stern wyrwał jej zeszyt.

– Co o tym sądzisz?

– Ma trochę racji. – Zaśmiała się ze swego dowcipu. – Ale mówiąc serio, wygląda na to, że Paweł Zimmer wyraźnie z tobą rywalizował. Chciał udowodnić, że mógłby z łatwością zająć twoje stanowisko.

– I to właśnie pani psycholog wyczytała z tych bazgrołów?

– Pani psycholog wie, że większość ludzi maluje takie sympatyczne widoczki w swoich głowach i całe szczęście, że ich nie widać. Pewnie słyszałeś o teście Hermanna Rorschacha, który składa się z dziesięciu atramentowych plam. Można na jego podstawie powiedzieć co nieco o zaburzeniach osobowości. Proponujesz mi teraz, bym zobaczyła w tych bazgrołach coś, czego ty nie widzisz?

– To ma być dowód niewinności Bareckiego?

– Tylko tego, że chłopak mówił prawdę.

Wilga obróciła kilka kartek i zatrzymała się na pominiętej przez Sterna karykaturze.

– Spójrz! Znowu ten facet o idiotycznym przezwisku Maska! Katowskie ubranko, wykałaczką w zębach i wianuszek dziewcząt liżących mu buty. Rzuć okiem na ten podpis! *Lex retro non agit*. Prawo nie działa wstecz.

– Emilian Kanclerz, Maska, za którą chytrze ukrywał swoje niezdrowe instynkty! – powiedział Stern. – Okazuje się teraz, że byłem jego konkurentem.

– Ja też się czegoś o nim dowiedziałam. Wczoraj zaszłam do biblioteki uniwersyteckiej, a przy okazji starałam się skonfrontować twoje opowieści z relacjami studentów. Sam mówiłeś, by sprawdzić każdy wątek. Dałeś mi rozpiskę z nazwiskami, ale ta twoja studenteria ze strachu nabrała wody w usta. Udało mi się zdybać jedną spanikowaną panienkę, która „w wielkiej tajemnicy” powiedziała, że była przyjaciółką Sary. Przedstawiła się jako...

– Róża Winkler?

– Zgadza się. Mała, szczupła brunetka z mysimi warkoczykami. Zarzekała się, że wszystko powiedziała już policji. Poprosiłam ją, by zaprowadziła mnie do twojej salki ćwiczeń. Na szczęście była otwarta. Weszłyśmy i Róża wskazała mi, gdzie kto wtedy siedział. Po kolei zajmowałam miejsca tych, którzy, no wiesz, i przez chwilę starałam się myśleć tak jak oni. Potem jak ty stanęłam za katedrą i wtedy przyszło mi coś do głowy. Nie będziesz się śmiał?

– Mów! – Stern siadł nas brzegu biurka i zapalił papierosa.

– Opowiedz mi jeszcze raz o zakończeniu ostatnich ćwiczeń. Co się stało, gdy...

– Nie chcę do tego wracać! – próbował ją zbyć.

– Co powiedziała Sara, kiedy skończyła omawiać swój scenariusz? Jakich użyła słów? Nie obrażaj się, tylko rusz swoim zapleśniałym mózgiem!

– Powiedziała: „Wybrałam trzy ofiary. Pozostawiam jeszcze jedno wolne miejsce. Mam nadzieję, jeśli pan się zgodzi, że wypełnimy je na następnych ćwiczeniach”. Zgodziłem się i oświadczyłem, że dalszy ciąg niezwykłego planu poznamy za tydzień. Ale do czego zmierzasz? – Spojrzał badawczo i nerwowo zaciągnął się dymem, lecz widząc, że Wilga demonstracyjnie kaszle, zgasił papierosa w popielniczce.

Otworzył okno. Spojrzał na ulicę, w stronę Legionów, i wyłowił ze stojącej na przystanku grupki pasażerów chudego, dłubiącego w nosie

policjanta, a potem przeniósł wzrok na sam środek ciemnej chmury, jakby w niej ukryta była ostateczna odpowiedź.

– Może jest jeszcze ktoś – usłyszał – kto wbił sobie do głowy ten wasz cholerny wzór. Jego też zaintrygowało to puste miejsce ze znakiem zapytania. Ten ktoś bawi się teraz z nami w kotka i myszkę i rozmyślnie wskazuje fałszywy ślad.

Stern widział, że Wilga rysuje coś na kartce, wyprowadzając strzałki, że przekreśla podane przez niego nazwiska. W końcu spojrzała na niego z tajemniczą miną.

– Masz jakieś podejrzenie? – zapytał.

– Raczej pewność – odpowiedziała, uśmiechając się gorzko. – Choć możesz mieć mi to za złe.

– Kolejna zagadka?

– Czy pamiętasz ten dzień, gdy naczelny przyjechał do ciebie z propozycją powrotu do redakcji?

– Co to ma wspólnego z tą sprawą?

– Ma. To właśnie ja go o to poprosiłam.

Stern miał już dość tej dziwnej rozmowy. Nagle dotarło do niego, że od pewnego czasu nie kontroluje Wilgi, raczej biernie się jej poddaje.

– Chciałam cię sprawdzić – powiedziała, zniżając głos. – To był jedyny skuteczny sposób. I pan redaktor Stern, żywa historia „Kuriera”, tak jak chciałam, grzecznie wrócił na stare śmiecie.

– Perfidia.

Wilga uśmiechnęła się tryumfująco.

– Byłeś moim głównym podejrzanym. Serio! Czy wiesz, że przeczytałam wszystkie twoje artykuły, żeby cię zrozumieć? Wyciągnęłam z archiwum redakcyjnego kilka lat twojej harówki i przyznaję, jestem pod wrażeniem. Samobójcy, sadyści, mordercy i poczciwi złodzieje – wszyscy oni trafili pod twoje opiekuńcze skrzydła.

Zarabiałeś na nich i robiłeś na nich karierę. Budziłeś się dla nich i kładłeś się razem z nimi spać.

– Proszę, przestań.

– Jeśli czujesz się dotknięty...

– Wypchaj się!

– Oto cały redaktor Stern: zdolny i nadęty. – Spojrzała na niego ze złośliwym uśmieszkiem.

Dziennikarz zdusił w sobie żal i wściekłość. Żal, że został zmanipulowany, a wściekłość, bo Wilga użyła przeciw niemu jego wielokrotnie sprawdzonej metody.

– Niewiarygodne. Nie interesuje cię, kogo podejrzewam?

Stern wytrzymał jej zuchwałe spojrzenie.

– Teraz muszę wyjść, rano mi powiesz.

Ostentacyjnie podszedł do wieszaka. Zdjął kapelusz, wygiął rondo jak filmowy amant i spokojnie zmierzał do wyjścia.

– Stój! Jeszcze raz powiedz mi o tym facecie.

– O którym? – Jakub złapał kłamkę.

– O tym, który kazał woźnemu wytrzeć tablicę.

– Nie bądź dziecinna! Wykałaczką? – Odwrócił się i parsknął śmiechem. – Chyba nie podejrzewasz naszego zamaskowanego doktora?

– Mówię serio. Nie dotarło do ciebie, że właśnie ty przerwałeś jego uczony pochód? Nie ciekawi cię, że pozazdrościł ci sławy?

– Z tą sławą to już gruba przesada! – powiedział Stern, lecz Wilga nie zwracała uwagi na jego słowa. – Róża Winkler nie konfabuluje. Kanclerz to normalny facet. Pracuje na wydziale od kilku lat. To ostatnia osoba, którą można o coś podejrzewać. Jest... – zastanawiał się przez kilka sekund – pracowity i konsekwentny, i tego samego wymaga od studentów. Kiedy dostałem wymówienie, on jeden nie krył oburzenia. Powiedział, że tylko wyjątkowy drań mógł dopuścić się takich potworności. Podaj mi choć jeden logiczny powód, dla którego miałyby to zrobić.

– Na uczelni mówi się, że facet ma poważne problemy rodzinne. Podobno jego żona to wrak człowieka. To przez ciebie jego naukowa kariera legła w gruzach. Lont został podpalony twoją ręką, a teraz wyzwolona energia rozprzestrzenia się, siejąc spustoszenie!

– Nie zgadzam się z twoją teorią kompensacji! Pan Emilian jest właśnie tam, gdzie...

– Gdzie? Dokończ!

Stern zamarł na moment.

– Czyżbym był aż tak ślepy? – powiedział mniej już pewnym głosem.

– Co jeszcze o nim wiesz? Cokolwiek?

Stern wzruszył ramionami.

– Ambitny, nie ma zbyt wielu przyjaciół. Mieszka z żoną na Kleparowie, w willi swego ojca, który... zmarł w zeszłym roku.

– Mam pewien pomysł. – Wilga nie dała mu wytchnąć. – Jest wprawdzie nieco ryzykowny, ale właśnie w tym kryje się nasza szansa. Dowiedziałam się wczoraj, pod którym numerem mieszka twój ambitny facet. Nie pytaj, jak to zrobiłam, bo stracisz szacunek do swojej byłej studentki. Znalazłam pretekst: jego willa wystawiona jest od niedawna na sprzedaż. To niepowtarzalna okazja, by zdobyć potrzebne informacje.

Stern odwiesił kapelusz na wieszak i podszedł do okna, unikając spojrzenia koleżanki. Widział, jak do tramwaju linii 3 wsiadła grupka pasażerów. Niebieski wagon ruszył. Na przystanku pozostał ten sam chudy policjant, bezmyślnie patrzący w głąb ulicy.

– Posłuchaj...

Ponieważ do realizacji planu potrzebny był Stasio Długolato, Stern i Wilga ruszyli na poszukiwania redakcyjnego kolegi. Znaleźli go w końcu korytarza, przy „depeszowni”, gdzie czekał na najnowsze telegramy, pedantycznie przecierając chusteczką szkła w swoich drucianych okularach.

– Mamy do ciebie romans, ja i Wilga – zaczął Stern, wypychając przed siebie koleżankę. – To sprawa życia i śmierci.

– Nie żartujcie sobie ze mnie! – oznajmił flegmatycznie Długi, sprawdzając pod światło czystość szkieł.

– Więc zrobisz coś dla nas?

– Jeśli wam na tym zależy?

– Zależy. Nie będziemy chyba stać na korytarzu, może zaprosisz nas do swego pokoju?

Kiedy zamknęli za sobą drzwi, Jakub od razu przystąpił do rzeczy.

– Posłuchaj... – zaczął, udając, że podziwia puchary, statuetki, medale i patery stojące na półkach i w szafie za szkłem. – Ta młoda i śliczna dama potrzebuje przystojnego i energicznego męża. Okazuje się, że tylko jeden facet w redakcji może sprostać jej wymaganiom.

– I znowu sobie ze mnie żartujecie – powiedział, czerwieniąc się, Długolato.

– Ani nam to w głowie – powiedziała Wilga i przysunęła się do Długiego tak, że poczuł jej sprężyste piersi i jeszcze mocniej spurpurowiał.

Wilga miała dar przekonywania i kwadrans po czwartej świeżo upieczone dziennikarskie małżeństwo odebrało od Mania kluczyki do redakcyjnej tatry.

Tym razem za kierownicą siedział Stern. Jego bezpośredni udział w „transakcji” był zbyt ryzykowny, dlatego miał cierpliwie czekać w samochodzie na rozwój wydarzeń.

Dojechali na Akacjową. Stern zaparkował na początku ślepej uliczki, tuż obok skrzynki pocztowej, bacznie obserwując podchody zaimprovizowanego małżeństwa. Dziennikarska para, trzymając się pod rękę, przeszła na drugą stronę uliczki i zatrzymała się przed piętrową, wymalowaną na piaskowy kolor willą. Przez chwilę przyglądali się

budynkowi, pokazywali sobie jakieś detale, głośno komentując, a potem pchnęli furtkę i weszli do środka.

Po dwudziestu minutach wrócili oddzielnie i zdali mu sprzeczne relacje. Byli zgodni tylko co do tego, że drzwi otworzyła gosposia i poinformowała ich, że jest sama i że jej pan wyjechał. Było pewne, że odegrali scenkę brawurowo. Zaczęli się nawet kłócić i Wilga zagroziła rozwodem, jeśli Długolato nie kupi jej wymarzonej willi. W tym momencie dziennikarz zreflektował się, odwołał zastrzeżenia i wykonał rundkę wokół budynku, by go jeszcze raz fachowo ocenić. Wtedy Wilga usiłowała przekonać gosposię, że konieczne musi podać im adres, pod którym przebywa jej pracodawca.

– To naprawdę sprawa niecierpiąca zwłoki – tłumaczyła.

W odpowiedzi usłyszała, że pan wyjechał załatwiać jakieś ważne interesy i że może będzie jutro, ale to też nic pewnego. Ale najlepsze Wilga trzymała na koniec relacji.

– Jestem pewna, że gosposia kłamała – oznajmiła z tajemniczą miną. – Kiedy zajrzałam do kuchni, na stole stały dwie filiżanki z herbatą i dwa talerzyki z kanapkami.

– Powinniśmy to sprawdzić – poparł ją Długi, któremu spodobała się rola męża. – Może to jest jakiś ważny ślad.

– Wracamy – zdecydowała Wilga.

Stern na najbliższym skrzyżowaniu efektownie wziął ostry zakręt, o mało nie rozjeżdżając rowerzysty, a potem wrócił na Akacjową, zaparkował dokładnie w tym samym co poprzednio miejscu i sięgnął po papierosa nicę.

– Mam pretekst – nie dawała za wygraną dziennikarka – bo zostawiłam w przedpokoju rękawiczki.

– Następnym razem nie zapomnij tylko swojego nowego męża – zakpił Jakub, gdy trzasnęła drzwiczkami.

Wilga miała rację. Drzwi otworzyła im inna kobieta, na której twarzy wyraźnie malowało się zmęczenie bólem. W przeciwieństwie do gosposi była chuda i wysoka. Ubrana była w różowy jedwabny szlafrok, na nogach miała meszty pod kolor, takie ze śmiesznymi pomponami, a na głowie zawiązaną białą chustkę. Mówiła powoli, jakby każde słowo kosztowało ją wiele wysiłku. W ręku trzymała rękawiczki Wilgi, gotowa oddać je i natychmiast zamknąć drzwi, lecz świeżo upieczona małżonka udała, że nie zauważyła tego gestu, i od razu skierowała się w głąb korytarza.

Kobieta przeprosiła za niezręczność i oddała Wildze zgubę. Przedstawiła się jako żona pana Emiliana, nie podając jednak własnego imienia. Wiedziała już od gosposi, że para, która ponownie ich odwiedziła, chciała nabyć dom.

Ku zaskoczeniu obojga, kobieta ucieszyła się z propozycji, lecz zastrzegła, że ostateczna decyzja w tej sprawie należy wyłącznie do jej męża.

– Ten dom przyniósł nam same nieszczęścia! – powiedziała. – Jednego dnia wszystko się zmieniło, ale po co ja o tym państwu mówię. Boję się o niego... – Urwała, zamyślona.

– Mąż i ja nie wierzymy w przesady i naprawdę chcielibyśmy tu zamieszkać, oczywiście, jeśli gospodarz się na to zgodzi.

– I jeśli cena nie będzie dla nas wygórowana! – powiedział Długi, trącąc łokciem Wilgę.

– Tak, rzeczywiście, kochanie, cena nie może być zbyt wygórowana – zreflektowała się Wilga.

– Emilian nalega na przeprowadzkę – powiedziała kobieta. – Nie chce pracować na uniwersytecie, mówi, że dotrwa do wakacji, a potem kończy pracę. Ma zamiar założyć własne biuro prawne, gdzieś w centrum, bo tam jest, jak twierdzi, bogata klientela. Wszystko teraz zostało na mojej głowie, dom, taras i ogród. Niech to się już wreszcie raz skończy.

– Więc nie ma pani kontaktu z mężem? – dopytywał się Długolato. – Potrzebny nam jest adres tego biura.

– Emilian nic mi nie mówił o żadnym adresie. Pewnie chce mi zrobić niespodziankę. Chyba jest teraz w mieście i sam dogląda prac budowlanych, a wieczorem bez wątpienia pójdzie na defiladę ze sportowcami z uczelni. Sport to jego wielka pasja! Ja ostatnio prawie nie wychodzę z domu. Zdrowie mi nie pozwala. – Dotknęła przykrytej chustką głowy. – Zresztą, po co ja o tym państwu mówię.

Wilga i Długi podziękowali kobiecie, życząc szybkiego powrotu do zdrowia, ale to nie był koniec rozmowy. Kiedy zmierzali już ku wyjściu, nagle jednodniowy małżonek przeszedł sam siebie. Niespodziewanie przejął inicjatywę i zwrócił się do właścicielki z prośbą, czy mógłby zobaczyć gabinet gospodarza, gdyż jemu z całego domu zależy najbardziej na gabinecie. A powiedział to tak przekonująco, że kobieta bez oporów poprowadziła ich krętymi schodkami na piętro i zapasowym kluczem otworzyła drzwi pokoju, w którym urzędował jej mąż prawnik.

– Dla Emiliana to także jest najważniejsze pomieszczenie w domu – wskazała przestronny pokój umeblowany w stylu secesji, z imponującą szafą biblioteczną, w której stały oprawione w brązową skórę kodeksy, poradniki i dzienniki ustaw. – Oczywiście, jeśli państwo kupią nasz dom, mogą ten gabinet po swojemu urządzić. Od śmierci teścia nic się tu nie zmieniło. Każda książka, każdy obraz, pióro, a nawet ta cygarnica, którą dostał na pamiątkę od cesarza, wszystko ma swoje stałe miejsce – dodała.

– Czy także ten zegar? – zapytała Wilga, podnosząc z biurka przepiękny budzik ze śpiącym lwem.

– On tu nie jest wyjątkiem. À propos, kilka dni temu jak na złość się zepsuł. Nowy lokator, który od dwóch miesięcy wynajmuje pokój na poddaszu i jest kierowcą męża, obiecał, że po powrocie z pracy zanieś budzik do zegarmistrza. – Żona Emiliana pokazała Wildze leżący na stole terminarz otwarty na czwartku i dodała: – O, tu jest coś napisane. Jest

jakiś adres, proszę: Starozakonna trzynaście. To pewnie adres tego majstra, który ma kierować pracami budowlanymi. Jeśli tak, może on będzie coś więcej wiedział? Teraz lepiej już stąd wyjdźmy – powiedziała wyraźnie zakłopotana – mąż byłby bardzo niezadowolony, gdyby się dowiedział, że ruszaliśmy jego rzeczy.

Kiedy Stern wysłuchał relacji dziennikarskiej pary, nie miał zamiaru beczynnie czekać.

– Jeszcze dziś musimy z Wilgą sprawdzić to mieszkanie. – Wyraźnie dał Długiemu do zrozumienia, że rola jednodniowego małżonka dobiegła właśnie końca.

Było pięć po piątej, gdy Jakub i Wilga, na wszelki wypadek zaopatrzeni przez montera w niezbędne narzędzia, opuścili redakcję. Weszli w Rzeźniczą, przecięli Kazimierza Wielkiego.

Po drodze, przy knajpie na placu Krakowskim, byli świadkami zabawnej scenki: jakiś podchmielony muzyk w podartym fraku wygrywał na kontrabasie charlestona, a pijana fordanserka z podbitym okiem próbowała stepować na nierównym chodniku, trzymając się jedną ręką latarni. Ta dziwna para dawała tak żywołowy popis, że wokół zebrał się tłumek ciekawskich, klaszczących i wiwatujących. Zanim Jakub i Wilga skręcili w Starozakonną, kilka razy jeszcze się obejrzel.

Wilga pierwszy raz była w tej części miasta i z uwagą przyglądała się mijanym ludziom i kamienicom. Dziesiątki sklepów i sklepików, setki szyldów, kolorowych markiz oraz wystawiony na ulicy towar przypominały jej ukochaną Łódź.

Na początku Starozakonnej minęła ich riksza, w której na miejscu pasażerów leżały dwie małe trumny zbite z nieheblowanych desek. Za nią jechał konny wóz, załadowany meblami, zwiniętymi dywanami, pościelą w płóciennych workach, a spomiędzy tego wszystkiego wyglądały dwie głowy: przestraszonej dziewczynki i steranej życiem kobiety. Tuż za wozem, trzymając się jedną ręką drewnianej żerdzi, jechał na rowerze

młody mężczyzna ubrany w szary, sprany drelich. Kiedy mijał Wilgę, spojrzał na nią z takim wyrzutem, że dziennikarka opuściła wzrok.

Szli w milczeniu. Po kwadransie znaleźli wreszcie numer trzynasty – dwupiętrową kamienicę.

– Jesteś pewna, że tego chcesz? – rzucił Jakub, patrząc na rząd gołębi okupujących gzyms nad oknem. – Jeśli nie czujesz się na siłach...

– Kuba, nie panikuj! – powiedziała Wilga. – Jeśli się boisz, mogę tam iść sama.

Dziennikarz pchnął drzwi wejściowe do budynku i znaleźli się w ciemnej klatce schodowej. Unosił się w niej ciężki zapach smażonych na smalcu placków ziemniaczanych i papierosowego dymu. Zgniłozielona lamperia odcięta była od szarej, pobrudzonej ściany rudym paskiem, który odwzorował drzenie czyjejś niewprawnej ręki. Z sufitu na wyrwanym kablu zwisała żarówka w oprawce. Obok niej czarne stalaktyty wypalonych zapalek tworzyły jakąś niedorzeczną dekorację.

Z mieszkania pod jedyneką docierał płacz małego dziecka i słychać było jakiś męski głos odmawiający modlitwę w jidysz. Z pierwszego piętra dolatywał rytmiczny stukot maszyny do szycia.

Jakub zapukał dwa razy, a kiedy nikt nie odpowiadał, sięgnął do kieszeni i wyjął z niej komplet wytrychów zawiniętych w lnianą ściereczkę, który pożyczył mu monter z redakcji. Spojrzał na zamek i jak zawodowy kasiarz bezbłędnie wybrał właściwe narzędzie. Kiedy mocował się z zamkiem, Wilga zasłaniała go, tak by w każdej chwili móc odwrócić uwagę niespodziewanego przechodnia. Operacja zabrała niecałą minutę. Wreszcie Stern, spocony jak mysz, wszedł do środka, a Wilga wsunęła się za nim.

Mieszkanie wyglądało na niezamieszkane. Na korytarzu leżał pstrokaty chodnik, który tłumiał ich kroki, a wszystkie drzwi do pozostałych pomieszczeń były otwarte. W łazience, która znajdowała się blisko drzwi wejściowych, leżała na wannie wyschnięta kostka mydła, a z

przymocowanego do ściany wieszaka zwiisał brudny ręcznik. W małym pokoju nie było mebli oprócz taboretu z pękniętym drewnianym siedzeniem. W kuchni na piecyku węglowym stał osmolony czajnik, a w zlewie leżały dwa talerze, wyszczerbiony widelec i kubek z zaschniętymi fusami po kawie.

Z lewej strony kuchni, naprzeciw wejścia, znajdowała się niewielka komórka, w której do ścian i sufitu zamocowane były stalowe haki. Można było powiesić na nich patelnię lub suszyć w przeciągu surowe mięso w siatce ze sznurka. Haki znajdowały się na wysokości szyi, pasa i kolan Wilgi i gdyby komuś przyszło do głowy przywiązać do nich dziennikarkę, nie miałyby szans się poruszyć. Stern skonstatował to z odrazą i wszedł za koleżanką do dużego pokoju. Oboje zwrócili uwagę na przymocowany pod sufitem karnisz, z którego zwiisał niczym kurtyna czerwony pluszowy materiał. Widok był wyjątkowo absurdalny; tak jakby ktoś wyrzucił na śmietnik zupełnie nowiutki garnitur.

W pomieszczeniu o wymiarach około czterech na pięć metrów stały ponadto drewniane krzesło, żelazne łóżko ze sprężynami, ale bez materaca, oraz politurowana dwudrzwiowa szafa w wiśniowym kolorze i stary inwalidzki fotel na kółkach.

Nie wiadomo dlaczego Wilga siadła na nim i zaczęła jeździć po pokoju.

– Zwariowałaś? Zostaw to! – powiedział Stern szeptem.

– Chyba nie jesteś przesądny?

Podjechała wózkiem do szafy i otworzyła drzwiczki. Wewnątrz leżała poukładana na półkach garderoba – jakieś sukienki, kapelusze i spodnie.

– Spójrz, mamy tu dla ciebie coś ciekawego.

– Co to jest?

– Ubranko dla ciebie, ponuraku...

– Chodź, to naprawdę nie jest ważne. – Był wyraźnie poirytowany.

Wilga nie zareagowała. Teatralnym ruchem wstała, zrobiła dwa kroki na palcach i ze śmiechem w geście lalki przekrzywiła głowę, jakby miała

powiedzieć jakąś zabawną kwestię.

– Oszalałaś, zostaw to! – syknął.

– Wiesz, czyj to strój? Ktoś bawi się w teatr. Spójrz. Ten ktoś pomyślał o tobie i zostawił ci na półeczce śliczny strój Pierrota. Chcesz przymierzyć?

– Kretynka! – powiedział Stern. Wyrwał z jej rąk ubranie, a potem wrzucił ze złością do szafy. Już miał zamknąć drzwi, gdy nagle zobaczył leżącą na półce wyrwaną z kalendarza kartkę z wtorkową datą. Kartka była czysta.

– Coś mi mówi, że to kartka z terminarza Kanclerza – zauważyła Wilga. – Co o tym sądzisz?

– Czyli że pan Maska musiał tu być, tylko po co?

Stern zamknął drzwi szafy i pokazał wskazującym palcem, że mają natychmiast wyjść.

Miał nosa. Ledwie przekręcił wytrych w zamku, gdy na półpiętrze pojawił się mały obserwator z wielkim ziemniaczanym plackiem w garści. Na widok obcych chłopczyk nawet się nie poruszył. Z zainteresowaniem przyglądał się im z bezpiecznej odległości, trzymając się jedną ręką drewnianej poręczy.

– Nowy juz tu nie mieska – oznajmił wreszcie, czochrając zmierzwione włosy wolną ręką. – On pojechał se na nową hawirkę.

– Dokąd? – Jakub wykazał się refleksem.

Mały ugryzł kawałek placka i przełknął.

– Na hawirkę. To jest pewnie daleko, ale to bardzo daleko, może gdzieś na inną ulicę.

– A jak się nazywa ten pan? – przymilała się Wilga.

– Pan sonsiad. Jak mu opowiem, że byliście, to się bardzo uciesy.

– Nie trzeba. – Dziennikarka posłała malcowi serdeczny uśmiech. – A jak on wygląda?

– Normalnie. Ma spodnie i kapelus. Raz przyjechał tu carym autem! To dobry pan, dał mi dwadzieścia grosy na cukierki – rzucił chłopak i dalej pałaszował swój kartoflany obiad.

Kiedy wyszli na ulicę, Wilga nie mogła opanować złości.

– I co teraz? Wymyśl coś, do cholery!

– Ja? – Spojrzał na nią. – Mam może wrócić i dać temu małemu łobuziakowi złocisza?

– To był przecież twój genialny pomysł, by sprawdzić zapisany w terminarzu Emiliana adres. I jeszcze ta kartka. Skąd się tam wzięła? Wygląda na to, że Wykałaczka miał w tej norze swoją garsonierę.

– Jasne! Ale chyba nie powiesz, że to, co widziałas, jest normalne?

– Razi cię męski porządek? Ta garderoba w szafie albo czerwona kurtyna zamiast zasłon?

– Widziałem, że miałaś chęć zabawić się tam dłużej – zakpił.

Wilga nie odpowiedziała. Obrażona przyspieszała kroku i przez całą drogę do redakcji nie odzywali się już do siebie. Wpadli na piętro zziębnięci, jakby co najmniej brali udział w jakimś wyścigu. Kiedy znaleźli się przed sekretariatem, na ich drodze wyrósł Długolato.

– Nie pędźcie tak! Przed chwilą dostałem depezę od Freda. – Spojrzał zalotnie na Wilgę. – Jędrzejowska odrzuciła ofertę Johnsona. Amerykanin oferował jej dwadzieścia tysięcy dolarów za przejście na zawodowstwo. Oczywiście nie zgodziła się, bo ta dziewczyna ma polski honor...

– Oczywiście! – rzuciła prześmiewczo Wilga i nie słuchając końca informacji, poszła do pokoju.

– Co jej się stało?

– Nie cierpi Wimbledonu – oznajmił Stern.

– Trzeba było mnie uprzedzić. Nie każdemu odpowiadają trawiaste korty – powiedział poważnie Długi.

Stern zostawił kolegę w rozterce. Nie miał jednak ochoty ślęczyć teraz nad jakimś nowym idiotycznym tekstem. Uznał, że ten dzień i tak jest dla niego stracony. Spróbował w milczeniu ogarnąć biurko, gdy nagle usłyszał wzburzony głos dziennikarki:

– Ostrzegam cię, tylko nie praw mi morałów!

– Nie mam zamiaru – odpowiedział spokojnym głosem. – Właśnie przypomniałem sobie, że mam żonę i dzieci.

– Stchórzyłeś?

– Ja?

– A może masz lepszy pomysł, żeby odnaleźć tego czubka?

Jakub wahał się przez moment.

– Przed chwilą go odrzuciłaś – powiedział z chytrą miną.

– Nie opowiadaj bzdur.

– Tak. Sam pchał się w twoje ręce.

– Kto?

– Stasio Długolato. To jedyny facet w redakcji, który jest w stanie cię zrozumieć – rzucił drwiąco i wyszedł na korytarz.

Kierowała nim niepoohamowana wściekłość, jaka ogarnia zazwyczaj człowieka w chwili słabości, i to bez ostrzeżenia. Przyszło mu na myśl, że jeśli się nie sprzeciwi, już na zawsze będzie skazany na powolny upływ czasu. Te poniżające spojrzenia, a nawet ruchy ich ciał utwierdzały go w przekonaniu, że cokolwiek zrobi, zawsze będzie sam.

Uśmiechnął się do siebie, gdy skonstatował, że nie dorastają mu do pięt i że wkrótce będą tego żałować. Trzy razy to udowodnił i zawsze wtedy ogarniało ich dzikie przerażenie. Przypomniał sobie ich reakcje, gdy pierwszy raz otworzył przed nimi Teatr Sary. Sam był zaskoczony i z tego zaskoczenia czerpał siłę. Słyszał rozmowy widzów na przystankach tramwajowych, w sklepach i na uczelni. Byli przerażeni, a jednocześnie intrygował ich zagadkowy reżyser. Daremnie próbowali dociec, kim jest. Mówili o nim, jakby nie był człowiekiem, lecz bogiem.

Na te wspomnienia przebiegł go dreszcz emocji. Wyjął z teczki kanapkę z kulikowskiego chleba z grubym plastrem szynki i cienko posiekaną trembulką. Ugryzł kęs, a potem popił zimną kawą z kamionkowego kubka. Z zaciekawieniem przyglądał się odbiciu własnego oka, które śledziło go, chowając się między fusami na dnie. Widział w nim podniecającą czerń. Smolistą i lepłą.

Spojrzał na zegar wiszący na ścianie. Mała wskazówka zatrzymała się na trójce i tkwiła tam jak zaczarowana już całą wieczność. Dopiero za trzy kwadransy, tak jak zaplanował, wmiesza się w tłum i będzie od środka obserwował ich defiladę. Żałosny spektakl głuchych na wszystko marionetek, które przeraża nieruchoma, wisząca nad miastem chmura.

Nie musieli wychodzić z domu. Dosłownie za ich płótem, na Pohulance, defilowała pułkowa orkiestra ułanów jazłowieckich, przygrywając tak donośnie, że aż szyby drżały. Za orkiestrą odkrytym szewroletem jechali prezydent i biskup. Za tą dumną parą w potrójnym szyku podążał oddział husarii, tak piękny, że Kasia biła brawo, a Piotruś mówił, że jadą anioły. Po „aniołach” szli harcerze w zielonych pelerynach i kapeluszach, z proporcami, a dalej ciągnęły poczty sztandarowe ze szkół, zakładów i uczelni. Za nimi jechał peleton rowerzystów i trzy wozy straży pożarnej z dumnymi strażakami w połyskujących srebrnych hełmach. Chodnikami zaś sunęli weterani powstania styczniowego w wózkach inwalidzkich pchanych przez siostry zakonne. Pochód zamykała orkiestra kolejarzy, z której najgłośniejszy był, rzecz jasna, dźwigany przez małego grubasa bęben. Za orkiestrą całą szerokością ulicy szli lwowianie, a gwar ich rozmów unosił się, jakby płynęła tamtędy wezbrana rzeka.

Pochód zmierzał w kierunku cmentarza Obrońców Lwowa, gdzie miał się odbyć uroczysty capstrzyk. Po przemowach i odśpiewaniu hymnu państwowego rozległ się ogłuszający salut z dział. Za każdym wystrzałem Piotruś podskakiwał, a Kasia próbowała go uciszyć. Potem córka, na

prośbę Sterna, wyrecytowała wierszyk o Marszałku, którego nauczyła się w szkole, i wszyscy bili jej brawo.

Uroczystość zakończyła się przed północą. Powracający nieśli zapalone pochodnie, których ciężki dym osnuł Pohulankę. A kiedy mrok na dobre okrył miasto, światła trzech olbrzymich reflektorów przeczesywały niebo, by w końcu wbić się jak włócznie w wiszącą nad nim chmurę.

Kiedy dzieci poszły już spać, przed Kubą stanęła Anna w nocnej koszuli, z rozpuszczonymi włosami i pachnąca tatarakiem.

– O czym myślisz? – Spojrzała na niego zniewalająco.

Jakub patrzył jednak na nią obojętnie.

– Wiem, że to się zdarzy – powiedział, zniżając głos. – I chciałbym go sprowokować. Tylko tak można go wywabić z kryjówki. On doskonale wie, że zaczęła się nagonka, i zrobi wszystko, by...

– Nie pozwalam ci o tym myśleć – zdecydowała i pociągnęła go za rękę do sypialni.

Piątek, 13 maja

W piątek na przedostatniej stronie „Kuriera” (pod reklamą środka przeciw molom Perreat) ukazało się wytłumaczenie osobliwego zjawiska „chmury”, pióra Andrzeja Alexiewicza. Docent z Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego przekazał klarowną interpretację opartą na skomplikowanych wyliczeniach, tym samym pozbawiając chmurę jakiegokolwiek niesamowitości.

Ostatecznie wyjaśnił problem tak zwanych jąder kondensacji, wokół których gromadzą się kropelki wody, widoczne z ziemi jako potężny obłok. Co ciekawe, pan Alexiewicz dowiódł, że: „kondensacja następuje wokół przywiewanych przez wiatr drobinek soli, unoszących się w wyniku parowania. Jest bardzo prawdopodobne, że owe drobiny w naszej lwowskiej chmurze pochodzą znad Morza Czarnego”.

Jeszcze przed wyjściem na kolegium głośno udowadniali sobie rację. Wilga pierwsza spasowała.

– Sama już nie wiem, może to nie on – oznajmiła. – Przyznaję, że Emilian ma niezłego bzika, ale to jeszcze nie powód, by robić z niego seryjnego mordercę. Wczoraj w domu na nowo przeglądałam listę obecności z twoich ćwiczeń i doszłam do wniosku, że „on” wcale nie musiał działać w pojedynkę. Co o tym sądzisz?

– Bzdura do kwadratu.

– Mógł kogoś wynająć!

– Znam ich. Oni nie są zdolni do tak heroiczych czynów. Chyba że...

Przyszła mi do głowy jeszcze jedna myśl.

– Znowu jakaś rewelacja? – Teraz ona nie omieszkała z niego zakpić.

– Właśnie.

– I znowu chcesz, by ci w tym pomóc?

Nie odpowiedział. Nie zamierzał opowiadać Wildze kolejnej ponurej historii. Tę sprawę od początku do końca musiał załatwić sam, bo taka była umowa. Umowa z kimś, kto przez kilka lat, zanim Jakub odszedł z „Kuriera”, dostarczał mu bezcennych informacji. To było jego tajemnicze źródło, z którego korzystał tylko wtedy, gdy inne zawiodły. Indagowany przez Krezusa, a potem przez Mania wzruszał tylko ramionami.

Historia „źródła” zaczęła się banalnie. Pewnego słonecznego popołudnia, we wrześniu, razem z Anną i Kasią palił liście w ogrodzie. I wtedy podszedł do nich nowy sąsiad, Adam Frost, który mieszkał dwa numery dalej, w piętrowym domku z fontanną z różowego piaskowca. Mężczyzna zrobił na Annie miłe wrażenie. Miał około czterdziestki i był nienagannie ubrany. Przedstawił się jako przedsiębiorca handlowy. Jego żona Kinga, którą stale poprawiał, sprawiała wrażenie o kilka lat od niego starszej. I była jego przeciwieństwem – miała liczne zmarszczki wokół przyciemnionych oczu, a jej spojrzenie było dziwnie bojaźliwe.

Znajomość nie była krępująca. Nowi sąsiedzi byli bezdzietni. Raz, może dwa, Jakub i Anna zaprosili ich na podwieczorek; panie plotkowały o modzie, a panowie wypili po koniaczku i wypalili na werandzie papierosa. Jakub nie pamiętał już, o czym rozmawiali. Może o polityce, a może o kontrowersyjnym pomysle rady miejskiej, który miał doprowadzić do prawie dwukrotnego powiększenia obszaru miasta.

Sąsiad był bezpośredni. Prosił, by nazywać go zwyczajnie Adamem, żonę zaś po prostu Kingą.

Jakub nie zabiegał o tę znajomość, ale w rewanżu kilka razy odwiedził Adama. Pewnie ze dwa razy z Anną, a raz z Kasią, gdy Anna miała dyżur w aptece. Właśnie ta ostatnia wizyta była dla ich znajomości rozstrzygająca. Kiedy Adam Frost wyszedł na chwilę do kuchni po czekoladę i ciasteczka, Kasia niespodziewanie wyszeptała ojcu na ucho, że chce już wracać do domu. Jakub przeprosił więc sąsiada i skierował się do wyjścia. W drzwiach Adam sięgnął za plecami Jakuba i pogładził

Kasię po włosach. I wtedy Stern poczuł, jak mała wzdrygnęła się i przywarła do jego uda.

W domu Kasia błagała, by ojciec nie zdradził Annie, co się stało – w czasie odwiedzin u pana Adama zsikała się i wstydziła się tego bardzo. Była już przecież, jak sama powiedziała, „dorosła”, za rok miała pójść do szkoły. Potem opowiedziała, że dwa dni wcześniej ona i Ala Piątkowska, jej koleżanka, odwiedziły Adama Frosta, którego nazywały Panem Kretem. Obiecał im pokazać album ze ślicznymi kolorowymi znaczkami. Sąsiad był sam, a otworzył im ubrany tylko w szlafrok. Kiedy weszły do salonu, przeżyły szok. Pan Kret zaproponował im, żeby rozebrały się do naga. Chciał zrobić im zdjęcia.

Usłyszawszy to, Jakub wpadł w szal. Wrócił do sąsiada i o mało go nie zabił. Przywiązał go do łóżka sznurem do bielizny, a potem z sadystycznym zadowoleniem tłukł go wyłamaną nogą od krzesła obwiązaną mokrym ręcznikiem.

Gdy wyjął wreszcie Kretowi z ust knebel, tamten przyrzekł, że w ciągu miesiąca sprzeda dom i wyprowadzi się z miasta, a jeśli Jakub nie wyda go policji, przekaże mu coś bezcennego: „kontakt z więzienia”.

Adam Frost, jak zapowiedział, w ekspresowym tempie sprzedał dom, a potem dosłownie zapadł się pod ziemię, pozostawiając Sternowi zagadkowy adres, zapisany na tramwajowym bilecie: „pracownia perukarska, Miodowa 7”.

Po tym zdarzeniu Jakub zainteresował się podobnymi przypadkami. Napisał artykuł o kidnaperze, który na Łyczakowie porwał uczennicę powszechniaka i trzymał ją w piwnicy, do której wejście znajdowało się pod jego łóżkiem. Kazał jej pisać dziennik, który musiała czytać mu na głos. Dwa lata po porwaniu mężczyzna niespodziewanie wypuścił swoją ofiarę na wolność. Znalaziono go potem na dworcu kolejowym. Rzucił się pod lokomotywę, z karnawałową maską na twarzy. Dziewczynka zeznała, że porywacz kontaktował się z nią przebrany w maskę kota i kazał się

nazywać Panem Kotem, bo wierzył, że jest kotem czarodziejem, pomagającym małej dziewczynce spełniać marzenia.

Po lekturze dziennika (który był zmoczony łzami i pełen kleksów) Jakub uświadomił sobie, że dziewczynka w dniu porwania była niewiele starsza od Kasi. Ogarnęło go przerażenie. W jego wyobraźni zrodziła się obłądna scena. Widział siebie i Annę siedzących bez ruchu w kuchni, bez nadziei na odnalezienie córki.

– Halo, panie Stern! Niech pan się obudzi! Nie jest pan dziś zbyt rozmowny! – Wilga przerwała jego zamyślenie. – Jeśli pan chce, możemy jeszcze raz spróbować. Co by pan powiedział, gdybym wróciła na uczelnię i ponownie przepytąta pana przepłoszone bractwo?

– Teraz mój ruch – powiedział zaaferowany. – Muszę gdzieś pójść i z kimś porozmawiać. Gdyby Manio o mnie pytał, powiedz, że wrócę za dwie godziny.

– Gdzieś, z kimś? Masz przede mną jakieś tajemnice?

– Skądże znowu – skłamał. – Idę uregulować zaległe rachunki.

Minął Owocową, Bożniczą i Starozakonną i zatrzymał się na placu Teodora. Z opowieści rodzinnych wiedział, że była tu kiedyś cerkiew pod wezwaniem świętego Teodora, którą Austriacy po zajęciu miasta wysadzili w powietrze. Dziś, rzecz jasna, nie było już po niej śladu, została tylko nazwa placu w żydowskiej dzielnicy. Jakub odchrząknął i splunął pod nogi. Powietrze przesycone tu było zapachem krwi, pierza i końskiego łajna, które zalegało w rynsztokach. Wiele razy był w tym rewirze i zawsze witały go tu odpadające tynki i pootwierane okna, z których buchały na ulicę wonie szlajmzupy, czulentu i duszonych gęsiich pipków, a wszędzie słychać było żydowskie przekleństwa.

Po kwadransie stał już na ulicy Miodowej przed dwupiętrową kamienicą oznaczoną numerem siódmym. Na parterze budynku mieścił się zakład perukarski, a na pierwszym piętrze przyjmowali klientów

krawcowa i kaletnik. Drzwi wejściowe, tak jak kiedyś, wisiały na wykrzywionych zawiasach i były do połowy uchylone na ulicę.

Jakub wszedł do wydeptanej klatki schodowej. Policzył do dziesięciu i z bijącym sercem zastukał w odrapane, pomalowane kiedyś na zielono drzwi.

Otworzył mu mężczyzna o długich, delikatnych palcach, chudej ptasiej głowie i rzadkiej rudej bródce, wyglądający jak zgarbiony diabeł wycięty z obrazu Piotra Bruegla.

„Diabeł” spiesznie zamknął za nim drzwi, a potem ukradkiem spojrzął zza firanki na ulicę, jakby ktoś mógł go ze Sternem przypadkiem zobaczyć.

Mówił cicho, najwyraźniej obawiał się, że ktoś ich może podsłuchać, i dlatego chciał maksymalnie skrócić ryzykowną wizytę.

– Pamięta pan naszą umowę? – zaczął Stern. – Kret, to znaczy pan Adam Frost, bardzo by się gniewał, gdyby próbował mnie pan...

– Chodzi panu o te papiery? Przeszukałem całe miasto! Zapadły się pod ziemię.

– Gdzieś jednak są. Sam pan wspominał, że widział je kiedyś pański pomocnik?

– Nic na to nie poradzę, że przepadły! – powiedział szybko Basil, przewlekając pasemko włosów przez położoną na głowie manekina czapkę z tiulu. – Już dawno o nich zapomniałem.

Nigdy dotąd Basil nie kłamał. A zaczął pracować dla Sterna zaraz po aferze z Kretem. Został kupiony przez „handlowego przedsiębiorcę” na wieczne czasy, by informować Jakuba o każdym, nawet najcichszym pierdnięciu w mieście. Kiedyś podobno był bardzo zdolnym perukarzem i miał bogatą klientelę, lecz stracił ją, gdy poszedł na kilka lat siedzieć za stręczycielstwo dzieci. Jednym z jego klientów był właśnie Frost.

– To znaczy? – Dziennikarz nie dawał za wygraną.

– No, że jeszcze raz się rozejrzę – powiedział Basil przez zęby, wiążąc wprawnie supełek delikatnymi palcami. – Może coś powie stary Salmann.

– Kto?

– Fryzjer Mosze Salmann. A może „hebel” Wasyl Ołówko? – dodał, przeciągając przez czesadło nowe pasmo włosów. – Oni dwaj mogą coś wiedzieć. Założyli się przy rabinie, który z nich przeczyta więcej książek. Gadają, że Mosze jest lepszy, bo przeczytał aż dwa tysiące, a znowuż Wasyl...

– Co mnie obchodzi, do cholery, jakiś Mosze, jakiś Wasyl! – Stern zareagował nerwowo. – Ktoś od paru miesięcy bawi się ze mną w kotka i myszkę. Urządza na Rynku spektakl. Czuję, że jedna sprawa ma ścisły związek z drugą. Mam pewne skojarzenia. Coś mi mówi, że nie byłoby tego draństwa, gdyby nie...

– Kto to wie? – Basil zasłonił usta ręką, jakby już za dużo powiedział.

Umówili się, że jeszcze raz popyta wśród swoich o maszynopis, zwróci też uwagę na wszystko, co może mieć związek z wydarzeniami na Rynku.

Stern zamierzał już wyjść, lecz perukarz kręcił się dziwnie niespokojnie. W jego spojrzeniu kryła się jakaś prośba.

– Coś jeszcze?

– Zasadniczo nic, ale... nie mam naprawdę przy szanownym panu śmiałości. Czy mógłby mnie pan redaktor delikatnie wspomóc i... pożyczyć, tylko na kilka dni, siedem złociszy? Oddam, zawsze przecież oddawałem. Rychtuję dwie damskie peruczki i jeden męski tupet, a teraz, jak pan widzi – pokazał na głowę manekina przy lustrze – skończyłem tę damską, z cudownych jasnych włosów. To moja najlepsza peruka, jestem z niej naprawdę dumny. O, niech pan spojrzy! – Podniósł szpikulcem grzebienia grzywkę i dmuchnął na nią delikatnie. – Prawdziwa klasa! Najtrudniejsze jest fryzjerskie podcięcie nad czołem. Tu wchodzi w grę pojedyncze włoski! Zrobiłem ją na specjalne zamówienie dla bardzo, ale

to bardzo wybrednego klienta, więc kiedy ją odbierze, zapraszam do siebie, oddam dług...

Stern nie miał ochoty słuchać gładzenia obłeśnego starego. Sięgnął po portfel, otworzył boczną kieszonkę ze zdjęciem Anny i położył na blacie stołu dwie srebrne monety.

– A gdybym się czegoś dowiedział przypadkiem, w sprawie tych... no, sam pan wie... – powiedział uniżenie perukarz, zbierając pieniądze ze stolika. – To skąd mam wiedzieć, jak szanownego pana redaktora...

– Powiadomić?

– Właśnie.

Dziennikarz podniósł leżący na szafce kopiowy ołówek i zapisał na parapecie numer domowego telefonu.

– Niech pan dzwoni do mnie o każdej porze dnia i nocy.

Wychodząc, rzucił okiem na blond perukę i wtedy, dosłownie w ułamku sekundy, ogarnął go dziwny, paraliżujący niepokój.

Wracał zamyślony bocznymi uliczkami, nie patrząc nawet, którą idzie. Potem pomyślał, że gdzieś niedaleko powinna być ulica Owocowa, i przypomniał sobie, że raz jako uczeń powszechniaka tędy właśnie biegł z kolegami, gdy całą paczką uciekli z lekcji łaciny na wagary.

Teraz niespodziewanie natknął się na weselny orszak. Na jego czele szło dwóch klarncistów wygrywających skoczną melodię, za nimi stąpali akordeonista i skrzypek, po nich zaś pan młody z rodzicami i gośćmi. Wszyscy zdążali do synagogi, gdzie pod chupą czekała już zapewne panna młoda.

Zaaferowany zawrócił i w połowie jakiegoś zaułka, za knajpą w suterenie, przy buchającej parą pralni, wszedł do zacienionej bramy, w której owiał go zimny przeciąg.

Zaczął żałować, że wybrał tę drogę. Lepiej byłoby, pomyślał, gdyby szedł w stronę Bożniczej. Teraz miał przed sobą niewielkie podwórze

wyglądające jak otoczona domami studnia. Z jej dna wyrastał wiekowy kasztanowiec, który wabił owady zapachem biało-różowych kwiatów.

Jakub stał jak zahipnotyzowany. Zaintrygowało go rozłożyste drzewo, a jeszcze bardziej siedzący pod nim starzec w ciemnych okularach.

Staruch ubrany był w białe spodnie i białą bawełnianą koszulę, na którą narzucona była kredowobiała kamizela. Chudą, ascetyczną głowę przykrywała wełniana, także biała czapeczka. Gdyby nie ciemne okulary, Stern mógłby sądzić, że pod drzewem siedzi czekająca na niego śmierć, która tylko odstawiła gdzieś na bok kosę.

Zaciekawiony podszedł do mężczyzny i wtedy dostrzegł więcej intrygujących szczegółów: biały zarost na brodzie i policzkach, wielkie sękaty dłonie, które leżały na stole zupełnie jak niepotrzebne przedmioty. Na blacie stołu narysowane były okrągłe pola, co wywoływało skojarzenie z jakąś dziwną grą.

Nieznajomy nie odzywał się, zmuszając gościa do rozpoczęcia rozmowy.

– Przepraszam... – zaczął nieśmiało Jakub, przyglądając się widocznej w małżowinie lewego ucha owłosionej kurczajce.

– Niech pan przestanie się na mnie gapić, panie Stern, nie jestem małąpą – upomniał go starzec. – Niech pan wreszcie pomyśli to swoje pytanie.

– Jakie pytanie? – rzucił Stern, zdumiony tym, że starzec zna jego nazwisko.

– To, z którym pan i inni tu przychodzicie. Nie mogę pomóc, nie znając pańskiego pytania.

Stern zaśmiał się w duszy i pomyślał, że kiedy wróci do redakcji i opowie Wildze o tym zdarzeniu, dziennikarka nigdy mu nie uwierzy. Na wszelki wypadek, by nie urazić starca, dziennikarz wypowiedział w myśli to jedno pytanie, z którym zmagali się z Wilgą od czterech miesięcy.

– Wiele pan od innych wymaga! – zachnął się staruch. – Najlepiej przyjść na gotowe, co?

– Przecież jestem tu przypadkiem.

Starzec zaśmiał się krótkim, pobrzękującym śmiechem, jakby za zębami miał metalową rezonującą płytkę.

– I może przypadkiem słyszał pan o runach?

Jakub kiwnął głową, przypominając sobie przeczytany kiedyś w encyklopedii akapit o skandynawskich wróżach.

– Pana milczenie oznacza zgodę.

Starzec zdjął z szyi płócienny woreczek i potrząsnął nim, a potem wyjął garść drewnianych okrągłych tabliczek z wyrzeźbionymi rytami. Rzucił je niedbale na blat, z plaśnięciem wylądowały na wymalowanych polach.

Mężczyzna po omacku je odszukiwał, dotykał ich, mruczając coś pod nosem i sapiąc.

– Zastanawiające. Pierwszy raz się z tym spotykam, lecz nie powiem nic takiego, czego by pan już nie wiedział, panie Stern.

– Co takiego? – niecierpliwił się dziennikarz.

– Nie widzę powodu, by musiał mnie pan poganiać. Ten znak nazywa się elhaz. – Podniósł go flegmatycznie i przystawił do ust jak hostię. – Lubię go, bo jest podobny do rogów łośia. Elhaz oznacza ryzyko, które może pan przewyciężyć. To niezwykle ważny znak i nie wolno go bagatelizować. Jeśli zajrzy pan we własną przeszłość, uniknie pan niebezpieczeństwa.

Stary podniósł następny krążek z rysunkiem przypominającym szeroki grot strzały.

– Ten drugi znak to kenaz i oznacza świadomość. Jest pan dziennikarzem, panie Stern, i na własną rękę szuka pan mordercy. Właśnie kenaz rozświetli panu drogę niczym jasna pochodnia. Jest ktoś, kto chce panu pomóc, ale pan odrzuca jego pomocną dłoń i wpadnie za karę w ciemność!

Stern uśmiechnął się, słysząc te brednie; kolejne znaki i kolejne opowiastki, pochodzące podobno od samego Odyna. Przestał słuchać.

Zamiast skupić się na wskazówkach, próbował dociec, czy mężczyzna udaje tylko ślepcę, czy jest nim naprawdę.

W pewnej chwili wydało mu się, że spojrzenie dziada poszybowało zza okularów w górę, by zatrzymać się na nieruchomej chmurze.

– Nie ma jednej drogi – marudził wróż. – Są setki, a może tysiące, jak nie przymierzając, rzeka Stochód. Żeby się w tym rozeznać, trzeba mieć mądrego przewodnika. Nie powinien pan sam błąkać się po Krakidałach.

– A kto ma być tym genialnym przewodnikiem? – zapytał drwiąco Jakub. – Może pan?

– Chciałem pomóc panu, ale pan ze mnie szydzi. Za karę wróci pan tu dzisiaj wieczorem i resztę sam sobie dopowie.

Stary wstał, zebrał runy do woreczka i obrażony odwrócił się plecami do Jakuba.

Dziennikarz nie zamierzał go przeproszać. Podniósł się z taboretu, czując na sobie spojrzenia dziesiątków oczu przypatrujących mu się z otwartych okien. Zirykowało go słowo „kara”. Żałował, że stracił cenne minuty na czczą gadaninę.

Spokoju nie dawało mu jedynie to, skąd mężczyzna zna jego nazwisko, ale pomyślał (pochlebiając sobie), że widać jest w mieście popularny.

Kiedy był już w bramie, obejrzał się za siebie i wtedy zobaczył małego chłopca prowadzącego wróżbitę za rękę. Stary szedł chwiejnym krokiem w stronę sutereny. W pewnym momencie zatrzymał się, jakby nasłuchiwał, czy jego zapalczywy gość wreszcie sobie poszedł.

Po przyjsciu do redakcji nie znalazł wytchnienia. Ledwie otworzył drzwi, a już Wilga przypuściła na niego frontalny atak.

– Ślicznie! Nie było cię ponad dwie godziny, a Manio na gwałt potrzebuje jakichś superważnych materiałów! Nie wyobrażasz sobie chyba, że będę cię wiecznie kryć?

Stern nie przejął się jej wybuchem. Gdyby opowiedział jej o ślepcu i niemej publice w oknach, i tak by nie uwierzyła. Postanowił za to zyskać

jej przychylność.

– Oboje wiemy – zaczął jak mentor, wieszając kapelusz i płaszcz na wieszaku – że nasz „przyjaciel” przed dokonaniem zbrodni z rozmysłem przekazuje sygnał. Chce zwrócić uwagę otoczenia, ale też wcale nie ma zamiaru wskazać na siebie.

– Co masz na myśli? – Wpatrywała się w niego z nadzieją.

– Rozsyłane zaproszenia. Demonstracja w rotundzie: podrzucone zaproszenie i zakrwawiona halka. Te informacje nie są przypadkowe.

– Chce schować się za aktorami i powiedzieć: „Uwaga, szanowni państwo, za chwilę rozpoczynam spektakl”?

– Właśnie. – Jakub tajemniczo zawiesił głos. – Mam niejasne przeczucie, że może to mieć związek z pewnym zdarzeniem. Przepraszam cię za dygresję, lecz sprawa wymaga krótkiego omówienia.

Rozparł się na krześle i zaczął opowieść.

– Blisko trzy lata temu, w październiku, na zaproszenie senatu uniwersytetu odwiedził nasze miasto Stefan O. Kiedy jechał do hotelu „George'a”, jakiś drań ukradł mu z dorożki przygotowaną do druku książkę. Jedyne egzemplarz. Było o tym głośno w kraju, z pewnością słyszałaś. Stefan O. to wybitna postać, niektórzy twierdzą, że jest...

– Hochsztaplerem?

– Mylisz się! Jego wiedza jest zdumiewająca. Zna przyszłość tak dokładnie, jakby czytał jutrzejsze gazety. Byłem na tym wykładzie i słyszałem fragmenty tej powieści, które przytaczał z pamięci. Utwór nie miał bohatera, lecz specjalny klucz, który pozwalał czytelnikowi wpisać się w opisane przez autora losy. Bohaterem mógł więc być każdy, kto chciał poczuć i wypróbować nieosiągalny dla człowieka, zastrzeżony jedynie dla bogów stan.

– Jak zatytułowana była ta genialna powieść?

– „Nieśmiertelność”.

Wilga skrzywiła się.

– Brzmi pretensjonalnie. Chcesz mi powiedzieć, że wystarczy teraz odnaleźć ten maszynopis?

– To delikatna sprawa. Pytałem kogoś. Ma oddzwonić. Potem spotkałem dziwnego człowieka, który przewidział, że wieczorem...

– Rozumiem. Poszedłeś gdzieś i z kimś porozmawiałeś – zadrwiła – a teraz będziemy grzecznie czekać, aż nadejdzie wieczór? Czy ty wiesz, co się teraz dzieje w redakcji?

– Jak to co?

– Kocioł! Do sekretariatu zgłaszają się coraz to nowi świadkowie. Andrea chodzi jak gwiazda filmowa i wszystkich bajeruje – Wilga pierwszy raz użyła przy Sternie tego słowa – że to jej zasługa.

– Jaki kocioł, o czym ty mówisz?

– Zacznę od początku. Wczoraj Manio wpadł na pomysł, że wyśle Andreeę do radia i nada komunikat. Dziś rano nasza gwiazda odczytała swoim niebiańskim głosem, by w sprawie zabójstw na Rynku zgłaszać się do naszej redakcji, do redaktora Sterna. Rozumiesz, na czym polegał szatański dowcip? Manio wyznaczył nagrodę – tysiąc złotych! Andrea pyszni się jak paw, a ty będziesz miał za chwilę huk roboty.

Jakub nie wierzył własnym uszom.

– Pójdę do niego i powiem, co o tym myślę – oświadczył wreszcie.

Nie zdążył nawet wstać, a już do pokoju wszedł naczelny, tak uradowany, jakby wygrał los na loterii.

– Powitać senne towarzystwo! – rzucił i nie czekając na reakcję, siadł na krawędzi biurka Sterna. Zanim jego właściciel zdążył zareagować, Manio wyłożył mu założenia genialnego planu, który zrealizował wraz z Andreeą.

– Były już trzy komunikaty: po porannym dzienniku, po wiadomościach z giełdy i godzinę temu po gawędzie regionalnej. Obiecana nagroda pieniężna działa jak lep! Kazia odebrała już dziewięć telefonów i nie nadąza z notowaniem. Na dole czeka dwóch świadków.

Ktoś obiecał przyjść jutro, po nich będą następni i następni. Wyobrażacie sobie, jak jutro skoczy nakład?

– Byłoby więcej chętnych, gdyby odczytała komunikat po testamencie naszego wielkiego wodza – mruknął Stern.

– Kuba, czyś ty oszalał? Zazdrościsz, bo to ja wpadłem na ten pomysł, a nie ty? Podejdz do tego bez emocji. Za kilka minut podeślę tu faceta, którego...

– Którego cierpliwie wysłuchamy – dopowiedziała przytomnie Wilga, by zapobiec szykującej się awanturze.

– Jasne! Wyciągnijcie z niego wszystko. Co jadł na śniadanie i jaki ma numer buta. O nagrodzie decyduję ja. Gotowi? A więc do roboty! – zakończył Manio i na odchodne klepnął Jakuba po plecach.

– Boże, co za wariacki dzień! – rzucił po jego wyjściu dziennikarz. – Ten stary grzyb miał rację.

– Mówisz o naczelnym?

– Mówię o... Nie będę ci wszystkiego tłumaczył. – Machnął ręką, przypominając sobie ubranego na białą ślepca.

Energiczne pukanie do drzwi przerwało gwałtowną wymianę zdań. Wilga poderwała się pierwsza i wpuściła gościa do środka. Patrzyli na niego zdumieni, z trudem hamując śmiech.

Na progu stał wąsaty facet ubrany w tramwajarski mundur, z teczką w jednej ręce i z jakimś żelastwem w drugiej.

– Niech bendzi pochwalony! – zaczął motorniczy.

– Przyszłem.

– Na wieki wieków – powiedział Stern i wskazał krzesło.

– Widzimy, że pan przyszedł – włączyła się Wilga. – To pan redaktor Jakub Stern, o którym mówili w radio, a ja nazywam się Wilga de Brie.

– A to pewnie narzędzie zbrodni? – zapytał dziennikarz, wskazując na żelastwo.

– To korba. Bez niej tramwaj nie pojdzie.

Przez blisko pół godziny wyciągali z motorniczego informacje. Ustalili i zapisali, że tego feralnego dnia, w którym znaleziono Szymona Lacha, za piętnaście piąta nad ranem motorniczy wjechał na Rynek z placu Kapitulnego i zatrzymał się niedaleko fontanny Neptuna. Wtedy też zauważył dorożkę jadącą w stronę Krakowskiej, do Amfitryty. Na jej siedzeniu było coś, co wyglądało na przykryte derką ciało, i motorniczy nie miał już teraz wątpliwości, że były pod nią ukryte zwłoki tego biednego chłopaka.

– Czy zapamiętał pan fiakra? – zapytała Wilga.

– Coś, co pozwoliłoby nam go rozpoznać – wyjaśnił Stern.

Motorniczy zastanawiał się chwilę.

– Był chudy i miał na głowi czapkę.

– Jaką czapkę?

– Z barana, uszanke, a jaką niby miał mieć? – Mężczyzna przyglądał się Sternowi ze zdziwieniem.

Kiedy motorniczy wyszedł, Wilga zanuciła Jakubowi łyżakowskie tango: „Tramwaj za tramwajim, za tramwajim tramwaj, a za tym tramwajim jeszcze jedyn tramwaj...” i dorzuciła, że takiego korbiastego faceta dawno już nie widziała. Sternowi jednak nie było do śmiechu, tym bardziej że do pokoju weszła właśnie jego niedawna studentka Róża Winkler.

Na widok Jakuba dziewczyna poczerwieniała, szybko się jednak zreflektowała i by skryć zmieszanie, wyćwiczonym ruchem poprawiła spadającą na czoło grzywkę. Wyglądała dokładnie tak, jak opisała ją Wilga. Była niewysoką, szczupłą brunetką w okularach, z mysimi warkoczykami. Podkreśliła, że była najlepszą przyjaciółką Sary, że przyjaźniły się od gimnazjum i że Sara zmieniła się bardzo, gdy zaczęła się z kimś spotykać.

– Z kim? – zainteresował się Stern.

– Tego nie chciała mi powiedzieć. Domyślałam się, że kochanek jest od niej starszy. Proszę mnie źle nie zrozumieć, nie przychodzę po nagrodę, to mój obowiązek. Nie wypada mówić źle o zmarłej, lecz Sara nie była taka święta, za jaką ją brali koledzy i... – Spojrzała zza okularów na redaktora.

– Panie Jakubie, teraz, gdy poinformowano w radiu o poszukiwaniu tego drania, czuję się zagrożona.

– I nie domyśla się pani, kto się z nią spotykał? – zapytała Wilga, patrząc dziewczynie prosto w oczy.

– Ktoś spoza uniwersytetu, to pewne. Ktoś, kto ją perfidnie wykorzystał i może mieć jeszcze na sumieniu dwóch moich kolegów.

– To bardzo ważne, co pani powiedziała. – Wilga spojrzała na Jakuba. – Prawda, że to wszystko zmienia?

– Tak, pani Rózo, postępowanie dopiero się zaczyna – potwierdził dziennikarz – i sama pani nie wie, jak bardzo nam pani pomogła.

Potem były już tylko grzeczności, a także żal, że „pan Jakub” musiał odejść, bo reszta grupy, a zwłaszcza dziewczęta, tęskni za nim i wierzy, że gdy zakończy się ta ohydna sprawa, wróci na uniwersytet.

– Jakie dziewczyny? – rzuciła dla porządku Wilga.

– No, Ruta, Joanna, Amelia i Zyta – wymieniła jednym tchem. – One wszystkie... i ja też – dodała szybko, spuszczaając wzrok.

– Czy zechciałyby pani opowiedzieć kilka słów o każdej z nich? Bardzo panią proszę. – Wilga kuła żelazo, póki gorące.

Zadowolona panna Winkler siadła na krześle i zaczęła opisywać nieznanne fakty z życia studentek Sterna.

Trwało to dobre pół godziny. Po wyjściu gadatliwej Róży oboje odetchnęli z ulgą. Nowe imiona, nowe postacie, cztery podobne do siebie życiorysy, bezbarwne i prowadzące w ślepy zaułek dziennikarskiego śledztwa. Wilga, tak jak Jakub, widziała w nich raczej materiał na żony i matki, a nie na rozemocjonowane, żądne krwi walkirie.

Ledwie za panną Winkler zamknęły się drzwi, gdy w pokoju pojawił się kolejny gość – wysoki i przeraźliwie chudy kolejarz, od którego załatywało gorzałą i czosnkiem. Mężczyzna był nieogolony, a jego grdyka wystawała zza brudnej, rozchełstanej koszuli jak połknięta pingpongowa piłka. Gość trzymał pod pachą skórzaną teczkę związaną sznurkiem. Jego chaotyczna relacja była związana ze śmiercią Pawła Zimmera. Stern zapisał dane świadka i zanotował, że w piątek 22 kwietnia o godzinie czwartej pięć nad ranem, na Rynku, przy fontannie Neptuna, zatrzymało się czarne auto. Na pytanie Wilgi o szczegóły kolejarz długo się zastanawiał. Nie znał się na markach samochodów, nie pamiętał też numeru rejestracyjnego, lecz obstawał, że obecność tego auta miała związek z makabrycznym znaleziskiem, o którym plotkowano potem w mieście. Zaznaczył, że spieszył się na służbę, na górkę rozrządową, i dlatego nie widział, co działo się później, miał jednak nadzieję, iż dzięki tej informacji zasłużył na główną nagrodę.

Po wyjściu kolejarza, którego Stern z Wilgą pogonili w diabły, dziennikarz otworzył okno na całą szerokość i zaczął wreszcie pakować manatki. Wilga również wybierała się do miasta: stała przed lustrem i poprawiała uczesanie. I wtedy zadzwonił telefon.

Stern z obawą podniósł słuchawkę. Sekretarka poinformowała go, że dzwoni z polecenia naczelnego.

– Panie Jakubie, przepraszam za to, co powiem. Szef zaznaczył, że to bardzo ważne. Mam adres, który jeszcze dziś trzeba sprawdzić. Podyktowała go jakaś starsza pani. Nie chciała się przedstawić. Mówiła, że źle się czuje i że woli porozmawiać osobiście. Naczelnny prosił, by pan zabrał ze sobą panią de Brie. Aha, samochód stoi pod redakcją, a kluczyki leżą u mnie.

– Niech się wypcha! – powiedział Stern i trzasnął słuchawką. Potem z takim samym efektem akustycznym zamknął okno.

Był wściekły na Mania, bo kolejny raz miał ciągnąć za sobą ogon. Dziennikarka nie zostawała mu dłużna.

– Ja też mam już serdecznie dość ciebie i całej tej sprawy – odwzajemniła mu się, gdy zamykali pokój. – Czy to się wreszcie skończy?

Zwaśnieni zeszli do sekretariatu. Stern wziął z rąk Kazi karteczkę z adresem: Bożnicza 6/6 – znowu położona na północy miasta żydowska dzielnica. Po krótkiej wymianie zdań zrezygnowali z samochodu, gdyż dom tajemniczej informatorki znajdował się niecały kwadrans marszu od redakcji.

W milczeniu szli szybkim krokiem. Minęli tętniący życiem plac Gołuchowskich z widokiem w dalekiej perspektywie na Wysoki Zamek. Przecięli Wagową, by skręcić w prawo, w kolejną przecznicę. Tu świat całkiem się zmienił: czarne mycki wyparły filcowe kapelusze, a rude peruki zdominowały modne w tym sezonie woalki i toczki.

Obok przebiegł jakiś chłopak w pocerowanym chałacie, popychając na wygiętym drucie rowerową obręcz, za nim pognało dwóch wrzeszczących urwisów.

Na rogu Bożniczej, tuż przy antykwariacie, natknęli się na trzech pobożnych chasydów zawzięcie o czymś dyskutujących, a dwa domy dalej na wychudzone indywiduum dźwigające na plecach przenośny warsztat do ostrzenia noży i nożyczek.

Weszli w Bożniczą i po kilkudziesięciu krokach zatrzymali się przed dwupiętrową kamienicą, która kiedyś była pomalowana na piaskowy kolor, a teraz od sadzy z kominów przyjęła stonowaną brudnoszarą barwę. Nad drzwiami wejściowymi wisiała metalowa tabliczka z zardzewiałą cyfrą przypominającą pokancerowaną szóstkę.

Stern stwierdził, że budynek z prawej strony ulicy niczym szczególnym się nie wyróżnia. Zresztą po lewej stronie stała niemal identyczna stara zabudowa. Na parapetach na parterze wystawione były drewniane

skrzynki z pelargoniami, a na pierwszym piętrze w otwartym oknie suszyła się damska koszula i poszarzałe kalesony z troczkami, z których kapą na chodnik woda. Właśnie mieli wejść do środka, gdy nagle zza uchylonych drzwi wyskoczył czarny kot i z przeraźliwym miauczeniem przemknął na drugą stronę ulicy. Wilga aż podskoczyła, a Jakub, choć nie był przesądny, na wszelki wypadek splunął przez lewe ramię, zrzucając wszystko na feralną datę.

Wnętrze klatki schodowej, do której weszli, było mroczne. Z otwartych drzwi do piwnicy ciągnęło mieszaniną gazu i pleśni. Drewniane stopnie, po których ruszyli na górę, były zdeptane i zapadnięte. W sfatygowanej poręczy brakowało kilkunastu szczebli, a w powstałą w ten sposób dziurę ktoś nieudolnie wstawił jeden nieoheblowany kołek, by uchronić lokatorów przed skręceniem karku.

Trzymając się ściany, weszli na drugie piętro. Drzwi oznaczone szóstką znajdowały się po prawej stronie. Jakub spojrzął na Wilgę, wziął głęboki oddech i głośno zastukał. Niemal natychmiast dobiegł zza nich odgłos kroków, a potem zgasło na kilka sekund światelko okrągłego mosiężnego judasza.

Szczęknął zamek i po chwili drzwi uchyliły się nieznacznie. W szczelinie bronionej przez łańcuch widać było posiwiałą głowę i pomarszczone usta, które zapytały:

– Czego państwo sobie życzą?

Wilga wyjaśniła miłym głosem, że przychodzą z redakcji „Kuriera”. Podali swoje imiona i nazwiska i dla porządku pokazali legitymacje dziennikarskie, wtedy łańcuch opadł i ujrzeli na progu niewysoką starszą panią.

Kobieta przedstawiła się jako Eulalia Ewelina Stelze. Mimo że miała na sobie wyraźnie znoszony już granatowy żakiet, była starannie uczesana w koczek, usta miała pomalowane różową pomadką, a łuki brwi podkreślone

henną. Poruszała się z wdziękiem, nosiła głowę prosto i starała się, wbrew zmarszczkom, wyglądać na młodszą, niż w była w rzeczywistości.

Zaprosiła gości do środka, tłumacząc jednym tchem, że ma tylko jeden pokój, że dom i dzielnica, w której mieszka, są po prostu straszne i że kiedy usłyszała radiowy komunikat, bez wahania poszła na pocztę, by zadzwonić do redakcji, ponieważ jest pewna nagrody, która pozwoli jej wyprowadzić się z tej ohydnej nory.

Kiedy Jakub i Wilga usiedli przy okrągłym stole przykrytym wykrochmaloną i świeżo wyprasowaną lnianą serwetą, na którym stał talerzyk z maślanymi ciasteczkami, pani Stelze odkaszlnęła i zaczęła opowieść.

Na początku poinformowała, że nie jest rodowitą lwowianką, lecz pochodzi z przedmieścia Sambora, że jej ojciec Artur był na kolei toromistrzem, a matka Stanisława, z domu Pazdro, była wziętą położną. Oznajmiła też, że miała braciszka Łukasza Aureliana, młodszego o pięć i pół roku, który, niestety, w wieku sześciu lat utopił się w gliniance. Dodała też szybko, że tatuś i mamusia w dziewięćdziesiątym ósmym roku zeszłego stulecia zarazili się tyfusem od wędrownych Cyganów, co to przyjechali taborem z Rumunii, a kiedy zmarli, ona, jako szesnastoletnia panna bez bliskiej rodziny, która by ją wsparła, udała się za chlebem do stolicy Galicji.

W życiu wiodło jej się różnie, czasem przymierała głodem, lecz Bóg jak dotąd nie dał jej umrzeć. Pracowała jako pomoc domowa kolejno u państwa Landau, nauczycieli, potem u aptekarzy Kipperów, a na końcu prawie przez siedem lat zatrudniona była u państwa Markockich, którzy handlowali naftą i węglem. Półtora miesiąca temu została niespodziewanie zwolniona z przyczyn od niej niezależnych. Po prostu kamienica, w której mieszkali, została zlicytowana, a jej państwo wyprowadzili się do Przemyśla.

Stern i Wilga podjadali ciasteczka i słuchali opowieści służącej Stelze, która nie spiesząc się, zmierzała do sedna sprawy. Na moment jednak przerwała opowieść i grzecznie zapytała, czego jej goście chcieliby się napić, potem poszła do kuchni, by zaparzyć zamówione dwie kawy ze śmietanką. Słysząc było, jak trzaska drzwiczkami i pobrzękuje naczyniami, nucąc coś pod nosem. Po chwili wróciła. Dystyngowanym ruchem zdjęła z tacy dwie porcelanowe filiżanki ze spodeczkami, położyła obok nich srebrne łyżeczki, postawiła dzbanuszek ze śmietanką i podniosła pokrywkę z cukierniczki, grzecznie zapraszając gości. Potem zadowolona poprawiła koczek, zebrała z serwety okruszki i przeciągnęła małym palcem prawej ręki po pomalowanych henną brwiach, jakby one były w jej wyglądzie najważniejsze, i wróciła do opowieści.

– Dwa dni, zanim „to” się stało, moi państwo wyjechali w interesach do Drohobycza i zostałam sama w mieszkaniu. Przyznam się, że nigdy nie lubiłam tego domu przy Rynku. Był ogromny i do tego zimny. W dzień nie można było otworzyć okien, bo zawsze słysząc było hałas tramwajów, pokrzykiwania fiaków albo warkot śmierzących samochodów, a w nocy też nie było lepiej: podchmieleni goście z „Atlasa” wyśpiewywali na całe gardło arie i musiała ich uspokajać policja. Z okien kamienicy pod czterdziestym drugim dokładnie widać fontannę Adonisa, tego ślicznego młodzieńca w tunice trzymającego w dłoniach włócznię, a u jego nóg waruje wyrzeźbiony pies i leży głowa upolowanego dzika. To najładniejsza rzeźba na Rynku – powiedziała gospodyni – sto razy wolę ją od Neptuna, Diany i Amfitryty. Wszystko widziałam... Proszę spróbować śmietanki i ciasteczek, sama piekłam... I zaraz wszystko powoli państwu opowiem.

Stern i Wilga nie potrzebowali zachęty. Kawa ze śmietanką, a także ciasteczka pani Stelze były rzeczywiście wyborne.

– Ostatnio, chyba przez mój wiek, mało śpię. Całą noc o czymś myślę albo czytam książki, albo słucham radia. O, to jest właśnie moje radio –

wskazała na stojący na półce odbiornik Verdi firmy Capello – które dostałam od pani Markockiej w prezencie, kiedy się ze mną rozstawała. Właśnie w nim usłyszałam komunikat pani Andrei z „Kuriera” – wyjaśniła. – A więc w tamtą noc, gdy „to” się stało, bolało mnie strasznie w krzyżu i było mi zimno, bo zgasło w piecu, a po nocy nie chciałam chodzić po węgiel do piwnicy. Dlatego okryta kocem weszłam do kuchni, by zagrzać wody na herbatę. Nie zapalałam światła. Po co. W nocy ruszam się jak nietoperz albo ćma. Nalałam do imbryka wody, znalazłam pudełeczko zapalek i zapaliłam gaz. Chciałam sobie zrobić na rozgrzanie herbatkę z cytryną i lipowym miodem. Siadłam przy kuchence i zastanawiałam się, co ze mną będzie, gdzie ja teraz biedna znajdę dom na stare lata.

Stern ziewnął. Opowieść starej Stelze zaczynała go nudzić. Był pewien, że za chwilę kobieta opowie, że herbata z cytryną i miodem była wspaniała, że potem zgłodniała i poszła do komórki odkroić sobie nożem kawałeczek wędzonego boczku, tak na smaczek.

– Tej nocy, proszę państwa, była straszna zadymka i wiatr huczał w kominie – ciągnęła pani Eulalia Ewelina. – Nalałam więc sobie kieliszek kminkówki na rozgrzewkę i podeszłam do okna. Wszystko było zasypane. Padało tak jak wtedy, gdy byłam małą dziewczynką i mój świętej pamięci tatuś z mamusią ciągnęli mnie na sankach na pasterkę w Samborze do kościoła. Wiało przez trzy dni i w świetle latarni nasz lwowski Rynek zasypany śniegiem wyglądał przepięknie. Drzewo pod ratuszem i mój Adonis przypominały dekoracje z bajki. Przypadkiem spojrzałam na zegar. Była dokładnie czwarta dziesiąta. Chciałam już iść spać, miałam zamiar schować się pod pierzynkę, gdy nagle od strony Dominikańskiej pokazała się jakaś skulona postać ciągnąca sanki. Sądziłam, że to...

– Jak wyglądała? – przerwał jej Stern, nie mogąc się doczekać końca opowieści.

– Była średniego wzrostu, cała pokryta śniegiem i wyglądała jak bałwan.

– Czy coś panią wtedy zaniepokoiło? – zapytała Wilga, podnosząc wzrok znad notesu.

– Nie. Wtedy jeszcze nie. Patrzyłam zdumiona, jak szybko porusza się ta biała zjawa, i pomyślałam, proszę pani, że musi mieć jakąś ważną sprawę do załatwienia, skoro wyszła z domu w taką ćmę. Ten mężczyzna, to znaczy ta postać – poprawiła się szybko – ciągnęła za sobą sanki, na których leżał jakiś długi, zwinięty przedmiot. To mógł być dywan.

– Dlaczego akurat dywan? – zdziwiła się Wilga.

– Tak sobie wtedy pomyślałam, że to coś przypomina ośnieżony kloc albo zwinięty dywan – odpowiedziała spokojnie Stelze.

– Co było potem? – zainteresowała się Jakub.

– Postać podciągnęła sanki pod Adonisa. Przystanęła i rozejrzała się, a potem szybko zdjęła swój długi bagaż i rzuciła go pod rzeźbę. Nie wiedziałam, co o tym myśleć, w jej zachowaniu było coś... coś takiego... Zanim zdążyłam się zastanowić, cofnęła się i zniknęła w ulicy Grodzickich.

– Zabrała sanki? – dopytywała się Wilga.

– Tak, sanki pociągnęła za sobą.

– Czy jest jeszcze coś, o czym pani chciałaby nam powiedzieć?

– Owszem, proszę pana. Zanim się oddaliła, wydawało mi się, że zjawa podniosła wzrok na moje okno. Przestraszyłam się wtedy, że mnie widzi.

– Jak mam to rozumieć? – rzucił Stern z zawodową, wypracowaną przez lata niedbałością. – Zjawa dostrzegła panią, w tej zadymce?

– Nie wierzy mi pan? – Pani Stelze spojrzała mu pytająco w oczy.

– Ależ wierzę, wierzę! – powiedział Stern, a potem podszedł do okna i spojrzał na małe podwórze. Zamarł zdumiony. Widział ten sam kwitnący kasztanowiec, pod którym przed południem pokłócił się ze ślepym starcem. Na próżno jednak poszukiwał siwego wróża. Dojrzał jedynie po

prawej stronie tego samego małego chłopaka, celującego z procy do postawionej na kamieniu flaszki. Natychmiast też przypomniał sobie słowa starca, że wróci tu jeszcze tego samego dnia wieczorem i sam sobie dopowie resztę historii. Historii o Szymonie, Sarze i Pawle?

– To wszystko? – zapytał Stern, odwracając się od okna.

– Nie, jest jeszcze jeden ważny szczegół, proszę pana: ta osoba dziwnie się poruszała.

– Jak? – zaciekawiała się Wilga.

– Tak jakby... jakby była pijana albo coś takiego.

– Coś takiego? – rzucił dziennikarz, odchodząc od okna.

– Zjawa miała na sobie długi płaszcz, ale lekko się zataczała i ciągnęła nogę. Dokładnie nie widziałam, padał przecież śnieg. Kiedy odeszła, patrzyłam na pozostawiony przez nią pakunek i zastanawiałam się, co też to może być. Wtedy nie miałam pojęcia, że to... Więc położyłam się spać. Ale spałam niespokojnie, śniły mi się jakieś koszmary, zaraza bolszewicka, a kiedy się obudziłam, był już blady świt. Za oknem wciąż padał śnieg, a pod fontanną zebrała się kupa ludzi i była policja, i czarny samochód po zwłoki. Od sklepowej dowiedziałam się, że to mleczarz Mordka Eszel pierwszy odkrył trupa. On ma dużo szczęścia, bo podobno się w czepku urodził. Sklepowa powiedziała, że kiedyś znalazł na przystanku tramwajowym wypchany portfel i dostał tyle znaleźnego, że kupił sobie osiołka do ciągnięcia wózka. Potem gadali na mieście, że pod fontanną leżała zasypana śniegiem pijaczka. Szukałam w gazetach, ale nic a nic nie znalazłam.

Pani Stelze zakończyła opowieść i zadowolona uśmiechnęła się do gości.

Wilga odwzajemniła ten uśmiech i zamknęła notesik. Zapisała w nim pięć stron i zamierzała wykorzystać ten gorący materiał do kolejnego szokującego artykułu.

– Co mam teraz robić? Kiedy mam się zgłosić po nagrodę?

– Proszę o cierpliwość. Wkrótce się do pani odezwiemy – powiedział Stern, siadając ponownie za stołem, by dopić kawę.

– Redaktor naczelny wysłucha naszej relacji – poparła go Wilga – a potem...

– A potem wyślemy do pani gońca – poinformował Jakub, nerwowo pukając palcami po stole i z trudem zbierając myśli po tym, co zobaczył przed chwilą za oknem.

Wpadł do domu z poczuciem winy.

– Gdzie Piotruś? – rzucił do Magdy, odkładając kapelusz na wieszak.

– Piotruś od godziny śpi, proszy pana.

– A pani?

– Za niedługo powinna wrócić z apteki – odpowiedziała, wkładając buty i szykując się do wyjścia. – Spichciłam obiad. Stoi w duchówce. Jest jeszcze ciepły, proszy pana. Muszę już lecieć, to do widzenia! – I wybiegła na ganek.

Jakub wszedł do pokoju Kasi, pochylił się nad córką i zapytał, co słychać w szkole.

– Nic! – odpowiedziała markotnie, odsuwając się od niego.

– Dostałaś dwóję? – dopytywał się.

– Nie! – ucięła rozmowę, zajęta pisaniem w zeszycie.

– Więc o co chodzi?

– Ty tylko obiecujesz, a potem...

– Wiem, wiem. Mamy iść do kina na Shirley Temple, na...

– Nie, ona mnie już nudzi. Teraz są inne gwiazdy.

– A jakie? – dociekał zadowolony, że przestała się dąsać.

– Donald Duck!

– Donald? Duck?

– Kaczor Donald. On ma już dwa lata i jest taki... – szukała słów, by go opisać – no, okropnie śmieszny.

- Obiecuję ci, że niedługo pójdziemy!
- A potem będzie jak zwykle? Więc kiedy? – złapała go za słowo.
- W niedzielę, weźmiemy mamę i Piotrusia.
- On jest za mały i będzie się bał! – powiedziała rezolutnie i spojrzała na ojca, jakby chciała dać do zrozumienia, że chce, by poszli we dwoje, jak dawniej, gdy poświęcał swój czas wyłącznie jej.
- Masz rację, Piotruś zostanie z mamą w domu – odpowiedział i skierował się do kuchni poszukać obiadu.
- Kasia ruszyła za nim i nagle zapytała z troską w głosie:
 - Tato, a ty się jej nie boisz?
 - Kogo?
 - Czarnej chmury!
 - Co też ci przyszło do głowy? – Próbował grać na zwłokę. Podniósł pokrywkę z brytfanny i wdychał zniewalający zapach gołąbków w sosie pomidorowym zagęszczonym śmietaną.
 - Pani w szkole też powiedziała, że to nie jest normalne, że u nas w mieście nigdy takiej chmury nie było. Ona wygląda jak umbra, ten klosz od lampy, co wisi w salonie.
 - Umbra? A to ciekawe porównanie – mruknął niewyraźnie, przeżuwając smakowity mięsny farsz z ryżem, owinięty słodkim liściem kapusty. – Ten twój matowy klosz to tylko skondensowana para wodna. Zwykła fizyka, Kasiu, nic poza tym.
 - Tak jak lód?
 - No, chyba tak – odparł niepewnie.
 - A Szymon powiedział, że w hitlerowskich Niemczech to lody będą niedługo sprzedawać automaty. To prawda?
 - Tak – odpowiedział spokojnie, delektując się gęstym sosem.
 - Maszyny?
 - Maszyny, które zastąpią kiedyś człowieka!

Stała, patrząc z podziwem, jak nakłada dwa wielkie gołąbki na talerz – jej najmądrzejszy ze wszystkich tatuś, maczający razowy chleb w pomidorowym sosie.

Pół godziny później Anna zjawiła się już na Pohulance i Jakub blefował, że miał udany dzień. Podgrzał obiad, a potem siedział i – tak jak Kasia przedtem na niego – teraz on patrzył na żonę pałaszującą przygotowane przez Magdę gołąbki.

– Marzyłam o czymś takim w recepturze – powiedziała, przytulając Piotrusia, który właśnie wstał z łóżeczka. – Zauważyłeś, Kuba, że nasza Magda ma talent do gotowania i zawsze wykrochmalony fartuch? Chyba jej nie doceniałam. Tak jak ja woli gotować obiad na gazie, a nie na kuchni węglowej, i nie wierzy w opowieści, że od tego psuje się smak.

Jakub z pomocą Kasi nakarmił Piotrusia, a potem uległ dzieciom i kolejny raz zamienił się w lokomotywę. Oboje wskoczyli ojcu na plecy i kazali się wieźć z gościnnego do kuchni, a stamtąd do sypialni i z powrotem, głośno sapiąc i pogwizdując.

Anna niespodziewanie włączyła się do zabawy, ogłaszając, że tatuś potrafi udawać prawdziwy pociąg i może zatrąbić na muszli.

– Na jakiej muszli? – zapytała Kasia.

– Na morskiej i zaraz nam to pokaże! – powiedziała i przyniosła ze służbówki opalizującą muszlę, którą kiedyś dostała od swoich rodziców. – Kuba, nie daj się prosić, dzieci czekają!

Jakub przystawił muszlę do ust i zaczął grzmieć tak donośnie, jak wjeżdżający na stację pociąg.

– Ja też, jak będę dorosła, to będę grać na takiej muszli – zakomunikowała zdecydowanie Kasia.

– I ja też, i ja też, mamó – dodał szybko Piotruś, gdy zmęczeni sadowili się na kanapie.

Późnym wieczorem, gdy dzieci poszły spać, Jakub z Anną, jak za dawnych dobrych lat, urządzili sobie romantyczną kolację, taką ze świecami, winem i oliwkami nadziewanymi papryką.

Anna dostała rumieńców i ożywiła się. Włączyła radio, a gdy lampy rozgrzały się i zielone oko zaczęło mrugać, nastawiła na Warszawę i trafiła na porywające argentyńskie tango. Bez wahania wyciągnęła Jakuba do tańca i przytulona pozwalała mu się pieścić.

Całował ją, a cały czas miał do siebie żal, że tak niedawno podle ją oszukał. Nigdy nie dowiedziała się o tej drugiej. Nie domyślała się nawet, że istniała, że miała na imię Sara i że do szaleństwa mu się podobała. Nigdy też nie miała się dowiedzieć, że oboje zwrócili na siebie uwagę w dniu, gdy stremowany Jakub przyszedł poprowadzić swoje pierwsze ćwiczenia. Dlaczego właśnie to Sara Reddig nakreśliła przed grupą ten swój cholerny plan? Co jej strzeliło, by być pierwsza? Słuchając argentyńskiego tanga, wracał myślami do jednego zimowego popołudnia, które spędził na stacji u Sary. Tego dnia nie przyszła na ćwiczenia, co go zaniepokoiło. Chciał sprawdzić, co się stało. Gdy dojechał tramwajem na Zamarstynów i doszedł na stację przy Kwiatowej, trząśł się już z zimna. Miał ze sobą butelkę wina, którą Sara podgrzała z miodem, cynamonem i goździkami. Nie zadał jej pytania o powód absencji na zajęciach. Czekał, aż sama się otworzy. Kiedy wypili grzane wino, Sara wyjęła ze swoich zapasów starkę. Wypiła za dużo alkoholu i stała się gadatliwa. Wspomniała o jakimś tajemniczym znajomym, ale wystarczyło, że zadał jej kilka pytań, natychmiast przerwała swoją opowieść. Zdenerwowana powiedziała, że nie jest niczyją kochanką i żeby raz na zawsze wybił to sobie z głowy. Była z nim blisko, to fakt, lecz z jej słów wynikało, że ten ktoś przed nim był z nią jeszcze bliżej. Dlaczego mieszkała sama na stacji? Miała przecież we Lwowie rodziców. Dlaczego nie utrzymywała z nimi kontaktów? Nigdy jej nie pytał o prawdziwy powód życia w pojedynkę. Sara milczała, z jej oczu płynęły łzy. Wreszcie przyznała się,

że kilka miesięcy temu poznała kogoś, że strasznie za nim tęskni i że będzie go pamiętać do końca życia. Nagle opamiętała się. Zapragnęła być sama. Stanowczo nalegała, by Stern wyszedł. Nie zamierzał robić jej przykrości. Poza tym spieszył się do domu. Po drodze znowu musiał wymyślić jakieś kłamstwo.

Potem zdarzyło się nieszczęście, które zapobiegło rodzinnej tragedii. Sara pozostawiła po sobie puste miejsce w trzecim rzędzie pod oknem i wspomnienie zagadkowego uśmiechu. Zamyślony Jakub pomylił kroki i Anna coś wyczuła. Zatrzymała się i spojrzała badawczo.

– Co się z tobą dzieje? – rzuciła, patrząc mu w oczy. – Jesteś nieobecny. Wyglądasz, jakbyś...

– Jakbym co? – przerwał jej, poruszony, że mogła odkryć jego tajemnicę.

– Nic, jest takie stare przysłowie: na złodzieju czapka gore!

– To o mnie?

– Sam sobie odpowiedz. Jesteś podobno mistrzem efektownych zakończeń.

Godzinę później, kiedy leżał w łóżku u boku Anny, znowu dopadły go wspomnienia. Przypomniwał sobie pewne kwietniowe słoneczne popołudnie, gdy wziął służbową tatrę i pojechał pod uniwersytet, by rozwikłać tajemnicę Sary. Nie chciał informować o tym Wilgi. Im mniej wiedziała o jego dawnej znajomości, tym dla niego lepiej.

Zaparkował za dorożką, tuż przed samochodem Kanclerza, którego szyby zacięcie polerował szmatą profos. Pan Zenon, bo tak nazywali go studenci i naukowcy, ukłonił mu się grzecznie, zdejmując czapkę, i wyraźnie miał chęć zamienić z nim kilka słów, lecz Stern przeprosił go i od razu skierował się do dziekanatu wydziału prawa. Krótką chwilę zajęło uzyskanie od sekretarki potrzebnej informacji. Dostał adres rodziców Sary, podziękował i wyszedł. Wiedział od Hillela, że rodzice panny

Reddig są obrzydliwie bogaci. Ojciec był znanym ginekologiem w klinice przy Pijarów, matka zaś prowadziła dom.

Kiedy ponownie znalazł się na ulicy, zauważył, że samochód Kanclerza już odjechał. Dorożka nadal stała na podjeździe, fiaker drzemał, a zadowolony koń trzymał łeb w płóciennym worku, wyjadając obrok. Stern uruchomił motor, minął dorożkę i ruszył w stronę Sygniówki.

Państwo Estera i Dawid Reddigowie mieszkali przy Orszańskiej. Była to jedna z nowszych ulic miasta położona w jego zachodniej części, z wylotem na Gródecką, prowadzącą jak wiadomo do Przemyśla i Krakowa. Jednopiętrowa willa, której dach pokryty był grafitowym łupkiem, przypominała szlachecki dworek. Stern wysiadł z samochodu, przeciął pełen kwiatów ogród, po czym pewnym krokiem wszedł po granitowych schodach i nacisnął dzwonek.

Drzwi otworzyła mu chuda służąca ubrana w beżową sukienkę i biały fartuszek. Dziewczyna, uśmiechając się kabotyńsko, zapytała gościa o imię i nazwisko, a kiedy otrzymała wizytówkę, oddaliła się, potrząsając rudymi włosami niczym koń grzywą.

Wizyta miała krótki i nieprzyjemny przebieg. Od pierwszej chwili Sterna męczył moralny kac, gdyż kobieta, która go przywitała, była niezwykle podobna do Sary. Miała jej niebieskie oczy, jej śliczny nos i przepiękne jasne włosy, które tak samo przeczesywała palcami. Stern przyglądał się jej dyskretnie, lecz wciąż napotykał zawzięte, piorunujące spojrzenie, które zmuszało go do opuszczania wzroku na pstrokaty dywan. Sama obecność nieproszonego gościa wyraźnie działała pani Esterze na nerwy.

– Jak pan śmie nas nachodzić, panie redaktorze Stern! Pańskie czcze gadanie nie zwróci życia mojej córce.

Rzuciła jeszcze pod nosem jakieś słowo w jidysz, którego Stern nie znał, a które zabrzmiało jak przekleństwo.

Dawid Reddig, mężczyzna o wielkiej tuszy i gęstej posiwiałej brodzie, z której ledwie wystawały małe, opuchnięte wargi, nie próbował nawet łagodzić sytuacji. Obracał w palcach wizytówkę z logo „Kuriera” i złożywszy ręce na brzuchu, czekał, nie wiedząc na co. Upiorną ciszę zakłócił szerszeń, który nagle wpadł przez otwarte okno. Jakub miał ochotę wstać i rozduścić go na szybie leżącym na stoliku żydowskim tygodnikiem „Literarisze Bleter”. Rozmowa dobiegła końca. Oziębłe pożegnał się więc z gospodynią, a potem wyszedł na korytarz, odprowadzony do drzwi przez ojca Sary. Gdy znaleźli się poza zasięgiem wzroku żony, mężczyzna zwrócił się do niego szeptem:

– Moja żona odchodzi od zmysłów, czy pan to widzi? Za to, co się stało, wciąż obarcza mnie winą. Da pan wiarę, że nie była na pogrzebie? Ja zadzwonię do pana w tej sprawie jutro przed południem. Niech pan teraz prędko idzie. Nie chcę, by Estera słyszała, jak rozmawiamy – zakończył grubas i wysunął do dziennikarza miękka, spoconą dłoń.

Dawid Reddig dotrzymał słowa. Następnego dnia minutę przed dwunastą zadzwonił do Jakuba Sterna i rzucił do słuchawki tylko dwa słowa: Aaron Lintz. Była to najkrótsza rozmowa, jaką dziennikarz kiedykolwiek i z kimkolwiek przeprowadził.

Jakub nie miał czasu na samodzielne drążenie tematu. Do rozwikłania zagadki potrzebny mu był inspektor Zięba, i to natychmiast. Musiał się z nim więc przeprosić, chwilowe animozje zeszły na plan dalszy. Zaproponował mu spotkanie w szynku „Pod Kanonem”, przy Ormiańskiej, i stary lis z komendy wojewódzkiej zgodził się, od czasu do czasu bowiem spotykali się w zwykłych knajpach, których atmosfera – nie wiedzieć dlaczego – obu ich pociągała. Rozmowa nie należała do najdłuższych. Zięba spieszył się gdzieś i zdążyli wypić ledwie po jednym piwie.

– Chętnie bym ci pomógł – zaczął, odstawiając pusty kufel i wycierając dłonią usta – ale...

– Ale co?

– Nie, już nic! Powiedziałaś, Aaron Lintz?

Stern przytaknął.

– Owszem, pamiętam to imię i nazwisko. Trochę się spóźniłeś, kolego – dodał jakimś szczególnym tonem. I odczekawszy chwilę, aż na twarzy Sterna odmaluje się ciekawość, ciągnął dalej: – Zaręczam słowem honoru, że twój gość nic z własnej woli nie powie.

– Niemożliwe.

– Chcesz się, Kuba, założyć?

Po chwili inspektor zrobił się bardziej życzliwy i dodał, że chłopak, którego osobiście przesłuchiwał, ma dwadzieścia trzy lata, jest wysoki i jak to mówią kobiety, diablo przystojny. Jego ojciec prowadzi zakład pogrzebowy o wdzięcznej nazwie „Hades” na Krakidałach.

– Czy może wiesz, co go łączyło z Sarą Reddig?

– To historia, o której będą mówić nasze wnuki – zakpił inspektor. – Sara i Aaron poznali się na weselu ciotecznego szwagra albo stryjecznej siostry w Trembowli. Przepraszam, ale do tak skomplikowanych koligacji nigdy nie miałem głowy. Chłopak ją oczarował. Błyskał białymi ząbkami, potrząsał kruczą czupryną. Umiał gadać, a do tego podobno pięknie tańczył i śpiewał. Wiem, że młodzi przypadli sobie do serca. Wiem też, że zaczęli się w tajemnicy przed swoimi rodzicami spotykać. Chłopak był kilka razy u dziewczyny w willi przy Orszańskiej. No, ale niespodziewanie zdarzyła się przykrość. Pewnego dnia, zaraz po wyjściu młodzieńca, okazało się, że z szafki gospodyni zginęły precjoza. Jakiś pierścionek ze szmaragdem i diamentowy wisior. Zrobił się z tego wielki krzyk. Służąca bez zastanowienia wskazała na Aarona. Pani Reddig domagała się od nas stanowczych działań, a mąż ją wspierał. Odsyłaliśmy tę namolną parę na Komisariat Siódmy przy Gródeckiej, ale w końcu mój szef, który kiedyś pracował w Trembowli, zmienił zdanie. Sprawa była prosta, może nawet zbyt prosta. Moi ludzie pojechali do domu chłopaka i

znaleźli te wartościowe przedmioty schowane pod łóżkiem, w jego torbie. Chłopak zaklinał się, że jest niewinny. Stary Lintz wynajął adwokata, ale pani Reddig także nie próżnowała. Opłaciła swoich mecenasów. Wesołowski i Wesołowski, sam przyznasz, że lepiej mieć tę bandę jazgotliwych papug po swojej stronie. Dalej możesz się domyślać. Chłopak stanął przed sądem, a nieomylny sędzia skazał go na dwa lata. Nie muszę ci tłumaczyć, że dwa lata dla takiego smarkacza to niemal wieczność. Szczeniak nie mógł w celi wysiedzieć. Odgrażał się, że jeśli go nie wypuszczą, pożegna się z życiem. I jak powiedział, tak zrobił. Dwa tygodnie temu powiesił się na pociętym w pasy prześcieradle.

Stern przez moment milczał.

– Sugerujesz, że go w tę kradzież wrobiono? – zapytał wreszcie, spijając orzeźwiająca piankę.

– Gdzież bym śmiał szargać dobre imię justycji – powiedział Zięba. – Proces był jak się patrzy, tyle że mamusia śmiertelnie obrażona na córeczkę nie chciała jej więcej znać. Nie pasował jej zięć, który zbija trumny i kopie na cmentarzu doły. Znalazła więc salomonowe wyjście: wynajęła panience stancję, by zapomnieć o mezaliansie.

– Niepojęte.

– Obrażasz się, Kuba, na fakty? – rzucił Zięba z miną baranka wielkanocnego. – Sam mi kiedyś wciskałeś, że twoi czytelnicy uwielbiają takie smaczki. À propos, czy mam ci opowiedzieć jeszcze inne fakty z jej życia? Podać nazwiska i imiona innych mężczyzn? Lista jest długa. Za wsze wydawało mi się – popraw mnie, jeśli się mylę – że tę panienkę idealizujesz.

Wspomnienia nie chciały odejść i Jakub wciąż miał przed oczami perfidny uśmieszek Zięby. Ze złością naciągnął kołdrę pod szyję. Po głowie tłukła mu się myśl o własnej winie. W końcu znalazł dla siebie usprawiedliwienie i przytulił się do żony. Poczł pod ręką twardniejącą

pierś, rozlewające się ciepło wprowadziło go w błogi stan. I Jakub Stern zasnął, słuchając miarowego tykania zegara.

Sobota, 14 maja

Brak wiatru. Temperatura sięgająca nad ranem ledwie dwunastu stopni i ten sam łeb rottweilera zaglądający do jego okna – ogromna chmura, zapowiedź majowego deszczu.

Stern stanął w kuchni przy oknie, dokładnie w tym samym miejscu co poprzedniego dnia, by stwierdzić, że ciemny obłok nieznacznie się cofnął, zahaczając o Górę Stracenia przy starym żydowskim cmentarzu. W prostej linii było to jakieś trzy i pół kilometra. Przyglądając się psiej głowie, wyraźnie rozpoznawał szeroką szczękę, obwisłe wargi i średniej wielkości uszy. A potem zmrużył oczy i spróbował wyobrazić sobie opisaną przez córkę wiszącą w salonie umbrę.

Za kwadrans powinien wyjść do redakcji. Machinalnie połykał jajecznicę posypaną trembulką, słuchając słów Anny. Uśmiechnięta wspominała wczorajszy wieczór, a potem jeszcze raz przypomniała, że jej marzenie nazywa się „Marechal Niel”.

– Pamiętasz, Kuba?

Udał, że nie słyszy, trzymając jednak kciuki za skuteczność Długolaty.

O dziewiątej Stern przekroczył próg redakcji z nadzieją, że Wilga zmieniła zdanie. Kiedy minął sekretariat i zmierzał do swego pokoju na piętrze, na korytarzu niespodziewanie pojawiła się boska, długonoga Andrea. Zagroziła mu drogę, a potem bez słowa złapała go za rękę i pociągnęła za sobą.

– Kuba, z nieba mi spadasz. Całą noc balowałam z radiowcami i mam dziś w głowie zaćmienie księżyca. Piszę ogłoszenie o... – spojrzała na pokreśloną kartkę – o jakiejś pieprzonej steno-pistce dla „Elinu”, a ja się nie wyznaję w tym trefnym temacie. Zrób to za mnie, błagam.

Stern wyjął z jej delikatnych, wypieszczonych palców ołówkę, przeczytał ogłoszenie i jednym pociągnięciem napisał: „Poszukujemy

zdolnej stenotypistki polsko-niemieckiej. Warunek: biegłość w korespondencji niemieckiej. Reflektujemy tylko na siłę z praktyką. Własnoręczne oferty prosimy kierować do firmy »Elin«. Osobiste przybycie bezcelowe".

Andrea patrzyła z niedowierzaniem, potem pocałowała go w policzek wilgotnymi ustami i zdradziła, że była w „Bagateli", że wciąż szumi jej w głowie szampan i że Manio absolutnie nie może się dowiedzieć, iż radiowcy chętnie widzieliby ją u siebie.

– Podobasz mi się, ale jesteś jakiś dziwny – powiedziała, gdy wychodził już z pokoju. – Czasem to się nawet ciebie boję. Gdybyś nie był takim ponurakiem, to kto wie?

Idąc do siebie, rozpamiętywał delikatny zapach perfum Andrei. Nagle zobaczył Wilgę, a raczej jej brązowe klasyczne czółenka i eleganckie pończochy. Szła wolno po schodach, jakby dźwigała jakiś ciężar. Pozwolił jej wejść na górę i przekręcić klucz. Począł jeszcze chwilę, potem znacząco chrząknął i nacisnął kłamekę.

Na jego „dzień dobry" odpowiedziała mruknięciem. Nie podejmowała też rozmowy, gdy zahaczył o pogodę i o jej perską kotkę, która podobno na dniach spodziewała się potomstwa. Siedziała za biurkiem z podkrążonymi oczami, przygaszona i nie do życia.

Widział, jak machinalnie sładzi herbatę, sypiąc bez opamiętania cztery łyżeczki do porcelanowej filiżanki, jak ucieka spojrzeniem po ścianach. W jej głowie wyraźnie przetaczała się burza za burzą i w końcu powiedziała coś, co zmroziło Sterna:

- On chce się ze mną skontaktować.
- Kto? Kto chce się z tobą skontaktować?
- On – powtórzyła z przejęciem.
- Jaki on?
- Doskonale wiesz, proszę cię, nie udawaj. Szukamy go od kilku miesięcy.

Stern zaniemówił.

– Skąd wiesz?

– Dostałam zaproszenie, przyszło na moją redakcyjną skrzynkę, spójrz.

– Podała mu kopertę. – Tu jest dzisiejsza data i adnotacja, że dzisiaj się odezwie. Może powinnam zadzwonić do Zięby?

– Nie bądź śmieszna, to jeszcze nic nie oznacza – powiedział, jak mógł najspokojniej. – Kilka takich zaproszeń trafiło ostatnio do magistratu. Manio pokazał mi jeden jego malunek.

– Ale dlaczego ja?

– Bo twoje teksty wzbudziły jego ciekawość. Sama wiesz, że nasza praca jest obarczona ryzykiem. Nie chwając się, ja też raz dostałem od niego taki bohomaz.

Wilga nie słuchała, zatopiona w myślach.

– Zastanawiam się jeszcze.

– Nad czym?

– Jeśli się odezwie, czy to zaproszenie przyjąć.

– Oszalałaś? Chcesz tego naprawdę? – Nie dowierzał.

– Doskonale wiem, czego chcę. Muszę tylko czekać.

– Na co? Aż cię znajdzie?

– Właśnie, może do mnie zadzwoni lub przyśle telegram. Może ma mi coś ważnego do powiedzenia.

– To jakieś szaleństwo. Jesteśmy razem, razem działamy i dopóki tak jest, wierz mi, nic ci nie grozi.

– Już za późno!

– Na co?

– Na takie rozmowy!

– Nie wiesz, co mówisz! Facet jest niebezpieczny, ma setki sposobów, jak wielki wygłodniały pająk.

– Czemu porównałeś go do pająka? Co chciałeś przez to powiedzieć? Na moim miejscu...

– Ale ja nie jestem na twoim miejscu! – przerwał jej sztywno Jakub. – I dla porządku powiem ci, że ja...

– Widzę po twojej minie, że pierwszy byś stchórzył! – odparowała.

– Nigdy nie działałam pod wpływem emocji, wszystko dogłębnie analizuję. – Po chwili żałował już tych słów, bo Wilga zabrała torebkę i wybiegła z pokoju. Siedział jak odrętwiały, a potem ruszył za nią w pogoń. Zajrzał do wszystkich pokoi, pytając, czy jej nie było. Na końcu wszedł do sekretariatu, lecz Kazia na jego pytanie pokręciła przecząco głową.

Dostrzegł z daleka jej beżowy żakiet. Stała przy witrynie antykwariatu przy Hetmańskiej, udając, że czyta tytuły wyłożonych książek.

Stern stanął za nią i milczał, nie wiedząc, jak zacząć. Wilga zauważyła go w szybie i ruszyła przed siebie, lecz szybko ją dogonił.

– Uspokój się!

– To ty się, cholera, uspokój!

– Nie powiedziałem ci wszystkiego.

– Nie jestem ciekawa!

– Musisz mnie wysłuchać! – Jakub szarpnął ją za łokieć, zwracając na siebie uwagę dwóch wojskowych idących sprężystym krokiem w stronę Sykstuskiej.

– Puść mnie! – krzyknęła, wyrywając się.

Dwaj oficerowie z 14. Pułku Ułanów, z żółtymi otokami na czapkach, zatrzymali się, gotowi w każdej chwili zaprowadzić porządek. Wilga wykorzystwała ich obecność i zaczęła biec. Stern szedł za nią wolnym krokiem, a kiedy oddalił się od wojskowych, ostro ruszył w pogoń, roztrącając przechodniów, lecz znowu stracił ją z oczu.

Dostrzegł ją w ostatniej chwili na przystanku między Furmańską i Kazimierza Wielkiego, gdy wsiadała do pierwszego wagonu tramwaju. Wskoczył na tylny pomost, niemal skręcając sobie kark.

– Ali kindurs! Zy świata chcy zyjść? – rzuciła w jego stronę jakaś kobieta z pretensją. – Dla jakijś dziuni?

– To moja sprawa – powiedział bezczelnie.

– Ta, pana, pana, a czy ja mówi, ży ni pana?! – komentowała na głos niewiasta, gdy zaczął przepychać się do przodu.

Nie spuszczał Wilgi z oczu, a kiedy wysiadła, odczekał moment i znowu wyskoczył, by przeciąć jej drogę na Wałach Hetmańskich.

– Nie musisz się mnie bać! – zawołał, podnosząc rękę.

– Kuba! Jeśli jeszcze raz do mnie podejdziesz, będę krzyczeć! – zagroziła.

– Wszystko będzie dobrze – starał się ją uspokoić.

– Chcę tylko z tobą porozmawiać, jest umowa, tak?

– Przecież ty nie dotrzymujesz umów! – krzyknęła wściekle, omijając go i kierując się w stronę ulicy Kopernika.

– Ustaliliśmy kiedyś zasady: pracujemy razem. Nie zaprzeczysz, że wczoraj udał nam się wywiad z panią Stelze!

– I co z tego! Cholernie przejąłeś się moją rolą – powiedziała już łagodniej, zwalniając nieco.

– Możemy usiąść? – zapytał przebiegle, wskazując ławkę pod okazałym klonem, niedaleko żeliwnej pompy.

– Coś słabo u pana redaktora z kondycją – zakpiła, rozglądając się czujnie na boki. Usiadła na skraju ławki, gotowa natychmiast się poderwać.

– Nie musiałaś uciekać – powiedział, zajmując miejsce obok.

– A ty nie musiałeś...

Zamilkli, dysząc ciężko.

– Masz rację – spróbował uspić jej czujność. – Oboje popełniliśmy błąd. Najwyraźniej bawi go nasza sytuacja. To nie jest przyjemniaczek, to nie jest zwykły przeciwnik, tylko niebezpieczny czubek. Facet potrzebuje

widzów, by kreować przed nimi swój absurdalny świat! Z taką wiedzą nie masz prawa nawet myśleć o tym spotkaniu.

Wilga przełknęła uwagę.

– On chce, żebym była jego widzem.

– To wykluczone.

– Wybrał mnie, bo chce mnie do czegoś przekonać. Zrozum, to nasza jedyna szansa!

– Masz chęć trafić pod jego skalpel jak Sara? Chcesz, by przeprowadził na tobie swój dowód do końca?

Wilga zatkała uszy. Korciło ją, by się przyznać, że nie przyjechała do Lwowa dla przyjemności, lecz uciekła z Łodzi, bo naraziła się swoimi tekstami miejscowej żulii i groziła jej dintojra. Milczała przez chwilę, a potem niespodziewanie wstała.

– Zostaw mnie teraz! – poprosiła cicho. – Muszę to przemyśleć. Później porozmawiamy, lecz teraz, błagam, zostaw mnie w spokoju.

Ruszyła w stronę placu Mariackiego. Pomyślał, że nie jest zwykłą babą, która tęskni za mężem, domem i dziećmi, że drzemie w niej jakaś szalona, męska determinacja. No i idealnie nadawałaby się na nasłaną przez Ziębę agentkę. Była poukładana jak facet. Kto wie, czy szczywany Manio nie dogadał się za jego plecami z inspektorem? Od pewnego czasu byli w dobrej komitywie, świadcząc sobie uprzejmości. Naczelnny puszczał teksty, które dostawał od inspektora, i kółko kręciło się, aż miło.

Kiedy podniósł się z ławki, dostrzegł jej sylwetkę przed wejściem na plac. Odwrócona do niego tyłem, wyniosła, wyglądała jak stojąca na postumencie Matka Boska.

Dwie godziny później wrócił od Mania po zdaniu mu relacji z poprzedniego dnia, a Wilgi nadal nie było w pokoju. Zastanawiał się, czy nie powinien zawiadomić naczelnego o szalonym pomysle pani redaktor, lecz uznał, że nigdy by mu tego nie wybaczyła. Na jej posprzątanym biurku stała maszyna do pisania z rozpoczętym tekstem o oszustach,

którzy siedmiu rodzinom wynajęli tę samą willę na Sygniówce, a obok maszyny unosił trąbę porcelanowy słonik.

Stern był wściekły na siebie, najbardziej za to, że to Wilga rozdawała teraz karty, że nie przejęła się jego gadaniem i że idiotyczny scenariusz, który sobie wymyśliła, może się spełnić.

Jakby miał tego dnia za mało problemów, pojawiła się przysłana przez Kazię stara łyżczakowska panienska do towarzystwa, która, powołując się na radiowy komunikat, zaoferowała mu pomoc w rozwiązaniu sprawy. Powiedziała, że dużo wie, „bardzo duzio, mój ty przystojniaku, ale wpierw na stole muszą leżeć dwie stówki, bo ja za darmo nie lubiem pracować”.

Była zawiana. Z wyskubanych brwi spadały jej drobinki henny, a bezzębny uśmiech przesadnie podkreślała karminowa szminka. Stern szybko pozbył się interesownej panienski i zszedł do sekretariatu zapytać o Wilgę. Kazia uspokoiła go, że zguba się znalazła, że rozmawiała z nią przed chwilą i że pani redaktor dopiero co znowu wyszła do miasta.

– Wybierała się do Ruckera opisać mięsną aferę, ale w ostatniej chwili zmieniła plany. Kiedy była w sekretariacie, przybiegł do niej jakiś goniec z ważną wiadomością. Wilga powiedziała, że niedługo wróci. A coś nie tak, panie Jakubie?

Stern burknął coś pod nosem i Kazia zrozumiała, że lepiej nie wchodzić mu teraz w drogę.

W tej sytuacji Jakub również zmienił swoje plany. Zamiast produkować letnie felietoniki, postanowił sprawdzić niedokończony wątek śledztwa i odwiedzić swojego dawnego studenta Roberta Bareckiego w jego domu przy Długosza. Miał nadzieję, że przy odrobinie szczęścia zastanie go i odnajdzie brakujący fragment układanej przez Wilgę łamigłówki.

Kiedy dotarł na miejsce, zobaczył niedużą willę w ciepłym piaskowym kolorze. Otaczał ją gęsty żywopłot z irgi, domagający się pilnego przycięcia. Za żywopłotem widać było zapuszczony ogród, w którym

spomiędzy bujnych traw wychylały się irysy i konwalie. Na wprost wejścia, po obu stronach szutrowego chodnika, rósł szpaler tui wyglądających jak smukłe wrzeciona.

Pchnął furtkę i wszedł do środka.

Willa wyglądała na niezamieszkaną. Na drewnianym ganku stały wiklinowe krzesła i stół ze szklanym blatem pokrytym martwymi, zaschłymi już muchami.

Stern wszedł po schodach i zastukał mosiężną kołatką do drzwi. Nie było odpowiedzi, więc ponowił próbę, tym razem o wiele głośniej. Wydawało mu się, że ktoś go ostrożnie obserwuje zza firanki.

Chwycił za klamkę i mocno pchnął drzwi. Musiał wyglądać na przestępcę, bo stojąca za nimi stara kobieta aż podskoczyła z przerażenia. Była bosa i dziwacznie ubrana. Na sukienkę w kwiaty nałożyła czarną halkę, a w siwe włosy wpięła kolorowe kokardy jak mała dziewczynka.

– Proszę się mnie nie bać – powiedział najspokojniej, jak tylko potrafił.

– Nie mam złych zamiarów. Nazywam się Jakub Stern i jestem przyjacielem pana Roberta. Mieszka tu, prawda?

Kobieta skinęła głową, w dalszym ciągu niepewna, jak ma się zachować wobec niespodziewanego gościa.

– Mam dla niego wiadomość z uczelni – wymyślił naprędce kłamstwo.

Gospodyni zaprosiła go do środka, a kiedy znaleźli się w przedpokoju, wskazała krzesło, z którego zdjęła brudną szmatę. Potem kaszlnęła i podrapała się w czubek nosa, jakby dając do zrozumienia, że już nie boi się intruza.

– I nie jest pan tym nowym lokatorem, o którym mówił Robert? – zapytała ledwie słyszalnym głosem.

– Skądże znowu. Mam własny dom z ogrodem i mieszkam na Pohulance.

– Chwała Bogu Najwyższemu, amen – przeżegnała się. – Już myślałam, że będzie pan tu z nami mieszkał. Zresztą – spojrzała na Sterna

– może pan tu sobie mieszkać, ja i tak niedługo trafię na ulicę.

– Kto to pani powiedział?

– Mój syn. On mówi, że tam jest moje miejsce.

– Pan Robert?

– Tak.

– To na pewno jakaś pomyłka. Jestem przyjacielem pani syna i przyszedłem z nim porozmawiać – usprawiedliwiał się dziennikarz.

Kobieta z niepokojem popatrzyła na wiszący na ścianie zegar.

– On powinien już być. W soboty przychodzi wcześniej ze swoich treningów.

– Wiem – nie przestawał kłamać Stern – i właśnie dlatego tu jestem.

– Czy chwalił się już panu, że oni chcą nas powiesić na gałęziach? – zapytała z rozbieganym wzrokiem.

– Kto?

– Oni. Robert mówił, że skręcili już na nas sznur.

Stern pomyślał, że jeszcze niedawno musiała być piękną kobietą, na której brutalnie odcisnęło się piętno rodzinnej tragedii. Na jej szyi wisiał sznur bursztynów, a usta były przesadnie wymalowane tanią kredką, zachowała jednak zgrabną sylwetkę, a jej złotobrązowe oczy miały w sobie jakiś ciepły blask.

Nagle na ganku rozległy się kroki. Stern wstał z krzesła i w tym momencie zobaczył rozgorączkowanego, wściekłego Roberta.

– Ostrzegałem cię, żebyś z nikim nie rozmawiała! – wyrzucił z siebie tamten, zwracając się do matki. – Wracaj do pokoju, słyszysz? Tam jest twoje miejsce! Gdyby nie ty, ojciec dalej miałby kolegów i pracę.

– Wiem, synku, i przepraszam cię za wszystko – powiedziała, przypadając do jego kolan. Potem chwyciła go za rękę, próbując ją ucałować.

Chłopak wyszarpnął dłoń.

– Idź i nie rób mi wstydu! – Speszony podniósł ją z podłogi i pchnął w kierunku pokoju. – Później sobie porozmawiamy, a teraz już idź.

Kiedy kobieta wyszła, Robert spiorunował wzrokiem gościa, jakby odkrycie tej domowej prawdy odebrało mu resztki godności.

– Po co pan przyszedł, panie Stern? Chyba nie po to, by dokończyć ze mną swoje paskudne ćwiczenia?

– Czy możemy porozmawiać? – zapytał Jakub, nie zważając na gniewne słowa. – Mam do pana kilka pytań.

Robert Barecki zdjął z ramienia sportowy worek z ubraniami i rzucił go niedbale na podłogę.

– Pan wykładowca raczy pójść przodem! – I wskazał ręką salon.

Pomieszczenie, do którego weszli, było jasne i obszerne. Na środku stał okrągły stół z blatem z włoskiego orzecha wspartym na rzeźbionej nodze. Wokół stało sześć krzeseł w stylu Ludwika XVI o miodowych welurowych obiciach. Z prawej strony pod ścianą Jakub dostrzegł biurko, na którym leżały w nieładzie jakieś podręczniki, zeszyty, kartki i obsadki. Na ścianach naprzeciw okien wisiały grafiki przedstawiające scenki z powstania listopadowego i jedno zdjęcie Marszałka z sumiastym wąsem, w srebrnej ramce. W kącie salonu, między dwoma fotelami leżała na drewnianej skrzyni szpicruta, a obok terminarz, taki sam, jaki miał w swoim gabinecie Emilian Kanclerz.

Student rozsiadł się w fotelu i patrzył spode łba na gościa.

– Może pan wreszcie powie, czemu zawdzięczam tę niespodziewaną wizytę?

Stern nie przejął się tonem chłopaka.

– To pana mama? – zapytał, wskazując wiszącą na ścianie fotografię ślicznej dziewczyny z warkoczem.

– Nie pańska sprawa!

– Nie moja, wiele spraw nie jest moich, a jednak zajmuję się nimi, szukając ostatecznego wyjaśnienia. A to, czy to pana? – zapytał Stern,

podnosząc terminarz ze skrzyni.

– Każdy student i wykładowca może sobie to kupić w uczelnianym kiosku. Wystarczy już moich wyjaśnień?

Stern odłożył kalendarz na miejsce, ale zdążył go przekartkować i zauważył, że w środku brakowało kilku kartek.

– Jak pan wie, po przygodzie na uniwersytecie wróciłem do „Kuriera” i zajmuję się, jak dawniej, dziennikarstwem śledczym. Pracuję z asystentką, panną Wilgą de Brie. W środę spotkała się z panem i odniosła wrażenie, że nie był pan szczery. Jestem oczywiście zaniepokojony tym bezzasadnym posądzeniem. Bo to jest posądzenie, prawda?

– O co wam chodzi?

– Spieraliśmy się. Pani Wilga nie chciała się ze mną zgodzić. Twierdziła, że nie działał pan sam i musiał mieć współnika. Może pan oczywiście zaprzeczyć.

– Nic panu nie powiem. Proszę stąd wyjść!

– A jeżeli chcę panu pomóc?

– Sam sobie dam radę. Niedługo wyprowadzimy się stąd i wszystko się skończy.

– Nie ucieknie pan od wspomnień.

Barecki wstał i rozkołysanym krokiem podszedł do Sterna. Zatrzymał się przed fotelem, w którym siedział dziennikarz.

– Zaczynam pana podziwiać – powiedział, nachylając się nad Jakubem.

– Martwi się pan o moje wspomnienia? Co pan w ogóle wie?

– Wiem, że pan tego nie chciał, i wierzę, że to był wypadek.

Barecki obrócił się i z całej siły uderzył pięścią w stół, omal go nie przewracając.

– A może naprawdę miałem chęć skrócić temu skurczybykowi kark? Przefasonować jego śliczny cyferblacik, żeby go nie poznała rodzona mamusia? Pan nie znał tego drania! Stał pan sobie wygodnie za katedrą i czekał, aż dziewczyny polecą na pańskie bzdety.

– Więc pańska historia też jest bzdetem?

– Co pan ma na myśli? – Barecki podniósł szpicrutę i zaczął nią uderzać o udo.

– To, że...

– Teraz boi się pan, że załatwię pana tak samo jak jego?

– Obawiam się, że nie starczy panu odwagi – zaczął bezczelnie dziennikarz.

– Spróbujemy?

– Musiałby mnie pan zanieść aż na Rynek, a to wymaga trochę zachodu.

Barecki odrzucił szpicrutę w kąt i zrezygnowany siadł naprzeciw Sterna w fotelu. Przez chwilę milczał, patrząc smętnie na swoje zakurzone buty, wreszcie się przełamał.

– Tego dnia byłem wściekły, bo drugi raz zawałem egzamin – powiedział. – Kiedy w czwartek o wpół do ósmej wieczorem stałem pod tablicą ogłoszeń na naszym wydziale, niespodziewanie napatoczył się Zimmer. Był na lekkim rauszu, ja zresztą też co nieco wypłem. Nie miałem zamiaru się z nim bić, ale on wyraźnie szukał zwady.

Dziennikarz nie odzywał się, wbił tylko wzrok w chłopaka.

– Mówiłem mu, żeby się odczepił, on dalej mi wymyślał. Powiedział, że jestem złamany... no wie pan, bo słabo pilnowałem Róży, kiedy odbił mi ją Maska.

– Kto?

– Kanclerz, zna go pan. Przed panem prowadził z nami ćwiczenia.

– Z tą odbitą dziewczyną to prawda? – rzucił Stern, przypominając sobie, że posądzał Bareckiego o smalenie cholewek do Sary.

– To nie ma nic do rzeczy! – powiedział Barecki podniesionym głosem.

– Co było potem?

– Nie mogłem puścić mu tego płazem. Poszliśmy z uczelni do parku Kościuszki. Jest tam taki mały skwerek, chyba pan wie, otoczony

wysokim żywoplotem, i z zewnątrz nie widać, co dzieje się w środku. Zmierzchało, o tej porze mało kto chodzi po parku, więc nie było świadków. Na początku walka była honorowa. Przepisowy czysty boks, tak jak się umawialiśmy, bez żadnej kopaniny. Przyjąłem kilka ciosów na gardę, a wreszcie, gdy się głupio odsłonił, strzeliłem go w mostek i poprawiłem w szczękę lewym sierpowym. Wtedy zaczął mnie przeklinać i niespodziewanie wyjął z kieszeni nóż. Wyobraża pan sobie? Machał przede mną kosą jak bandyta. Nie miałem wyboru, zrobiłem unik, jak na treningu, potem wycelowałem mu pięścią w grdykę i było po sprawie. Leżał i przebierał nogami jak baba. Czołgał się, ledwie łapał powietrze i dalej plótł bzdury o mnie i o Róży! Odszedłem, ale po kwadransie, gdy ochłonałem, zrobiło mi się go żal, więc wróciłem sprawdzić, co z nim, ale...

– Ale?

– Już go tam nie było.

– I pomyślał pan, że jest po sprawie, że Paweł Zimmer otrzepał się i wrócił do domu. Tymczasem następnego dnia dowiedział się pan, że ktoś nadział pańskiego sparingpartnera na trójzab Neptuna.

Barecki skulił się.

– Proszę, niech mi pan tego nie przypomina. Doskonale wiem, że ma pan prawo mi nie wierzyć.

– I nic nie ma pan na swoje usprawiedliwienie? – Stern wstał z fotela i podszedł do okna. – Co pan robił przez ten cholerny kwadrans? – zapytał, patrząc na zapuszczony ogród.

– Nic, pospacerowałem, położyłem się na jakiejś ławce.

– Gratuluję! A co się stało z nożem? Przecież wspomniał pan, że Zimmer miał nóż.

– Nie pamiętam, może wetknąłem mu go do kieszeni? Czy to takie ważne?

Stern nie miał już chęci bawić się w detektywa z tym mało rozbudowanym studentem. Kiedy gapił się na bujną zieleń za oknem, przyszły mu do głowy dwie możliwości, naturalnie przy założeniu, że Barecki mówi prawdę. Albo Zimmer powlókł się do miasta i tam trafił w łapy szaleńca, albo odwrotnie, ten ktoś był w pobliżu i obserwował walkę z ukrycia. Pierwsza wersja wydała mu się mniej prawdopodobna. Jeśli ciałem Zimmera „zaopiekował się” szaleniec, to jego zdobycz była przypadkowa, coś jak wygrany na loterii los. I w tym momencie Stern cofnął się w swoich rozważaniach do początku sprawy, czyli do scenariusza, który zapisała na tablicy Sara.

– Czy widział pan w pobliżu jakiś pojazd? – zapytał, siadając w fotelu.

– Może.

– Może?

– Mówiłem, że nie pamiętam. Przed wejściem do parku stał chyba jakiś granatowy szewrolet, a za nim czarny fiat Kanclerza, no, ale on bardzo często tam parkuje, więc się nie liczy. Ostatnio wozi go do domu profos. Maska wie, jak się urządzić – dodał zgryźliwie. – Widziałem też kilka rowerów i chyba ze trzy dorożki.

– Czy może pan określić, w jakiej odległości od ulicy rozegrała się wasza bijatyka?

– Nie liczyłem, ale alejka ma jakieś sto pięćdziesiąt kroków.

– A więc można tam podjechać samochodem?

– Tak, tylko po co?

Stern skrzywił się. Miał już dość tych wymijających odpowiedzi.

– Czy ktoś jeszcze się panem interesował, prócz mnie i panny Wilgi? To ważne.

– Sądzi pan, że coś mi grozi?

– Niewykluczone, że jest ktoś, kto bardzo się panem interesuje – powiedział dziennikarz, wstając.

– Nie wie pan, kto to może być? – zapytał wylękniony Barecki.

– Też chciałbym znać odpowiedź na to pytanie. Czy może mi pan coś obiecać?

– Słucham, proszę pana.

– Niech pan teraz pójdzie do swojej mamy i niech pan z nią, panie Robercie, porozmawia. Ona nie zasłużyła na to, by przelał pan na nią całą swoją gorycz. I jeszcze jedna prośba, niech pan jak najszybciej, najlepiej dziś albo jutro z rana, zgłosi się do inspektora Zięby w komendzie wojewódzkiej i wszystko mu opowie. Tak będzie dla pana lepiej. Obiecuję mi pan?

Barecki stał zmieszany, ze wzrokiem wbitym w parkiet. Stern podał mu na pożegnanie rękę, czując drżenie wielkich, spoconych palców osiłka.

Jakub wyszedł z domu Bareckiego poruszony. Tylko jeden wykładowca z jego znajomych dojeżdżał na uczelnię samochodem i tylko jeden miał zwyczaj przesiadywać do późna w swoim gabinecie. Tym kimś był rywal Bareckiego do uczuć Róży – Emilian Kanclerz.

Oczami wyobraźni widział Kanclerza taszczącego ciało Zimmera na szczyt fontanny. Czyżby ten tytan pracy, sponsor sportowców, był aż tak pewny siebie?

I wtedy przypomniał sobie uwagę Róży Winkler, że zbrodni mógł się dopuścić tylko ktoś spoza uniwersytetu. Mógłby, pomyślał zadowolony z siebie, podzielić się tymi wiadomościami z drepczącym w miejscu Ziębą, choćby po to, by zobaczyć jego minę. Postanowił jednak poczekać na stosowny moment, na ostatnie informacje od Wilgi.

Nachylił się i zerwał dla niej kilka gałązek konwalii, a potem szybkim krokiem skierował się w stronę redakcji.

Nie zastał Wilgi. Redakcja świeciła pustkami, zniknął nawet Maczała, tylko nowy księgowy Leya błąkał się jak duch po korytarzu.

– To dla jakiejś panny? – Patrzył przymilnie na Sterna chowającego kwiaty za plecami.

Dziennikarz nie odpowiedział.

– Proszę mi wybaczyć, zawsze brałem pana za zasadniczego, a tymczasem pan redaktor okazuje się romantykiem jak ja. – Leya uśmiechnął się dobrotliwie. – Zdradzę coś panu. Mam pewną słabość i nie mogę się od niej uwolnić.

Stern nastawił uszu, przygotowany na intymne wyznanie.

– Od dziecka interesuje mnie epoka lodowa. Nie wyobraża pan sobie, jakie to jest podniecające. Ta nieubłagana konieczność. Tam, gdzie było życie i pasły się zwierzęta, króluje lód i nie ma żadnego odwołania. Kompletna bessa przez setki lat, jak powiedziałby gracz giełdowy. Jeśli znajdzie pan czas, możemy o tym chwilę pogadać.

– Z przyjemnością – odparł Stern, kierując się do wyjścia.

– Mam też swoje wyjaśnienie – Leya tajemniczo zniżył głos.

– Czego?

– Chmury, panie Jakubie. Może nie zwrócił pan na nią uwagi, ale powiem panu, że to nie jest całkiem normalne. Cumulonimbus, rzadko spotykany okaz. Ładnie się ta bestia nazywa. Bo to jest bestia, jeszcze kiedyś wspomni pan me słowa.

Kilka minut po czwartej zawiedziony Stern opuścił redakcję, a przywędłe kwiaty wylądowały w pierwszym napotkanym koszu.

W drodze do domu skonstatował, że kolejny tydzień minął jak jeden dzień. Próbował pomyśleć o czymś przyjemnym, lecz jego rozważania znowu rozbiły się o ścianę wspomnień. Jeszcze raz Sara. Ile razy będzie do niej wracał? Nie mógł się od niej uwolnić nawet po jej śmierci, nie potrafił też uwierzyć, że mogła mieć cokolwiek wspólnego z obleśnym Kanclerzem. Relację Róży zapisał, rzecz jasna, na konto babskiej zazdrości.

Po tym spostrzeżeniu przyszło mu do głowy, że zachował się wobec Sary nie fair. Od pogrzebu, który był prawdziwą studencką manifestacją, ani razu nie był na jej grobie, chociaż minęły już prawie trzy miesiące.

Obiecywał sobie, że naprawi błąd, że w wolnej chwili pójdzie na kirkut, by zapalić znicz i położyć na macewie kamyczek pamięci. Dotąd jednak nie znalazł czasu. Bał się czegoś? Czego? Że zobaczy wyryte na kamieniu jej imię?

Anna podeszła do niego w chwili, gdy podkreślał coś w tekście na czerwono. Siadła w nogach łóżka i poprawiając włosy, zapytała, jakby chciała skończyć przerwana wcześniej rozmowę:

– Więc jak ona się nazywa?

– Kto?

– Nie udawaj. Przecież Mańkiewicz coś ci obiecał. A faceci załatwiają takie sprawy od ręki.

Zastanawiał się, czy skłamać, lecz zaskoczony nie mógł nic sensownego wymyślić, obrał więc inną taktykę.

– Wilga – powiedział, jak tylko mógł naturalnie. – Ma na imię Wilga, tak jak wędrowny ptak.

– To bardzo rzadkie słowiańskie imię. O ile pamiętam, wróży nieszczęście, a może nawet śmierć.

– Dodaj, że zapowiada deszcz i że jest płochliwa. – Odłożył pokreśloną gazetę i spojrzał na nią zdziwiony. – Co ci przyszło do głowy? Chyba nie wierzysz w przesady?

– Ładna? – nie przestawała pytać.

– W każdym razie nie w moim typie! – rzucił niedbale, chcąc podkreślić, że żadne, ale to żadne uczucie nie ma prawa między nimi się zrodzić. – Południowa uroda, czarne kręcone włosy, brązowe oczy, szczupła, dość wysoka. Co ci mam jeszcze powiedzieć, aha, ma maleńki pieprzyk na policzku. Ubiera się z gustem. Ciemny żakiet, biała koszula, żadnych ozdób, lubi nosić spodnie i klasyczne czółenka. Chyba nie zwróciłaś na nią uwagi.

– Chyba? A ty?

– Już mówiłem, że takie dziewczyny nie robią na mnie wrażenia, poza tym...

– Co?

– Jest ambitna, powiedziałbym, że przesadnie. Od pierwszych godzin ze mną rywalizuje. Jej ojciec był francuskim wicekonsulem w Rydze, matka zaś wykładała na tamtejszym uniwersytecie historię sztuki. Tam się poznali. Tam przyszła na świat ich jedyna córka. Manio powiedział, że po ich tragicznej śmierci w wypadku lotniczym pod Poznaniem Wilgę wychowywała ciotka. Dziewczyna po śmierci rodziców szybko się usamodzielniała. Przez półtora roku pracowała w stolicy, kolejny rok w łódzkim oddziale „IKC”. Mańkiewicz śledził jej karierę i, jak mi donieśli życzliwi, po prostu ją podkupił. Dziewczyna jest nieobliczalna. Poza tym nie mdleje na widok krwi, nie popada w rutynę. Dlatego dał jej wolną rękę i zlecił dziennikarskie śledztwo. Teraz ona próbuje wykryć seryjnego mordercę, a ja...

– Co ty?

– A ja mam jej w tym pomóc. Jeśli cię to interesuje, nadal jest samotna, mieszka na jakiejś stacji. – Stern specjalnie zaakcentował słowo „jakiejś”. – Dziewczyna lubi...

– Skończ wreszcie z tą cholerną „dziewczyną” – przerwała mu zdecydowanie. – Za chwilę pewnie powiesz mi jeszcze, jakiej używa szminki i perfum. Nie chcę już tego słuchać.

Odebrała mu gazetę i wiedział, że za moment ucieknie się do wypróbowanego sposobu, żeby go do siebie bardziej przywiązać. Że zacznie delikatnie masować opuszki jego palców, a potem poczuje na szyi jej gorący oddech i słaby zapach róż, a potem poprosi go, zawstydzona, by zgasił lampkę.

Anna zmieniła się po urodzeniu syna. Nie tylko nieco przytyła w biodrach – ale tylko tyle, by sukienki na niej nie wisały – ale też zaczęła okazywać mu coraz częściej uczucia. Lubiła przebywać w jego

towarzystwie, a nawet zauważył, że pod jego nieobecność wchodzi do gabinetu, by powdychać woń jego papierosów i uporządkować jego książki. Starła się też odgadywać jego życzenia. A raz nawet wybrała się z nim w niedzielę na wyścigi konne na Persenkówkę. Zaskoczyła go tym. Nauczyła się na pamięć imion koni: Narecz, Łapa, Orda... i udawała, że naprawdę pasjonuje się gonitwami.

Kiedy obstawiona przez nią klacz Navycut zwyciężyła w szóstej gonitwie, w następnym wyścigu Anna postawiła całą wygraną, trzysta pięćdziesiąt złotych, na Szaloną. Kiedy jednak wygrał Bejrut, rozpłakała się i powiedziała, że to jest niesprawiedliwe.

Przypomniawszy sobie o tym, gdy wyślizgnęła się z jego objęć, a on wciąż czuł między udami falujący ból i rozkosz.

Zaspokojeni zeszli na dół do pokoju Kasi i Piotrusia. Córka leżała zwinięta jak kot na tapczaniku, a syn spał wyciągnięty w łóżeczku niczym turecki basza. Anna pochylona nad nim powiedziała szeptem, że nie wyobraża sobie, żeby ktoś mógł go im odebrać.

– Co też ci przyszło do głowy? – zapytał.

– Nic. Czasem nie mogę uwierzyć, że jestem szczęśliwą matką.

Niedziela, 15 maja

Przez wiszącą nad miastem chmurę z trudem przedzierało się słońce, rzucając na ziemię przefiltrowane różowe światło. Ulica, drzewa i domy miały na sobie jakąś maskującą powłokę w łososiowym kolorze, która zamieniła Pohulankę w starą francuską Tuluzę.

Anna stała przy oknie i układała plany. Termometr wskazywał plus dwanaście stopni, więc mogła wreszcie włożyć swój nowy wiosenny płaszcz. Cieszyła się, że pójdą do kościoła, potem zajdą do kawiarni Raucha, by kupić pyszne ciastka i cukierki, na końcu zaś odwiedzą rodziców.

Po śniadaniu Anna w wykrochmalonej różowej sukience, kapeluszu i rękawiczkach, pachnąca delikatną nutą różanych nabrzmiałych pączków, stała przed lustrem, zapinając guziki różowego płaszcza. Przy niej Jakub w popielatym garniturze, w kapeluszu, z parasolem, tak na wszelki wypadek, i dzieci, także odświętnie ubrane, niczym modele z żurnala.

Dostojnym krokiem ruszyli w kierunku kościoła Najświętszej Maryi Panny Ostrobramskiej, pozdrawiając po drodze znajomych i sąsiadów. Przed nimi szła Kasia pchająca wózek z Piotrusiem.

Do kościoła weszli na początku kazania i zajęli miejsce z prawej strony środkowej nawy. Ksiądz podniesionym głosem przypomniał wiernym o trzeciej rocznicy śmierci Marszałka i o jego genialnej taktyce, dzięki której pokonano sowieckie ordy.

– Dokładnie stąd, skąd patrzy z krucyfiksu nasz Pan, padł pierwszy bolszewicki granat! Cztery lata temu zakończyliśmy budowę i konsekrowaliśmy nasz kościół, który jest wotum za zachowanie Kresów Wschodnich przy macierzy!

We mszy uczestniczyli ułani jazłowieccy z pobliskich koszar, którzy przynieśli sztandar, by uświetnić uroczystość religijną. Po kazaniu wierni zmówili modlitwę w intencji poprawy pogody, by wiatr przegnał wreszcie tę niepokojącą chmurę, jak najdalej znad Góry Stracenia.

Annie udzieliła się ogólna psychoza. *Umbra et lux, lux et umbra!* – powtarzała w myśli wypowiedzianą przez księdza łacińską sentencję. Po wyjściu ze świątyni Kasia natychmiast dostała zakaz wychodzenia z domu. Zakaz miał obowiązywać do czasu, aż obrzydłe chmurzysko zniknie znad miasta.

– A rano to nas wołałaś wszystkich do okna! – powiedziała Kasia przekornie.

– Przyznaję, ale teraz wiem, że nie powinnam i że to była...

– Zwykła zorza – rzucił Jakub, ubiegając kolejne pytanie Kasi. – To takie zjawisko atmosferyczne związane z aktywnością słońca. Wiesz, Kasiu, podobną poświatę widziano przedwczoraj w Wiedniu i Londynie. Pisał o tym nasz wczorajszy „Kurier”.

– Zaraz nam powiesz, że zwiastuje chorobę albo wojnę – wtrąciła się Anna.

– Nie znam się, Aniu, na chorobach, a jeśli chodzi o wojnę, wydaje mi się, że to jeszcze nie dziś!

Anna bała się go zapytać, w takim razie kiedy, i szła, rozważając w myślach, że krwawe walki w Hiszpanii, zakupy zboża przez Niemcy, zbrojenie się Anglii i Sowieców nie wróżą Europie nic dobrego.

Leżał wyczerpany miłością, która tak naprawdę nigdy miłością nie była, raczej upokarzającym zwierzęcym spektaklem. Sam nie wiedział, dlaczego wybrał tę właśnie dziewczynę. Może dlatego, że była zwyczajna i miał nad nią niebotyczną przewagę? A może dlatego, że fascynowały go jej czarne, lśniące włosy?

Czekał, aż się ubierze, i obserwował, jak zwrócona do niego przodem, niespiesznie wiąże gorset, podobna do bezwstydney Diany.

– Teraz już będzie inaczej – oznajmił, spoglądając na jej zgrabne, umięśnione uda. – Pojutrze w południe usłyszysz o mnie całe miasto. Wreszcie mam świetną sztukę.

– Jaką znowu sztukę? – zapytała, przekrzykując głos dzwonów z kościoła Świętego Jana Chrzciciela.

– Śliczną sztukę. – Zaśmiał się złowieszczo.

– O czym ty mówisz?

– O prawdziwej sztuce, Chaja! – powiedział twardo. – Jestem jej reżyserem, a oni dzięki mnie będą nieśmiertelni!

Nie słuchała go. Pomału wciągała pończochy i zawiązywała czerwone podwiązki, wiedząc, że to go szczególnie podnieca. Potem włożyła ciemnozieloną spódnicę i brązowy sweterek, który uwypuklił jej obfite, prężne piersi.

– Artysta to wielki pan, taki jak Zbierzchowski, któremu robią w mieście fetę.

– Mylisz się. To zwyczajny pijaczek. On i paru jego kumpli z „Atlasu” hecę sobie urządzają. „Pić albo nie pić? Oto jest pytanie... Pił Tutankhamen, Scytowie i Grecy...”.

Chaja zebrała ręką krucze włosy i przeciągnęła palcem po wargach, aż przeszedł go dreszcz. Nie mógł sobie wyobrazić, że mogłaby stracić te włosy i nosić na głowie chustkę, jak...

– Co tak się na mnie dziwnie gapisz?

– Nie, nic, tak ci się pewnie wydaje.

– A twoja sztuka, nie powiedziałaś, o czym ona będzie?

– To moja tajemnica! Nie gorączkuj się, niedługo ją wystawię – mówił, patrząc na nią – a wtedy...

– Wystaw ją, wreszcie, wariacie, wystaw! – Zaczęła się śmiać, lecz nie skończyła, bo zerwał się z łóżka i z całej siły kilka razy uderzył ją w twarz, aż zatoczyła się i upadła na podłogę.

– Nigdy się ze mnie nie śmieję – wycedził, nachylając się nad nią. Potem wyprostował się i podszedł do zlewu.

Jego twarz nabiegła krwią. Czuł, że za chwilę puls rozsadzi mu skronie, a ręce zrobią coś okropnego, czego nie będzie już mógł powstrzymać. Odkręcił kran i puścił na dłonie zimną wodę.

– Nie śmieję się ze mnie tak jak oni! – dodał, mocząc zmierzwione włosy, a potem lnianą ścierkę.

Jej skowyt przeszedł w płacz. Nie wiedziała, kim są ci „oni”, i wcale nie była tego ciekawa. Po kilku minutach podniosła się z podłogi, zabrała torebkę i pochlipując, wolno podeszła do drzwi. Obserwował ją i w ostatniej chwili zdążył zastąpić jej drogę. Przygotowana na cios zasłoniła się ręką, lecz on podał jej zmoczoną ścierkę i błagał, żeby mu wybaczyła, żeby natychmiast, zanim wyjdzie, przyrzekła mu, że znowu będą razem.

– I przyjdiesz do mnie?

– Tak, tylko...

– Tylko co?

– Ja zawsze będę dla ciebie gorsza, ty masz przecież swój uniwersytet, a ja nie mam nic – powiedziała drżącym głosem.

– Ty, Chajka, nigdy...

– Akurat! – wyszeptała, masując bolący policzek.

– Bądź cierpliwa, niedługo sama się przekonasz.

– Kiedy? – zapytała, udając zainteresowanie.

Spojrzał na nią rozmarzony i uśmiechnął się. Teatralnym gestem zerwał z wiszącego przy drzwiach kalendarza dwie kartki.

– Pojutrze *causa finita*, we wtorek moją sztukę zobaczą zwykli ludzie.

– O której godzinie? – rzuciła, próbując zyskać na czasie.

Wycelował palcem w zegar ścienny wiszący obok kalendarza i w milczeniu pokazał zakurzone rzymskie cyfry.

– Przedwczoraj wynająłem nowy gabinet prób i tylko ja wiem, gdzie się znajduje. Wszystko zrobiłem sam – zaakcentował, idąc w stronę okna.

– Sam przyczepiłem karnisze. Kurtynę uszyłem u bazylianek i przywiozłem tramwajem w walizce. Trochę światła wpada między podłogą i kratą, ale to nie jest duży feler. Nie będziesz się śmiać, Chaju? – ciągnął, zerkając przez starą, pożółkłą firankę na podwórko, na którym leżały arkusze zerwanej papy i sterta desek.

– Nie będę się śmiać – odpowiedziała jak automat, powoli zmierzając w stronę drzwi.

– To dobrze, bo chcę ci powiedzieć, że czerwony plusz jakoś dziwnie mnie podnieca. Wysłałem już zaproszenia, więc najważniejsza publika mnie nie zawiedzie.

– O wszystkim pomyślałeś, bo jesteś wielki! – powiedziała, łapiąc za klamkę.

– Tak! No i mam już nową aktorkę – oznajmił, zbliżając się do niej. – Ale nie musisz być zazdrosna: to bardzo grzeczna dziewczynka, która robi to, o co ją poproszę. Wszystko dokładnie zaplanowałem. Zresztą, ja widowni nie oszukuję. – Patrzył jej w oczy. – Pierwszy otworzę dla niej przestrzeń. I teraz wiem, że przez kilka dni kurtyna musi być nieruchoma – mówił, dotykając gorącym językiem jej szyi. – Potem trzeba przygotować aktorów do ich nowej roli. Czasem są oporni, jak ty, i nieświadomi nie potrafią sami zrozumieć meritum kreacji, a wtedy, jak prawdziwy reżyser, staram się im dyskretnie podpowiedzieć.

Dziewczyna jakimś cudem wywinęła się pod jego ramieniem, otworzyła drzwi i znalazła się na korytarzu.

– Myszogene! Wariaaat! – wrzeszczała, zbiegając szybko po schodach. – Gównu mnie obchodzi twoja zaszra kreacja. Wiesz? Możesz se puszczać w ruch te swoje pieprzone pacynki.

– Chaja, Chajka! – wołał za nią. – Wracaj natychmiast, bo pożałujesz! Dałem ci pieniądze, suko, masz mi to w zębach przynieść. Słyszysz, gówniario? Bez tego mi nie wracaj!

Nie odezwała się. Kiedy ucichły jej kroki na klatce schodowej, zamknął drzwi i przekręcił klucz. Nie mógł się opanować, drżały mu dłonie. Przeklinając, wymierzył sobie policzek. To poskutkowało. Podszedł do stołu i łyżką nabrał ze słoika kupionego u Teliczkowej połyskujący kawior. Oblizał łyżkę i wypił wprost z butelki resztkę szampana, aż pociekło mu po brodzie. Otarł się chusteczką, potem klęknął przy łóżku, jakby miał odmawiać pacierz, pochylił się i wyciągnął małą skórzaną walizkę. Rzucił ją na materac, nacisnął zamek i wyjął pakunek z napisem: „Oddział Hipoteczny Banku Galicyjskiego”. Odwinął szary papier i położył ręce na lekko pożółkłych kartkach. Zamknął oczy. Wiedział, że się zmienił, że zmieniła go ta porywająca powieść i teraz jest już inny, lepszy. Po sekundzie uznał ten gest za trywialny i zawstydził się go. Jeszcze raz spojrzął i litera po literze smakował podniecający tytuł – „Nieśmiertelność”.

Znał treść maszynopisu na pamięć i żałował, że nie jest on kompletny. Brakowało kilkunastu końcowych kartek, za które oddałby wszystkie pieniądze. Niektóre strony nosiły na sobie ślady deszczu, inne odciski niemytych rąk, tytoniu i wydłubanych z nosa smarków. Nie przeszkadzało mu to jednak. Mógł wskazać słowa, które wyrwały go z okrutnej, przygotowanej przez los matni. I to najważniejsze zdanie, z którym budził się i zasypiał, że oddech śmierci pozwala odkryć nieśmiertelność. Pomyślał, że on i autor – Stefan O., są sobie równi, i postanowił, że następnego dnia pójdzie na pocztę i wspaniałomyślnie odeśle mu maszynopis.

Zadowolony wszedł do kuchni i uniósł przyczepioną do okna zazdrostkę. Patrzył na chmurę nieruchomo wiszącą nad dachami domów, a potem przez chwilę zastanawiał się nad aktorką i czekającą ją próbą. Powtórzył w myśli swoje zdanie i uśmiechnął się.

W kawiarni Raucha panował miły niedzielny gwar. Goście delektowali się znakomitymi ciastkami: murzynkami, kartofelkami i serniczkami,

popijając je musującą oranżadą, kawą lub zimnym karmelowym piwem. Wokół stolików uwijały się młodziutkie kelnerki ubrane w szykowne brązowe żakiety i białe fartuszki z falbankami. Każda z nich miała wpiętą we włosy białą różyczkę, wykonaną z marszczonego jedwabiu.

Jakub wyjął Piotrusia z wózka, postawił go na podłodze, potem zdjął kapelusz. Anna wybrała stół przy oknie. Powiesiła płaszcz na wieszaku i siadła tak, by obserwować ulicę i przechodniów, Kasia zaś wprowadziła wózek, co spotkało się ze zdziwionym spojrzeniem kelnerki. Po krótkiej naradzie zamówili trzy wiedeńskie serniki z rodzynkami i czekoladową polewą, jeden kartofelek z migdałami, dwie malinowe oranżady, a dla Jakuba gorzką kawę z kardamonem.

Anna wzięła Piotrusia na kolana i z namaszczeniem karmiła go, nabierając łyżeczką małe kawałeczki ciasta. Kasia zjadła kartofelek i z zadowoleniem popiła go oranżadą.

Przy sąsiednim stole jakieś starsze małżeństwo dyskutowało o przepowiedni węgierskiej wróżki.

– Boriska Silbiger nigdy się nie pomyliła! – powiedział siwy jak gołąbek mężczyzna w czarnym surducie z białą muszką i z cwikiem na nosie. – Poniosą klęskę przy trzeciej próbie rozszerzenia granic! Sama się, Stefano, przekonasz!

– O ile, Wiktorze, do tego czasu na śmierć mnie nie zanudzisz! – odparła kobieta w staromodnej sukience, uczesana w kok, z lornionem na srebrnym łańcuszku.

Nim wyszli, Jakub kupił jeszcze na wynos osiem serniczków i pół kilograma słodkich sztolwerków w rożku z papieru. Tak zaopatrzeni ruszyli odwiedzić rodziców.

Przez cały czas myślami był nieobecny. Wciąż wracał do tego, co powiedział mu Robert Barecki, i do nieuchwytnego Emiliana Kanclerza, który jakby się pod ziemię zapadł. Zawsze, ilekroć był u teściów,

roztrząsał w myślach swoje sprawy, zamiast włączyć się do nudnej dyskusji.

Przyzwyczał się do tego. Od kilku lat stosunki z rodzicami Anny przypominały wyrafinowaną grę. Teraz również uznał, że nie ma sensu kibicować żonie. To ona za nich dwoje prowadziła rozmowę, to ona chwaliła się domem, on zaś tylko niekiedy potakiwał albo zaprzeczał. Dlatego kiedy Piotruś zasnął, bez skrupułów przeprosił Annę i teściów, a potem na pół godziny wyrwał się do swoich rodziców, którzy mieszkali niedaleko, by „przekazać im ważną wiadomość”.

Po wejściu do mieszkania Jakub przeżył wstrząs. Matka go nie poznała. Nie pomogło tłumaczenie ojca. Łagodnie i dobrotliwie uśmiechała się do młodego, obcego pana, który przyszedł pogawędzić z jej przyjacielem-mężem.

– Pan z daleka? – dopytywała się, patrząc pustym wzrokiem.

– Nie bardzo – odpowiedział. Ze łzami w oczach rozwinął przyniesione trzy serniczki.

Kiedy zjedli ciastka, popijając je herbatą słodzoną miodem, Jakub zapytał ojca, czy zmienił zdanie.

– A może przeniesiecie się z mamą do nas, na Pohulankę? Kasia uczyłaby się malować, sam powiedziałeś, że z niej pojętna uczennica. Zastanawialiśmy się z Anną i doszliśmy do wniosku, że jedna pielęgniarka wam nie wystarczy.

– Synu, synu! – Ojciec zaczął górnolotnie, tak jak tylko on potrafił. – Znasz przysłowie o starych drzewach? Tu z okna widzę Najświętszą Panią na cokole i tramwaj, jak skręca na Frydrychówkę, a u was albo zobaczę groby bohaterów, albo poczuję ten, no, smród od browaru Kleina.

– Tato, teraz się dużo zmieniło. – Obserwował, jak matka porusza ustami i wolno przesuwają paciorki różańca. – Moglibyście posiedzieć na werandzie. Powspominalibyśmy dawne czasy. Pamiętasz, jak z Edkiem...

Ojciec machnął ręką.

– Lepiej powiedz, będzie ta wojna, czy nie? Hitlerek napina muskuły, ale my się nie damy, co?

– Jasne, tato, wojny nie będzie. W ostatnich dniach prezydent RP dokonał objazdu Centralnego Okręgu Przemysłowego i był w Stalowej Woli. W zeszły czwartek nasz „Kurier” na pierwszej stronie zamieścił wielkie zdjęcie z tej wizyty. Przedwczoraj zaś gauleiter Gdańska Foster złożył u trumny Marszałka kwiaty! Wiesz, co to znaczy? Boją się nas! Hitler nie taki straszny, poza tym mamy najlepsze na świecie bombowce. W pięć minut dolecą do Berlina.

– Ot co! Ot co! – ekscytował się ojciec.

Jakub zastanawiał się nad czymś przez chwilę, a potem, starając się nie urazić ojca, rzucił ostrożnie:

– Wiesz, jedna myśl nie daje mi spokoju. Ale nie będziesz się gniewał?

– Pytaj śmiało, synu. Masz jakiś problem?

– Opowiadałeś kiedyś, że przed wojną z bolszewikami brałeś udział jeszcze w dwóch konfliktach, ale nie pokazywałeś mi żadnych zdjęć ani pamiątek.

– Nie wierzysz mi?

– Wierzę, ale...

– Byłem... nazwijmy to, „obserwatorem”. Miałem specjalne misje, zaręczam, że nie musisz się za mnie wstydzić – uciął krótko. – Przysięgałem zachować tajemnicę i nic mnie z tej przysięgi nie zwolni. Teraz mi wierzysz? – zapytał melancholijnie.

– Tak, tato, wierzę!

– A jednak coś cię gryzie, synku. Masz jakieś kłopoty w pracy?

– Skąd wiesz?

– Widzę na twoim czole podłużną bruzdę. Miałeś ją, jak zdawałeś maturę i kiedy zmarła twoja pierwsza...

Jakub zamyślił się na chwilę, a potem spojrzał na zegarek.

– Na mnie już czas – oznajmił wreszcie.

Podszedł do ojca i wzruszony pocałował go, jak dawniej, w rękę. Kiedy nachylił się, by ucałować żyłastą dłoń matki, ta niespodziewanie odzyskała świadomość.

– Nie posiedzisz, Kuba? – zapytała zdziwiona. – Boże, ciebie zawsze gdzieś, włóczykiju, niesie. A jak będziesz na podwórku, to zawołaj Edka. Dałam mu do trzepania dywan, ale ten łobuz poszedł pewnie grać z koleżkami w cymbergaja i drugi tydzień go już nie ma.

– Idź, synu, idź śmiało! – powiedział ojciec głośno. – Ty masz ważne sprawy, a my, sam wiesz, czekamy już z matką na śmierć!

Jakub przystanął na chwilę w kuchni, potem, jak robił to wiele razy, wyjął z portfela pięćdziesiąt złotych, położył na blacie stołu i przycisnął je małym mosiężnym moździerzem.

Zamykał drzwi ze łzami w oczach, bo znowu przygotowana przez los pułapka pozbawiła go złudzeń.

Gdy po godzinie wrócił do teściów, wszyscy jak na komendę ucichli. Jakub wyczuł, że mówili o nim. Teść, dla pokrycia zmieszania, zaproponował mu lampkę stocka.

– Wypiliśmy przed chwilą za twoje zdrowie i panie dostały kolorków. Wyobraź sobie, że mamusia dodaje go do leguminy, więc musimy się pospieszyć. A co tam, Jakubie, u rodziców? – zapytał, nalewając koniak do lampek. – Zdrowi?

– Dziękuję, trzymają się – odpowiedział wymijająco. – Ojciec maluje i opiekuje się mamą. Wszystko po staremu.

– No, właśnie! Mam gdzieś w szufladzie jego widoczek. Więc mówisz, że są szczęśliwi?

Jakub odkaszlnął znacząco, spięty dociekliwością teścia, potem powiedział jakiś banał, że nie skarżą się na los, że uwielbiają Kasię, a już Piotruś to ich prawdziwe oczko w głowie.

– Jakżeby inaczej! – dorzuciła matka Anny. – Kto by nie kochał naszego Piotrusia? Wiem coś o tym. Przyjęłam na ten świat setki takich

aniołków.

– Które ja muszę teraz leczyć! – odparł ojciec Anny, sącząc z zadowoleniem koniak.

Rozmowa wyraźnie się nie kleiła. Anna podzieliła się wrażeniami z apteki „Pod Aniołem”, w której pracowała od stycznia, Jakub zaś opowiedział o poszukiwaniu tajemniczego zabójcy, który pozostawia swoje ofiary na Rynku.

– Tak, tak – podsumował teść. – Taka jest nasza dzisiejsza policja!

– To wszystko przez bezrobocie, Henryczku! – dodała teściowa. – Biedacy nie mają co do garnka włożyć, więc idą kraść i mordować.

– E, tam! Kiedyś, za Franciszka Józefa, było inaczej! – sprzeciwił się teść. – Jak wąsaty Baziuk wchodził do knajpy, to kindrusy i batiary przyskakiwali przed nim ze strachu aż za rogatki.

– „To był wielki pan, co chodził po Lwowie sam i nikogo się nie bał!” – poparła go szybko żona, recytując znany w całym mieście wierszyk, i dodała, że Baziuk nigdy by nie pozwolił, by po ulicach spacerował ten okropny potwór. Tylko czekać, aż znowu kogoś zamorduje.

– O kim, babciu, mówisz? – zapytała Kasia, wychodząc spod stołu.

– Nic, dziecko, nic. Dorośli mają swoje tajemnice, a dzieci swoje. A ja mam dla ciebie niespodziankę! – I by odwrócić jej uwagę, wyjęła z szuflady komody kolorowy wachlarz.

– Podoba ci się? Dostałam go od twojego dziadka, gdy ponad ćwierć wieku temu zatrzymaliśmy się w podróży poślubnej w Walencji. Był koniec sierpnia, potworny upał, a ten chojrak zabrał mnie na korridę! Jeszcze teraz słyszę wycie tego biednego zwierzęcia, dobijanego przez przystojnego matadora. Bałam się wtedy strasznie i zakrywałam tym cudёнkiem oczy. Niedługo potem urodziła się twoja... nasza Ania! – poprawiła się szybko, tuszując niezręczność.

– Mamo, rozpieszczasz Kasię.

– A kogo mam rozpieszczać? To przecież moja jedyna wnuczka. Mówiłam ci kiedyś, że w każdej dziewczynce drzemie dorosła kobietka – odpowiedziała górnolotnie i zadowolona ze swoich słów spojrzała karcącym wzrokiem na szeroko ziewającego męża.

Dochodziła pora obiadu, gdy Anna z Jakubem podziękowali za gościnę i udali się w drogę powrotną do domu. Piotruś spał w wózku, a Kasia, pchając go, niezmordowanie opowiadała o szkole. Anna, z rumieńcami na policzkach, jak za dawnych dobrych lat pozwoliła Jakubowi trzymać się za rękę.

Kiedy szli przez zapełnione spacerowiczami Wały Hetmańskie, Jakub wyłowił nagle z pamięci zapomnianą scenkę – niedzielną przechadzkę z rodzicami do parku Stryjskiego. Ileż tam było atrakcji. Jazda połączoną karuzelą na drewnianym koniku galopującym aż pod niebo, pachnąca cukrowa wata, a nawet kolorowe jo-jo, którego stał się (na spółkę z Edkiem) właścicielem. Po zabawach w parku, gdy ojciec wydudlił trzy kufle piwa z Lesienic, przyszała kolej na odwiedziny u babci Róży i dziadka Pawła, który prowadził przy Gródeckiej pełen tajemnic antykwariat. Poszli z ojcem na skróty. Minęli Wulecką, gdzie kupili za grajcara tabakę i złote sztolwerki, zostawili z boku Bajki i Zakład Świętej Teresy.

To wtedy podchmielony ojciec popisał się nie lada wyczynem. Kiedy przechodzili obok budowanego właśnie kościoła Świętej Elżbiety, podniósł z ziemi kamień i nieoczekiwanie rzucił go między wieże kościoła. Mówiono we Lwowie, że kościół specjalnie zlokalizowano na wododziale i że krople deszczu spływają z jednej połaci dachu do zlewni Morza Czarnego, z drugiej zaś do Bałtyku. Dlaczego ojciec to zrobił? Komu chciał zaimponować? Matka do końca dnia się do niego nie odzywała, a Kuba z Edkiem bili mu brawo. Mały Kuba mógł mieć wtedy dziesięć lat.

Po obiedzie leniuchowali. Anna ucięła sobie krótką drzemkę, on zaś nie mógł znaleźć sobie miejsca i wciąż był myślami przy rodzicach, którzy uparcie odmawiali przeprowadzki na Pohulanekę. Siedział jak nieobecny przy Kasi i potakiwał jej, udając, że się z nią bawi.

– Mieliśmy pójść na Donalda, pamiętasz, tato? – szepnęła do ojca z żalem w głosie.

– Tak, ale sama wiesz, że musiałem...

– Więc ubierzmy się teraz i pójdźmy, mama posiedzi z Piotrusiem, a my...

– Znowu macie te swoje niedorzeczne tajemnice? – zapytała Anna, wchodząc do salonu z małym na rękach.

Zamilkli, jakby przyłapani na znowie. Anna posadziła Piotrusia na dywanie, gdzie Jakub od pół godziny bawił się z Kasią w afrykańską dżunglę, z której miał wyjść niebezpieczny, włochaty goryl.

Zrobili już palisadę z krzeseł i usypali dwie góry z poduszek, za którymi skryli się przed niebezpiecznym zwierzęciem. Kiedy Jakub wziął do rąk dzidę z kija od szczotki i miał zaatakować potwora, niespodziewanie zadzwonił telefon.

Anna wyszła do przedpokoju.

– Czy to konieczne? – zapytała głośno. – Mąż jest w tej chwili bardzo zajęty. No, skoro to takie pilne – dodała, cedząc wymownie słowa. – To do ciebie! Nie udawaj, że nie wiesz, o kogo chodzi.

Jakub poderwał się, burząc ścianę dżungli i przestawiając palisadę z krzeseł. Razem z nim do telefonu podszedł czepiający się jego nogi Piotruś.

– Kto mówi?

– Wilga. Mam ci powiedzieć, żebyś mnie więcej nie szukał – zaczęła smutno.

– Wilga! – krzyknął. – Gdzie jesteś? Powiedz mi, kto to...

W odpowiedzi usłyszał w słuchawce jęk, a potem odgłos kroków.

– Halo? Odezwij się, ty podły sukinsynu! – zawołał wściekle i w odpowiedzi usłyszał płacz Piotrusia.

– Dosyć już tego! – oświadczyła Anna i odebrała mu słuchawkę. – Koleżanki tatusia nie potrafią uszanować niedzieli.

– To zadzwonił ten potwór z dżungli – Jakub starał się uspokoić Piotrusia i Kasię. – Tatuś jest z wami. Nie bójcie się! – powiedział i wziął zanoszącego się płaczem synka na ręce.

Po chwili, gdy dzieci poszły się bawić do swego pokoju, Jakub przeprosił Annę i wyszedł na korytarz. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer komendy wojewódzkiej, który znał już na pamięć. Poprosił dyżurnego o kontakt z inspektorem Ziębą, w bardzo pilnej sprawie. Dyżurny zapisał jego nazwisko i numer i kazał czekać. Około pół godziny później telefon zadzwonił znowu i Stern usłyszał w słuchawce głos inspektora.

– Mamy jakiś problem, panie Stern?

– Przestań żartować. Niedawno dzwoniła do mnie Wilga de Brie.

– Co ty powiesz?

– Zrób coś, Andrzeju, ona jest w jego rękach.

– Czyich?

– Tego nie wiem. Gdybym wiedział, sam bym próbował ją odnaleźć.

Czy możemy się zaraz spotkać?

– Dziś? To wykluczone. Mam na głowie kilka ważnych spraw. Przedemną pracowita noc.

– Nie rozumiałeś, Wilga jest w jego rękach. Wczoraj dostała od niego zaproszenie, a potem wyszła gdzieś do miasta.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Inspektor Andrzej Zięba nad czymś się zastanawiał.

– Tylko bez paniki. Powtórz, co ci mówiła.

– Powiedziała, żebym jej więcej nie szukał – relacjonował Jakub. – Potem usłyszałem jęk, jakby...

– Nie była nadzwyczaj rozmowna.

– Ja nie żartuję.

– Ja też nie – powiedział inspektor surowym tonem. – Wiesz, gdzie mieszka? Podaj mi jej adres.

Stern podyktował adres stacji przy Świętego Jacka.

– Zaraz ktoś tam pojedzie i sprawdzi, może pani redaktor zostawiła nam jakąś wiadomość.

– A ja?

– Co ty?

– Co mam teraz robić?

– Nic. Prześpij się. Jutro sam się z tobą skontaktuję. Na razie rozmawiam z Bareckim, to twój były student. Jest u mnie od rana. Gada, że przysłałeś go do mnie. To prawda?

– Zgadza się.

– Wciąż płacze się w zeznaniach. Posiedzi kilka dni na dołku, aż zmięknie. To jakiś matoł albo większy cwaniak.

– Pozwolisz...

– Pozwolisz, że teraz ja zajmę się tą sprawą – przerwał mu inspektor i odłożył słuchawkę.

Tej nocy Jakub Stern nie miał żadnych snów, lecz mordował go nieprzerwany potok myśli, które nie pozwalały mu zasnąć jeszcze grubo po północy. Przewracał się z boku na bok, poprawiał uwierającą go poduszkę. Chciał się pomodlić za Wilgę, za Annę, a także za siebie, lecz zwątpił w siłę pacierza i trwał w swej myślowej malignie. W pewnej chwili, nie wiedzieć czemu, przypomniał sobie osobliwą rozmowę, jedną z tych, których nie zapomina się nawet po latach. Widział siebie przemierzającego po skończonych ćwiczeniach pusty uniwersytecki korytarz z poczuciem dobrze wypełnionej misji. I wtedy wyrosła przed nim męska postać. Na początku sądził, że to Emilian Kanclerz, który chce go zaczepić, potem odetchnął z ulgą, rozpoznając poczciwego profosa.

Nic dziwnego, że się pomylił. Kanclerz i woźny byli do siebie trochę podobni: wzrostem, kolorem włosów i tuszą. Mieli też takie same stalowe oczy – Kanclerz badawcze i chłodne, pan Zenon zaś frywolne i ruchliwe. Stern z rozbawieniem obserwował, jak profos naśladuje Kanclerza, zapożyczając od niego niektóre wyrażenia, a nawet gesty.

Próbował wyminąć woźnego, lecz ten stał w drzwiach i ani myślał ustąpić.

– Panu też, panie Jakubie, podoba się? – usłyszał pytanie, zupełnie jakby wrócili do jakiejś przerwanej rozmowy.

– Kto?

– Proszę, niech pan przede mną nie udaje. Sara, panna Sara Reddig. Obaj wiemy, że o nią chodzi. – Uniósł rękę w mentorskim geście zupełnie jak Emilian Kanclerz.

Stern poczuł mrowienie na plecach i coś jeszcze, jak gdyby profos dobrał się do jego myśli i teraz podstępnie bawił się nimi, majstrując z nich niechlujną układankę. Szczególnie dotknęła go forma pytania. Jakieś dziwne spoufalenie, czyniące z niego niemal współnika.

– Skończył pan ćwiczenia? I wraca pan już do domu?

– Tak – odparł sucho, patrząc na woźnego, na jego błazeńskie oczy i gładką, pedantycznie wygoloną twarz.

– Doskonale. Spotka się pan z żoną i dziećmi? I pewnie będzie pan jadł z nimi kolację?

– Czy to coś dziwnego? O co panu chodzi?

– Najmocniej przepraszam – powiedział nieśmiało mężczyzna, robiąc usłużnie przejście. – Mam tu wielu znajomych profesorów, doktorów i...

– Więc co?

– Czasem, kiedy wykładowcy są zmęczeni, potrzebują kontaktu z... no, powiedzmy, ze zwyczajnym człowiekiem – zażartował, próbując dogonić Sterna. – I wtedy odprowadzam ich do drzwi i, niekiedy, oczywiście, gdy

mają na to ochotę, zamieniamy ze sobą kilka słów. Nie ma w tym chyba nic złego?

– Raczej nie – potwierdził niechętnie Jakub, kierując się do szatni po płaszcz.

– Ostatnio rozmawiałem z pana studentami.

– O czym?

– O pańskich ćwiczeniach. Lubią pana, panie Jakubie, bo pan nie jest sztywniakiem, jak pana poprzednik. Nie powtarzam tego, żeby panu pochlebić, broń Boże. Mówią o jakimś porywającym scenariuszu. Gratuluję!

– To tylko teoria. – Stern uśmiechnął się cierpko. – Rodzaj gry, która nie ma prawa się ziścić.

– Szkoda! – odpowiedział pan Zenon i usłużnie podał dziennikarzowi płaszcz z wieszaka. – Pan Emilian Kanclerz ma na ten temat odmienne zdanie.

– Co mnie obchodzi pan Kanclerz?

– Zajął pan jego miejsce i on nie może tego ścierpieć – stwierdził profos, usłużnie poprawiając Sternowi wywinięty kołnierz. – Chyba za to, co powiedziałem, pan się na mnie nie pogniewa?

Pytanie pozostało jednak bez odpowiedzi. Stern podał woźnemu dłoń na pożegnanie, a potem skierował się ku wielkim wahadłowym drzwiom.

– Kiciuś! – zawołał profos gdzieś z tyłu. – Kiciuś, gdzie się znowu podziałeś, mój maleńki? – A kiedy nie było odpowiedzi, bez pośpiechu pokuśtykał w labirynt opustoszałych korytarzy, budząc swoimi krokami uśpione echo.

Poniedziałek, 16 maja

Nad ranem chmura obniżyła się nieco, a jej kształt zmienił się nieznacznie i Jakub Stern nie widział już w niej zabawnego psa, lecz szydzącego z niego Diabła.

Po śniadaniu, gdy Kasia wyszła z Magdą do szkoły, a Anna brała kąpiel, Jakub w pośpiechu sadził różę „Marechal Niel”, przywiezioną rano przez ogrodnika z Hołoska. Chciał zrobić Annie niespodziankę. Zgodnie ze wskazówkami posadził krzak w półcieniu, niedaleko ganku, i przywiązał lnianą tasiemką do drewnianej kratki. Potem uformował miseczkę z ziemi i nalał do niej wody.

Spieszył się. Miał zamiar jak najszybciej spotkać się z inspektorem Ziębą, a potem zejść do redakcji.

– Prędki jesteś, Kuba, za prędki! – usłyszał niespodziewanie jej głos z ganku.

– To na twoje urodziny! Podoba ci się? – zapytał zadowolony ze swego dzieła. – Ogrodnik powiedział, że lepiej przyjmuje się jesienią, ale jeśli będziemy się starać, za miesiąc zobaczysz pierwsze pąki.

– Wykop ją natychmiast! – oświadczyła urażona. – Ja nie dam się tak łatwo nabrać na twoje puste gesty! Ja swoje wiem!

– O co ci chodzi?

– Po prostu nie chcę jej, słyszysz?! Nawet teraz w każdym twoim słowie słychać fałsz. Wiecznie mnie oszukujesz! Nie masz swojego życia?

– Jasne, żyję cudzym życiem, bo moje mi obrzydło! – odparował, rzucając szpadel.

Anny nie wzruszyła ta demonstracja, była już do takich przyzwyczajona. Kiedy weszli do salonu, nie dała mu spokoju i wróciła do przerwanej rozmowy.

– Mało ci było lekcji z tym szurniętym nauczycielem z Rowów? Nic cię wtedy nie obchodziło, nawet to, że spodziewam się dziecka.

– Wiesz, że to nieprawda!

– Jeśli nie kłamiesz, powiedz mi teraz, czy się zgodziłeś? – Ton jej głosu nie wróżył nic dobrego.

– Na co?

– Na ich propozycję. Zawsze wpłątujesz się w najgorsze.

Jakub nie zamierzał kłamać.

– To nie jest to, o czym myślisz – odpowiedział wymijająco, patrząc jej w oczy. – Raczej koleżeńska przysługa. Szukają kogoś, kto... A ja mam im tylko w tym pomóc.

– I nie obchodzi cię to, że masz dom i dzieci? Zmarnowałeś nam niedzielę. Wczoraj niepokoiła nas telefonem jakaś panienska z „Kurier”, a parę minut temu zadzwonił do nas jakiś kolejny typ spod ciemnej gwiazdy.

– Kto? – Spojrzał zaniepokojony.

– Twój przyjaciel. Tak się przedstawił. Poprosił, żebym przekazała ci ważną informację.

– Jaką?

– Pożyczył ci jakąś książkę...

– Tak powiedział?

– ...i masz ją zanieść na Miodową.

Jakub drgnął. Anna powtórzyła wiadomość, którą tylko on rozumiał. Dokładnie tak, jak to było umówione.

– Czemu mi wcześniej nie powiedziałaś? – zapytał z wyrzutem.

– A więc to nie pomyłka?! Boże, co za wstrętny głos! Okazuje się, że może do nas teraz zadzwonić byle szuja ze śmierdzącej cebulą dzielnicy!

Odczekał chwilę, udając, że zastanawia się nad czymś.

– Będę musiał wyjść! – powiedział najobojętniej, jak tylko mógł.

– A więc jednak?

– Za pół godziny mam kolegium redakcyjne, na śmierć zapomniałem – skłamał.

– Nie wierzę. Ty, poukładany facet, zapominasz o terminach? I zawsze zapominasz nie inaczej, jak tylko na tę cholerną, wiecznie ci towarzyszącą śmierć! – Umyślnie zaakcentowała ostatnie słowo.

Jakub odwrócił się od Anny. Przed oczami stanęła mu jak żywa postać zgarbionego perukarza. Trzymał w ustach kopiowy ołówek, potem niecierpliwymi palcami zaczął rysować na tiulu krzywe linie, wzdłuż których starannie zszywał czepek. Perukarz nigdy do niego nie dzwonił, a jeśli złamał tę zasadę, oznaczać to mogło, zgodnie z ich umową, stan najwyższego zagrożenia. I Stern postanowił działać natychmiast.

– Muszę wyjść! – powtórzył, starając się pocałować żonę w policzek.

– Oszalałeś? – Odsunęła się od niego. – Nie możesz nas tak zostawić. Jeśli w tej chwili przekroczysz próg, to obiecuję ci, że...

Nie usłyszał jej groźby. Zabrał z gabinetu pierwszą lepszą książkę. W biegu ściągnął z krzesła w salonie marynarkę. Pospiesznie włożył buty, z wieszaka zdjął kapelusz i wymachując książką, wybiegł z domu, ścigany spojrzeniem wściekłej na cały świat Anny.

Pomylił się i zamiast do tramwaju jadącego na Zamarstynowską wsiadł do wagonu, który jechał na Słoneczną. Przez własną głupotę stracił kilkanaście cennych minut.

Szedł lewą stroną Miodowej, przyspieszając kroku. Minął jatkę, przed którą na drewnianych stołach leżały nogi i rozkrojone świńskie ryje, a potem kluczył między wozami, wózkami, klatkami, w których czekał na zarznięcie wylękniony żywy towar, kwicząc, miaucząc i gęgając z przerażenia.

– Ta kupi pan, delikates, cymesik! – leciało za nim. – Wybiraj-pan szanowny-wybiraj! Babraj-pan eleganckibabraj i gmyraj!

Stern przepchał się przez grupę natrętnych bab w sięgających ziemi kolorowych kieckach, z tobołami na plecach. Przeszedł obok wyszmelcowanych sprzedawców ryb oprawiających żywy towar długimi, ostrymi nożami. Potem minął zakład pogrzebowy „Hades”. Zanim skojarzył nazwę, zrobił jeszcze kilka kroków. Zatrzymał się. Przypomnił sobie, że właśnie o tym warsztacie wspomniiał mu niedawno inspektor Andrzej Zięba. Tak. Teraz był już więcej niż pewien, że właśnie tu mieszkał kiedyś Aaron Lintz, tajemniczy kochanek Sary.

Zawahał się, a potem uchylił drzwi i wszedł do środka. Udając klienta, który chce kupić trumnę, rozejrzał się po pomieszczeniu. Po lewej oparte o ścianę stały trzy wieka, bliżej warsztatu stolarskiego na prostych marach spoczywały dwie drewniane trumny. Jakub poczuł zapach sosnowych desek, stolarskiego kleju i politory. Zaczęło mu się kręcić w nosie i głośno kichnął, a kiedy sięgał po chusteczkę, zobaczył przed sobą wysokiego, posiwiąłego mężczyznę w zakurzonej fartuchu, z ołówkiem za uchem. Ich spojrzenia na sekundę się skrzyżowały, potem Jakub przeprosił, wytarł nos i szybko wycofał się na ulicę.

Był wściekły na siebie. Tamten rozdział śledztwa, jego ślepa odnoga, był definitywnie zamknięty. Szczeniak, który zawrócił w głowie Sarze, leżał w ziemi na cmentarzu Janowskim, zamknięty w zbitej przez tatusia trumnie.

Zaferowany minął słup ogłoszeniowy z afiszem cyrkowym, dwie pochylone gazowe latarnie, kratkę uliczną z napisem Ferrum – Lwów, zapchaną łajnem, którym pożywiał się siwy gołąb, i wreszcie był na miejscu. Dopiero teraz spostrzegł, że trzyma w ręku „Geografię historyczną Europy” wydaną w Wilnie, którą zabrał z domu jako przypadkowe alibi. Schował ją do kieszeni, a potem uchylił drzwi wejściowe, wiszące na zerwanym zawiasie, i wszedł do zacienionej sieni.

Wciągnął powietrze i znowu poczuł woń ulatniającego się gazu i pleśni, jakby w tym mieście nie było innych zapachów. Ta mieszanina odorów

wprawiła go nie wiedzieć dlaczego w dziwne podniecenie. Zastukał do drzwi, a gdy nie było odzewu, zdecydowanym ruchem nacisnął klamkę.

W pracowni perukarza panował półmrok. Pod oknem siedział obrócony plecami mężczyzna i majstrował coś przy drewnianej główce kobiety.

– Chwileczkę – powiedział. – Jeszcze tylko... o! Słucham uprzejmie! – Obrócił się na ruchomym taborecie. – A, to pan? – Udał zaskoczenie. – Strasznieś pan prędko! Niech pan se gdzieś przysiedzie. Może tu? – Zdjął z fotela drewnianą męską główkę i postawił ją na okrągłym stoliku wspartym na rzeźbionej nodze.

Perukarz patrzył na Sterna zaciekawiony, ale i ostrożny.

– Przepraszam szanownego pana za wczesny telefon – zaczął niepewnie – ale sam pan zapisał na parapecie numer i powiedział, że w razie co, mam do niego dzwonić.

Jakub siadł w fotelu, nie spuszczając oczu z gospodarza. Przez chwilę milczeli, słuchając, jak wiszący na ścianie zegar tyka leniwie.

– Dowiedziałem się od Moszego Salmanna, że na Krakidałach na straganach była jakaś dziwna książka bez okładek i bez zszycia, ale on sam nie zdążył jej przeczytać. Widział za to te pobrudzone kartki Wasyl Ołówko. „Hebel” twierdzi, że kupił je przy nim od rzeźnika Krochmala jakiś ważny pan z miasta.

– Jak wyglądał ten ważny pan?

– Wasyl nie pamięta twarzy. Gada, że nosił czarny kapelusz i był pańskiego wzrostu.

Dziennikarz roześmiał się.

– Skąd pański Wasyl...

– Tu każdy o każdym wie – przerwał mu perukarz. – Mosze i Wasyl znają pana od lat i chwalą za bandycką kronikę.

Jakub nie wiedział, czy Basil kpi z niego, czy też umiejętnie próbuje go podejść.

– Mogę się teraz o coś grzecznie zapytać? – zaczął ostrożnie perukarz, przeciągając pasemko włosów przez kościany grzebień ze szpikulcem.

– Niech pan pyta.

– Na co panu te... no, te wszystkie śmierdzące gówna, w których ja się babram? Po co szanownemu panu te ohydne rzeczy?

Stern zaniemówił, jakby usłyszał własne łajające go sumienie.

– Gadają, że z pana najlepszy we lwowskich gazetach pismak. Ma pan elegancką połowicę i parkę szkrabów. Po co panu ta chryja? – pytał dalej.

– Pchać się samemu do cuchnącego kibla jak jakaś zielona mucha?

Jakub nie był przygotowany na takie pytania. Przyszedł tu zgodnie z wcześniejszą umową i czekał na wiadomość.

– Przepraszam, ale ja już mam taką wredną naturę. Niektórzy mówią, że przynoszę pecha. A wie pan, dlaczego?

– Nie mam bladego pojęcia – odpowiedział Stern, rozglądając się po pracowni. Na sekundę jego wzrok padł na oderwaną, wyblakłą tapetę przy drewnianym wieszaku, za którą idealną kryjówkę mogły mieć pluskwy i pająki.

– Bo ja wyczuwam ludzkie nieszczęścia!

Stern nie przejął się tym wstępem.

– Co to ma wspólnego...

– Otóż ma, bardzo ma, niech mi pan tylko pozwoli skończyć. Kiedyś, jeszcze za Franciszka, mieszkałem z moimi rodzicami pod Tarnopolem. Tylko my z całej wsi byli katolickie, a reszta, szkodyn-gadyn, same Żydy i Ukraińce!

Mówiąc to, perukarz odłożył grzebień i wprawnie przecisnął przez tiulowy czepek igłę z pasemkiem włosów. Potem zręcznie zawiązał węzełek, poślinił go i malutkimi nożyczkami obciął odstające końce.

– W dwa dni po moim urodzeniu do naszej chałupy przyszedł batuszka. Matka mówiła, że kiedy pijany dobijał się do drzwi,

szmyrgnęła mnie do chlibowego pieca, żeby mnie na ich wiarę nie ochrzcił. Nie zajmuj to pana?

– Nie, dlaczego. To naprawdę bardzo interesujące – skłamał Stern.

– A wie pan, co jest w tym najciekawsze?

– Co?

– Że ten piec, a właściwie tylko jego czarny środek, przyśnił mi się dzisiaj w nocy i nawet słyszałem czyjeś kroki. I zawsze, kiedy mam taki trefny sen, wtedy...

Nie dokończył, bo do pomieszczenia weszła czarnowłosa Żydóweczka, ubrana w ciemnozieloną spódnicę i brązowy sweterek. Miała posiniaczoną twarz, najpewniej ktoś dał jej tęgą nauczkę. Basil zwrócił się do niej w jidysz i dziennikarz wyraźnie usłyszał imię: Chaja. Dziewczyna nachyliła się nad perukarzem i wyszeptała mu coś do ucha, zerkając badawczo na Sterna. W odpowiedzi rzemieślnik kiwnął głową. Potem zdjął z manekina pod oknem przepiękną blond perukę i troskliwie zawinął ją w starą gazetę. Następnie odebrał należność, uważnie licząc monety.

Dokładnie w tym momencie, gdy posiniaczona na twarzy czarnulka z peruką w ręku kierowała się do wyjścia, Stern przypomniał sobie wiadomość, która do tej pory nie miała dla niego żadnego znaczenia. Tego samego dnia, gdy przyszedł na uczelnię, jeden z „życzliwych” asystentów, a może to był profos, uprzedził go, że pan Emilian Kanclerz jest cięty z powodu rodzinnych kłopotów. Podobno jego żona wyłysiała, gdyż zachorowała na rzadki rodzaj egzemy wywołanej tym, że nie mogła mieć dzieci.

Ta myśl prześlizgnęła się przez jego mózg tak lekko, jak pasemko włosów przewlekanych przez perukarza przez oczko igły.

Kiedy dziewczyna ulotniła się już z pakunkiem, zostawiając w powietrzu zapach tanich perfum, perukarz wbił igłę w czoło drewnianej głowy na znak, że skończył robotę, i leniwie obrócił się do Sterna.

– To stanie się jutro – powiedział bez żadnych wstępów.

– Co?

– Sam pan lepiej wie ode mnie, panie dziennikarzu. Wszystko zdarzy się jutro. W samo południe. Nie mogę powiedzieć gdzie, ale pan jest przecież uczony chojrak, panie Stern. Pan wykladał na uniwersytecie same mądrości o ludzkim bagnie i wszystkiego się domyśla.

– Kto to jest, muszę znać jego nazwisko.

Perukarz milczał.

– Czy to ma związek z tym...

– Nic już więcej nie powiem.

– Perukarz podał Sternowi siedem złotych.

– Spłaciłem dług i proszę już nigdy do mnie nie przychodzić!

Kiedy Jakub znalazł się na ulicy, po jej drugiej stronie, w narożniku ceglanych kamienic rozgrywał się inny dramat. Dwóch roślących rakarzy z wędzidłami zamocowanymi do drągów osaczyło starego łaciatego kundla. Skradali się do niego ostrożnie, aż pies ze strachu przysiadł i zrobił pod siebie kałużę. Z otwartego okna na piętrze jakiś podchmielony młodzieniec przeklinał ich, ile wlezie. Dołączyła do niego kobieta ze zmierzwionymi włosami, która wylała na chodnik wiadro pomyj. Zrobił się rwetes. Z podwórka wybiegła gromadka dzieci, bosych i zapłakanych. Stały opodal i patrzyły lękliwie, lecz hycle dalej robili swoje.

Pies nie bronił się już, tylko dygotał ze strachu. Z zadzierzgniętą na szyi pętlą łatwo dał się wprowadzić do drewnianej klatki stojącej na wozie, pełnej osowiałych psów i kotów. Po chwili koń smagnięty batem ruszył po bruku i za hyclami posypały się niekończące się przekleństwa.

Jakiś chłopczyk stojący z boku pouczał w jidysz niewiele starszą od siebie pochlipującą koleżankę. Stern zrozumiał, że po swojemu komentuje zajście.

– Tatko mówili, żeby nigdy nie patrzeć im w oczy.

– A to czemu, Boruch?

– A bo ich straszny wzrok może ci wypalić ślepie, głupia!

– O Boże, i co ja teraz zrobię? – powiedziała dziewczynka i z płaczem pobiegła gdzieś przed siebie.

– Zaczekaj! – wołał mały. – Stój, Rewka, ja tylko żartowałem!

Jakub Stern przyspieszył kroku. Był już spóźniony. Okrutna scenka przypomniawszy mu los jego ulubionego psa, Dega. Jego pupil zniknął nagle spod domu na Pohulance. Stało się to w połowie lutego, wieczorem, gdy spadł ciężki, lepki śnieg. Kiedy Jakub wyszedł zawołać go do domu, znalazł na śniegu przy furtce odciski czyichś butów i porzuconą wołową kość. Poszukiwania nie przyniosły rezultatu. Dziennikarz dawał nawet przez kilka dni ogłoszenie w „Kurierze”, lecz bez efektu.

Po tym zdarzeniu Jakub obiecywał Kasi, że kupi godnego następcę, lecz Anna kategorycznie zapowiedziała, że wobec takiego zrządzenia losu absolutnie nie zgodzi się ponownie trzymać w domu czworonoga.

Na poniedziałkowe kolegium Stern spóźnił się ponad pół godziny. Zanim jednak wszedł do sali narad, zajrzał do sekretariatu i zapytał o Wilgę. Kazia pokręciła głową. Poszedł więc do swego pokoju, by zadzwonić do Zięby. Chciał usłyszeć najnowsze wiadomości o Wildze, lecz sekretarka z komendy wojewódzkiej sucho go poinformowała, że pan inspektor jest zajęty, bo ma odprawę, i oddzwoni. Zdenerwowany Jakub wszedł do sali. Czekał na stosowny moment, by podzielić się z naczelnym informacją o de Brie.

Kolegium zmierzało już powoli do końca. Wzmiankowano o strzelaninie na granicy polsko-sowieckiej i o Klotyldzie Gawrońskiej, dawnej stołecznej królowej piękności, która zmarła na ulicy jak pospolita żebraczka. Kiedy Mańkiewicz przeszedł do spraw miejskich, nikomu nie było już do śmiechu.

– O czym my tu gadamy? O autostradzie w Wenecji albo o pogryzionej przez psy duńskiej królowej? Kogo to interesuje? W naszym mieście narasta cholerna panika. Ludzie pogłupieli i boją się wyjść z domu nie tylko z powodu wariata, który robi jatkę na Rynku, ale z powodu

idiotycznej chmury. Rozhisteryzowani czytelnicy błagają, byśmy wreszcie coś zrobili! Możemy to wykorzystać i podwyższyć sprzedaż, a my co?

– Więc zrobmy coś! – odpowiedziała Andrea, wydymając wargi i patrząc z uwielbieniem na Mania.

– Mam dla ciebie propozycję! – powiedział Stern z podejrzaną pokorą w głosie.

– No to wal!

Korektorka Stopka i Halinka, która od wieków zajmowała się kulturą, przerwały rozmowę i zaciekawione obróciły głowy w stronę Jakuba.

– Możemy zapalić znicz.

– Jaki, kurwa, znicz? – Mańkiewicz nie przebierał już w słowach.

– Chyba nie olimpijski? – zażartował Długolato, poprawiając okulary.

– Czwarty znicz! Mam nawet już dla niego miejsce, na Rynku, pod fontanną Diany!

– Porąbało cię? – Andrea wzięła szefa w obronę.

– Andrea, proszę, wyjdź. – Mańkiewicz surowo spojrzał na dziewczynę. – Kobotki, bardzo proszę, wy także wyjdźcie! – dodał i jak byk przed szarżą nabrał ciężko powietrza.

Kochanka Mania podniosła swój zgrabny tyłeczek i przecisnęła się ku drzwiom, ostentacyjnie łapiąc się za głowę, że niby trafiła do domu wariatów. Halinka ze Stopką zniknęły błyskawicznie, jakby ich w ogóle na kolegium nie było.

– Możesz sobie kpić ze mnie – zaczął tyradę Mańkiewicz – ale błagam cię, nie tym tonem i nie przy niej. Dziewczyna jest wrażliwa i... Ja nie pozwolę, byś w jej obecności podrywał mój autorytet!

– A Wilgę mamy w dupie, tak? Ona według ciebie nie jest dość wrażliwa? Przynajmniej nie tak, jakbyś to sobie wyobrażał! Więc nie obchodzi cię, że nie ma jej w pracy, za to martwią cię jakieś idiotyczne konwenanse?

– Posłuchaj, Stern! – Mańkiewicz wstał i wsadził ręce do kieszeni. – Czasami żałuję, że wtedy do ciebie przyszedłem. Nic a nic się nie zmieniłeś, włączysz w konszachty z jakimiś czubkami, babrzesz się w samych ohydztwach, mając naszą redakcję w...

– Dokończ!

– Kuba, do jasnej cholery! Jeśli wiesz coś więcej, powiedz, a ja dam ci uroczyste słowo, że nie zobaczysz tego w gazecie. Jeszcze nie wszystko jest na sprzedaż. Rozumiemy się?

– Rozumiemy, jeśli tylko mi, Marek, pomożesz.

– O co chodzi?

– O jutrzejszy dzień.

– Chodzi ci o wtorek?

– Chodzi mi o to, co stanie się jutro i czemu ani ty, ani ja nie możemy zapobiec.

– A co ma się stać? – Mańkiewicz spojrzał na niego przenikliwie. – Jeśli coś wiesz, gadaj!

– Wczoraj wieczorem dzwoniła do mnie Wilga. To był bardzo dziwny telefon. Powiedziała tylko jedno zdanie.

– Jakie?

– Żebym jej więcej nie szukał. Zadzwońłem więc do Zięby, powtórzyłem naszą rozmowę, ale on powiedział, żebym zostawił te sprawy policji.

– O co tu chodzi? I po cholere zamieszana jest w to policja? Twoja koleżanka poinformowała mnie wczoraj, że bierze kilka dni wolnego! Nie wiedziałeś?

Jakub Stern stał zmieszany.

– Sam nie jestem już pewien – powiedział wreszcie cicho. – Dostała, jak ja, dziwne zaproszenie. Była zdenerwowana. Nigdy nie dzwoniła do mnie do domu. Mam niejasne przeczucie...

– Nie zawracaj mi głowy żadnymi przeczuciami! – powiedział naczelny i wyszedł, trzaskając drzwiami.

– Nie da się mieć ciastko i zjeść ciastko – stwierdził filozoficznie Długolato – a ponieważ Wilga...

– Nie mów mi o niej! Przynajmniej nie ty i nie w tej chwili.

– Nie skojarzyłeś sobie, że gdyby nie twoje uniwersyteckie nauki – rudzielec od sportu zawiesił głos, jak ksiądz na kazaniu – nie wpakowałabyś siebie i innych w tarapaty?

– Dość! – wrzasnął Stern i pomyślał, że skoro Manio i Długi już wiedzą, że to „coś” ma nastąpić jutro, to niegłupim pomysłem byłoby ogłosić tę rewelację na pierwszej stronie dziennika. Już widział tłum czytelników żądnych krwi, którzy idą pod ratusz obejrzeć ekscytujący spektakl.

Tak samo szybko, jak zapalił się do tego pomysłu, porzucił go i patrząc na rudzielca, skonstatował, że każdy z nich, bez względu na konsekwencje, musi robić swoje.

Długi poczuł się winny i próbował załagodzić niepożądany spór.

– Sam gadałeś, że Wilga ma ciężarną kotkę. Skoro wzięła wolne, jak mówił Manio, pewnie teraz niańczy ślepe potomstwo. Idziemy sprawdzić, co robi kocia mama?

– Odwal się – powiedział Stern.

Nawet Kazia próbowała go wyprowadzić z minorowego nastroju. Odwołała go na bok i w tajemnicy pokazała przesyłkę, która nadeszła rano z Boliwii, od Krezusa, dawnego naczelnego.

W blaszanym pudełku po herbacie leżał wysuszony liść bananowca, przycięty równo, niczym okładka książeczki do nabożeństwa. Po obu jego stronach były naczelnymi opisał własną ceremonię ślubną. Inicjację, śpiewy i ofiarę z upolowanego tapira. Pod spodem leżało zdjęcie jego drugiej małżonki. Niska i gruba Nynoe z plemienia Kallauja ścisnęła w zębach

ogromnego, połyskującego chrząszcza, a Krezus klęczał u jej stóp, trzymając nad głową wijącą się anakondę.

Niespodziewanie dołączył do nich Maczała.

– Co wy się tu zmawiacie? – zapytał i wyrwał Kazi fotografię. – O Boże, mój Boże! – zaczął z nostalgią. – To był jedyny porządny facet w naszej redakcji. Jak ja go, moi mili, kochałem, jak podziwiałem jego ambicję, której dziś nie uświadczysz. Dobrze pamiętam, jak nie dojadał i roznosił rano gazety, potem porządkował kaszty... Zawsze mi się nisko kłaniał i nazywał szanownym panem Fredem.

Kilka minut po drugiej Jakub Stern nadal siedział w pracy. Nie ruszał się z miejsca i wciąż czekał na telefon od Zięby. Z nudów poprawił artykuł o niemowlęciu, które ugotowało się żywcem w kotle na bieliznę, następnie skorygował plan tygodnia. Cały czas jednak myślał o porannej rozmowie z perukarzem. Próbował sobie wyobrazić wnętrze chlebowego pieca, o którym opowiadał mu rzemieślnik, a potem przypomniał sobie zawiniętą w gazetę perukę. Jasne, śliczne pukle, jak u...

Rozgorączkowany wstał i by odegnać czarne myśli, wziął się za porządki. Na jego biurku panował koszmarny bałagan. Spojrzał na schludne biurko Wilgi. Jak ona to robi? Dlaczego nie gniecie i nie kreśli kartek, tylko od razu pisze dokładnie to co trzeba?

Kiedy ułożył skoroszyty, powpinał stare pisma do segregatorów i wytarł plamy od atramentu, znowu spojrzął na biurko Wilgi. Na sterylnej czystym blacie przy połyskującej maszynie do pisania stał jej porcelanowy słonik cierpliwie czekający na właścicielkę. Stern po raz pierwszy wziął go do ręki i w tym momencie dostrzegł wyrwaną z notesika karteczkę: „Pozdrowienia, Kuba, módl się za mnie!”.

Wściekły zmiął notatkę i wyrzucił do kosza, a potem wybiegł, zatraskując za sobą drzwi. Jak szczur przemknął obok kajuty Freda, nie odpowiedział też na zalotny uśmiech Kazi.

Był zły i głodny. Miał zamiar, starym zwyczajem, wdepnąć do jadłodajni Teliczkowej, by przegryźć co nieco, lecz tuż przed wejściem do lokalu przy Akademickiej przypomniał sobie o urodzinach Anny. Poprzedniego dnia mocno jej dokuczył, rano też nie był lepszy, więc teraz zmienił plany i szybkim krokiem ruszył prosto do domu.

Mijał ludzi z parasolami, tak jak on z niepokojem spoglądających na wielką, ciemną chmurę. Niepoddająca się żadnemu powiewowi wiatru wyglądała jak monstrualny sterowiec przycumowany do Lwowa.

Stern przypomniał sobie, że rok temu w niewyjaśnionych okolicznościach doszczętnie spłonął w Lakehurst trzystumetrowy LZ-129 Hindenburg. Krążyła wówczas plotka, że pożar nie był efektem nieszczęśliwego wypadku, lecz zaplanowanym dziełem żydowskiego sabotażysty, który z karabinu snajperskiego wystrzelił zapalający pocisk.

Jakub zmrużył na sekundę oko, by znaleźć najsłabszy punkt podniebnego potwora, i jego myślowy pocisk pomknął w sam środek szydzącej z niego umbry.

Kiedy wrócił do domu, natychmiast spostrzegł brak róży, którą posadził rano przed gankiem. Na jej miejscu leżał płaski kamień. Przeraziła go absurdalność postępowania Anny. Swoim zachowaniem przypominała krnąbrne dziecko. Miał zamiar pogratulować jej wspaniałego pomysłu, gdy nagle przez okno wychyliła się Kasia.

– Szukasz róży, tatku? – zapytała. – Przesadziłyśmy ją z mamą do ogródka, bo właśnie tu, pod ganek, wprowadziła się w piątek nornica. To był mój pomysł! – oznajmiła z dumą.

– Jesteś wspaniała! – powiedział i pogłaskał ją po głowie. – A gdzie mama?

– Mama jest w łazience, ale prosiła, byś jej teraz nie przeszkadzał.

– Ja też przez kilka minut muszę być sam – uprzedził, a potem szybko wszedł do domu i skierował się do gabinetu. Zamknął drzwi i od razu sięgnął po słuchawkę telefonu. Wykręcił numer komendy wojewódzkiej,

lecz ponownie usłyszał zapowiedź rychłego kontaktu ze strony inspektora. Zniecierpliwiony wykręcił prywatny numer Zięby i czekał. Tym razem miał szczęście.

– Kto mówi? – usłyszał znajomy gardłowy głos.

– Tu Stern – powiedział krótko.

– O, pan redaktor Jakub Stern, który nie może się mnie doczekać!? Co za niespodzianka. – W słuchawce słychać było chrząknięcie. – Jak pan redaktor ma problem, przypomina sobie o starym przyjacielu i sam dzwoni. Pochwalę ci się, na wstępie, że jestem po dwóch piwach i nie zamierzam psuć sobie wieczoru.

– Nawet gdybym miał coś ważnego do powiedzenia.

– Na przykład, że...

– ...że to będzie jutro.

– Zawsze jest jakieś jutro, panie Jakubie, proszę mnie poprawić, jeśli się mylę.

– Czy możesz rozmawiać ze mną serio?

Słychać było, jak Zięba wlewa sobie do gardła kolejną porcję chmielowego trunku.

– Jasne, wal bez krępacji! A może to jakiś kolejny rewelacyjny pomysł? Było już tyle waszych radiowych ogłoszeń, kto by je wszystkie spamiętał. – Zięba zaczął się śmiać.

– To stanie się jutro w południe przy ostatniej fontannie! – powiedział spokojnie Stern.

– Pan redaktor nie fantazjuje? Czyżby przy miejskim wodotrysku? Przepraszam. – Zięba wreszcie zrozumiał. – Obstawię, kurwa, cały rynek, nawet mysz się nie prześlizgnie! Wszystko dla ciebie i... – To „i” zawisło na moment, by zamienić się w kategorię „nie”. – Nie! Oddzwonię do ciebie za chwilę, muszę to sobie poukładać i pójść w jedno szacowne miejsce. Zaczekasz? Nie odchodź od telefonu. Oczywiście, że zaczekasz – odpowiedział sam sobie i rozłączył się.

Kiedy dzwonek telefonu odezwał się ponownie, Jakub natychmiast podniósł słuchawkę.

– Co byś powiedział na spotkanie, powiedzmy, za pół godziny w „Engelkreisie”? – usłyszał głos Zięby.

– W tej spelunie?

– A czy ja mówię, że to porządny lokal?! – odparł Zięba z żydowskim zaśpiewem. – Dasz radę wyrwać się na trochę? A jak nie, to ja ci radzę, wymyśl coś, byle prędko.

– Spróbuję – powiedział markotnym głosem Stern i spojrzał na wiszący w gabinecie zegar. Potem zszedł do pokoju dzieci. Piotruś spał w łóżeczku, a obok Kasia zajęta była układaniem do snu rękawiczkowego kociora.

Zanim wyszedł na spotkanie, córka zadała mu jedno ze swych kłopotliwych pytań, których miała w zanadrzu pewnie tysiące.

– Tato, a czy zwierzętom jest gorzej?

– Spieszę się – powiedział, wkładając buty. – Idę spotkać się z inspektorem Ziębą. Obiecuję ci, że jak wrócę...

– Na pewno wiesz, tato. Bo Szymon z naszej klasy rozpowiada, że one mają od nas sto razy lepiej, ale ja myślę, że on specjalnie nas okłamuje.

Jakub chciał szybko potwierdzić, lecz przypomniał sobie polowanie hycli na Miodowej i syberyjskie koty zamknięte w klatce na placu Teodora, które pokornie czekały na zdercie futer. Klientami mieli być „lepszy państwu, cierpiący na kurzonki”.

– Powiedz Szymonowi, że jest... no, że jest w błędzie i że jak dorośnie, na pewno zmieni zdanie.

– Ty też zmieniłeś zdanie? – zaskoczyła go kolejnym pytaniem, gdy brał kapelusz z wieszaka.

– Dwa, a może trzy razy! Kiedyś ci o tym opowiem – oznajmił z tajemniczą miną i delikatnie pocałował Kasię w czoło. – Muszę już iść. Powiedz mamie, że musiałem pilnie wyjść. Obiecujesz, mały filozofie?

- Jak mnie nazwałeś? – zawołała za nim.
- Mądrała! – odpowiedział ze śmiechem, zamykając furtkę.

Po dwudziestu minutach szybkiego marszu dotarł pod masywne drzwi „Engelkreisa”, a kiedy je otworzył, buchnęła w niego gęsta mieszanka dymu, alkoholu i męskiego potu. Gdzieś pośród kłębiącej się i przekrzykującej masy, niczym samotna wyspa, czekał na niego inspektor Zięba.

Jakub przecisnął się przez grupkę mężczyzn i zatrzymał przy ladzie, wlepiając wzrok w wielką jak szafa bufetową. Właśnie zastanawiał się, jak zapytać o Ziębę, gdy poczuł czyjś palec wwiercający mu się w plecy.

– Pieniążki albo... pieniążki? – usłyszał głos inspektora, a potem jego rubaszny śmiech. – Powiedz, Jakub, żeś się mnie wystraszył, co?

– Jasne, cholernie się ciebie boję! – odparował Stern, rozglądając się po mordowni.

Inspektor wziął Jakuba pod łokieć i zaprowadził w kąt, gdzie na okrągłym stoliku czekało na niego zimne piwo marcowe.

Stern bez ceregieli wydudlił połowę, odstawił kufel na kartonową podstawkę z rysunczkiem lwa i czekał, aż Zięba pierwszy się odezwie.

– Nie pytam cię, kurwa, skąd wiesz! Ja mam swoje, a ty masz swoje dojścia, coś mi się jednak zdaje, że twoje źródło *woniajet* na kilometr.

– Nie wierzysz mi?

Stern wyjął zapalnik z pudełka z Poleszukiem i efektownie przypalił Ziębę papierosa.

– Mam dla ciebie dwie wiadomości: dobrą i złą, którą wolisz na początek?

– Zaczynij od tej dobrej.

– Dobra to ta, że dziś przed południem go przyskrzyniliśmy!

– Dopiero teraz mi o tym mówisz? – rzucił Stern z pretensją. – Kto to?

– Dobrze go znasz, to doktor Emilian Kanclerz, twój uniwersytecki rywal. Widzę po twojej minie, że mi nie wierzysz?

Jakub milczał. W jego głowie trwała galopada myśli. Nie był w stanie uwierzyć, że jego poprzednik zdolny był do takich czynów.

– Chcę ci podziękować. Na jego ślad naprowadził nas przysłany przez ciebie Robert Barecki. Chłopak opowiedział o swojej bójce z Zimmerem i o zniknięciu ciała tamtego. I wtedy, tak jak ty, zdałem sobie sprawę, że kluczem do sprawy musi być samochód. Barecki opisał dwa samochody, które tamtego wieczoru stały w okolicy parku. Granatowego szewroleta, który należy do rektora, i czarnego fiata, własność dawnego wykładowcy. W dokumentach sprawy znalazłem zapiski, że dwaj redaktorzy z Radia Lwów wracający z imprezy w „Atlasie” widzieli nad ranem takiego samego czarnego fiata, jakiego ma Kanclerz, na Halickiej, i to zanim twój Zimmer znalazł się na fontannie Neptuna z trójzębem w trzewiach. O tym samym samochodzie wspominał również kolejarz, którego wspólnie z Wilgą posłaliśmy w piątek trzynastego w diabły. Był na was obrażony i odgrażał się, że złoży skargę. Pojechaliśmy więc w środku nocy do Kanclerza, lecz zastaliśmy tylko wystraszoną żonę, gosposię i zaspanego lokatora. Pana domu nie było. Nie było też jego samochodu. Barecki powiedział nam jeszcze coś ważnego: że Maska przystawiał się ostatnio do jego koleżanki. Podał nam usłudźnie jej adres, a my zaryzykowaliśmy i...

– Gdzie był? – przerwał zniecierpliwiony Stern. – Czy nie możesz choć raz gadać po ludzku?

– Nigdy byś nie zgadł! Czarny fiat Kanclerza stał przed domem Róży Winkler, a w środku...

– Nie uwierzę!

– Sic! Wydawałoby się to niemożliwe, a jednak skorzystał z okazji, gdy jej rodzice wyjechali na wakacje do Wenecji. – Zięba zgasił niedopałek na podstawce, potem grubym, ruchliwym językiem zlizął pianę z brzegu kufla. – Twój doktorek siedział dziś rano za kratkami i płakał jak bóbr. Był w szoku i się jąkał. Wzięliśmy go w obroty i nie uwierzysz, ale zaczął

szczerze gadać. Przyznał się do kontaktów z Sarą, więc wychodzi na to, że nie był pierwszy.

Stern zacisnął zęby, mając nadzieję, że inspektor nie zauważy, jakie wrażenie zrobiła na nim ta osobista wycieczka.

– Czemu powiedziałeś: siedział? – zapytał podejrzliwie dziennikarz.

– Spokojnie, nie poganiaj mnie. Zabrałem Kanclerza i pojechaliśmy do jego domu na Akacjową. Trząśnięty jak galareta i płakał przy żonie, że jest niewinny. Poprosił grzecznie, czy może skorzystać z toalety, więc postawiłem pod drzwiami stójkowego, a sam udałem się do jego gabinetu. Czego tam nie było! W jego biurku znalazłem szkic Rynku z zaznaczonymi fontannami i interesującymi komentarzami, wycinki z gazet i niewypełnione blankiety zaproszeń. Pakowałem je akurat do teczki, gdy stójkowy z korytarza zaczął walić w drzwi i drzeć głowę. Poleciałem, lecz okazało się, że wystraszony mężulek dał już gdzieś dyla przez ogród. Rozbiegliśmy się, szukaliśmy, ale facet jakby się pod ziemię zapadł. I to jest ta zła wiadomość!

Inspektor nie dał dojść Sternowi do głosu i aby pokryć zmieszanie, przystąpił do dalszej opowieści.

– Dostałem od jego żony adres, ten sam, który dała Wildze. Byłem na Starozakonnej, gdzie mieszkał majster prowadzący budowę jego kancelarii. Po majstrze ani widu, ani słychu. Zajrzałem do szafy, znalazłem kartkę z terminarza z datą, która dała mi wiele do myślenia. Przepytalem sąsiadów. Potwierdzili, że dwa, a może trzy razy parkował tam czarny fiat. Kobiety, niestety, nie widzieli, zapamiętali za to mężczyznę, wypisz wymaluj jak nasz prawnik. Do roboty wziął się nasz technik kryminalny, pan Tomasz, znasz go. Znalazł jakieś ślady. W południe zameldował mi, że nie ma ich w naszym rejestrze, ale potwierdził, że pokrywają się one z odciskami zebranymi w willi pana doktora, a to oznacza, że po nitce do kłębka wreszcie doszedłem do...

– Nie chrzań – przerwał mu Jakub. – Wypuściłeś go z rąk. Chyba wiesz, co to znaczy?

Miał ochotę wyrznąć inspektora w szczękę, co doskonale pasowałoby nie tylko do miejsca, lecz także do przebywających tu i wydzierających się niemiłosiernie typów, ale się opanował. Przypomniawszy sobie, że i on nie jest bez winy.

Za jego plecami jakiś pijany batiar zaintonował drżącym głosem rzewną piosenkę o koniu i pół knajpy odpowiedziało mu: „Oj, koniu, koniu, wracaj do domu, dla ciebie nima tu siana”. Do tego śpiewu niespodziewanie przyłączył się Zięba, wydzierając się na całe gardło i myśląc zwrotki: „pociąg nadjechał, Frankę rozjechał, osobno głowa, a osobno Franka”.

– A widzisz, nie wierzyłeś mi, że będzie miło! – powiedział inspektor i poszedł do baru po dwa następne kufle i po słone sztangle z wędzonym serem pokrojonym w kostkę.

Gdy wrócił, miał już gotowy plan na następny dzień.

– Nie wiem, dlaczego to robię, ale zrobię to dla ciebie! Ustawię tam swoich ludzi, tylko nie licz na wiele, bo się przeliczysz!

Przesunął talerzyk z zakąską na środek okrągłego blatu, kufle zaś blisko siebie z boku.

– Ten talerzyk to twoja wiekowa damulka z kundlami – powiedział, przyciszając głos – a nasze kufle to narożne kamienice Rynku, w których ty i ja zajmiemy swoje miejsca. Moi ludzie będą dyskretnie obserwować teren i czekać na rozkaz. Każdy dostał zdjęcie pana doktora w uczelnianym birecie i todze. Mają zakodowaną w pamięci tę beczelną buźkę.

– Czy mogę zainstalować się tutaj? – Jakub pokazał palcem obok kufla, w miejscu, w którym teoretycznie znajdowała się jego ulubiona piwiarnia przylegająca do kamienicy Bernatowiczowskiej pod numerem ósmym.

– Jasne. Bądź w swojej knajpie trzydzieści po jedenastej i o nic się nie martw. Kiedy zobaczysz tego frajera, masz grzecznie do niego podejść i przywitać się.

– Co dalej?

– Bez paniki! Koleś nawet nie zauważy, jak będzie leżał na glebie.

– A ty?

– Co ja? Ja zrobię, co do mnie należy!

– A co z nią?

– Ty dalej swoje? Czego ty ode mnie, do kurwy nędzy, chcesz!? – ryknął wściekle Zięba. Po kilku sekundach opanował się jednak. – Podzieliliśmy role i jeszcze ci mało? Przepytyujesz mnie, cwaniaczkę, z mojej profesji? Ja nie pcham się do twojej uczonej wierszówki!

– Nie słyszałeś jej głosu! – powiedział spokojnie Jakub.

– Panie Stern, sentymenty na bok! – odparł Zięba i uśmiechnął się do dziennikarza, jakby rozmawiał z dzieckiem, ale Jakub nie miał już ochoty na żarty. Patrząc na czerwoną, zapijaczoną gębę, szukał wyjaśnienia dla tego fenomenu. Inspektor się zmienił. Tak jakby świadomość upokorzenia Sterna dodała mu cudownej mocy. Nie był to już ten lękliwy Zięba, który niedawno ciągnął za sobą na konferencję prasową najładniejszą protokolantkę z komendy. Stał się cyniczny i bezczelny.

– No już dobrze, dobrze! – Inspektor spuścił z tonu i wbił wzrok w dziennikarza. – Mamy, Kuba, jeden procent szansy, że nasz doktorek się pojawi i że uda nam się go na nowo przyskrzynić. Zadowolony?

Stern milczał.

– A teraz miła niespodzianka. Pojechałem na stację przy Świętego Jacka i dowiedziałem się, że twoja Wilga nie pierwszy raz nie wróciła na noc. Tak pewnie już ma. Musi gdzieś pójść, dać ostro w gaz i po swej robocie odreagować. Właścicielka przybytku karmiła małe persiaki. Spodobałem się jej i jednego liliowego obiecała mi podarować, jak troszeczkę podrośnie.

Stern nadal milczał.

– Obraził się, jak Bożę kocham, ten hryć nie zna się na żartach! Pani Genia! Pani Genia! – zaryczał Zięba nad głowami. – Dajże pani jeszcze jedno gielajze dla tego smutasa!

Stern nie reagował.

– Chryste Panie. Myślisz sobie, Kuba, że ja nie mam po dziurki w nosie tej sprawy? – Popatrzył na przybitego dziennikarza. – Wiesz, co sobie przysiągłem? Że kiedy ją wreszcie zakończę, pojedę do Juraty, wykopię sobie dołek pod dupę i przez trzy dni będę leżeć na plaży, a jeśli wyciągnę rękę, to do jakiejś ślicznej loli albo po zimne piwo.

Popołudnie niepostrzeżenie zamieniło się w wieczór. Kiedy śmierdzący dymem i piwem wracał do domu na Pohulankę, naszała go niespodziewanie myśl, by choć na chwilę wstąpić do Samuela. Zobaczyć tę jedyną na świecie bużkę zafrasowanego świątka i wysłuchać jego pokrętnych rad.

W jakiejś bramie, nie mogąc się już powstrzymać, oddał mocz, potem automatycznie zapalił papierosa i prędkim krokiem ruszył do szkolnego przyjaciela.

Przy Rybackiej skręcił w lewo, w Zieloną, i po kilku minutach stał pod znajomymi rzeźbionymi drzwiami ozdobionymi ornamentem akantu.

Nacisnął dzwonek i czekał. Minuty mu się dłużyły. Obok niego przeszła jakaś para, ściskając się i szepcząc czułe słówka. Stern wyszedł na jezdnię i podniósł głowę. Wydawało mu się, że widzi przez firanki na piętrze słabe, migoczące światełko. Kiedy zrezygnowany chciał już odejść, usłyszał chrobot klucza w zamku i zza masywnych drzwi wyszła drobna, ubrana na czarno kobieta. Skinęła głową i bez słowa poprowadziła Sterna na górę.

Na półpiętrze Jakub jak zwykle spojrział na witraż ze złotą menorą, która w nadchodzącym zmroku dziwnie poszarzała. I nagle uświadomił

sobie, że zrobiło się późno i że w domu czeka na niego rozeźlona Anna, postanowił więc, że tylko przywita się z Basem i zaraz będzie wracał.

Wszedł do mieszkania za milczącą przewodniczką. Powiesił płaszcz i kapelusz w korytarzu na wieszaku i zajrzał do pokoju. Kobieta w czerni postawiła świecę na komodzie i wyszła po coś do kuchni, zostawiając przyjaciół samych. Kim była? Czyżby Samuel posłuchał jego rad i zafundował sobie wreszcie służącą?

Adwokat leżał w łóżku, wsparty na podwyższeniu z poduszek, i gapił się na dziennikarza. Jakub dopiero po chwili, gdy oczy przywykły mu już do półmroku, dostrzegł zmienioną twarz przyjaciela. Miał poranione czoło, podbite oczy i rozciętą wargę, a prawą rękę owiniętą do łokcia bandażem. Ubrany był w ten sam co zwykle ciemnozielony jedwabny szlafrok.

– Czekałem na ciebie – powiedział ledwie słyszalnym głosem. – Śniło mi się, że przyjdiesz. Chciałbyś zadać mi jakieś pytanie? – I zaraz, jak to miał w zwyczaju, sam sobie odpowiedział: – A na co ci moja odpowiedź, kiedy ty żyjesz swoimi sprawami?

Ten wstęp nie podobał się Jakubowi. Czuł jakiś niewypowiedziany żal za kierowane do niego pretensje.

– Chryste! Co ci się stało?

– Rano dołączyłem do tych gorszych – odpowiedział Hillel i zakaszłał. – Spałowali mnie świętecznie, w rocznicę śmierci naszego drogiego Marszałka. Ale co ja, głupi, narzekam? Miałem szczęście, że nie wzięli ze sobą żyletki – dodał z tym swoim idiotycznym poczuciem humoru, które odzywało się w nim zawsze, gdy musiał zmierzyć się z nieszczęściem.

Może tak było, a może Samuel prowokacyjnie gapił się na szerokich w barach młodzieńców? Stern próbował wyczytać prawdę, patrząc w podpuchnięte oczy przyjaciela.

Kobieta w czerni weszła tak cicho, że na jej widok dziennikarz się wzdrygnął. Szybko ustąpił jej miejsca, a ona przysiadła na stołeczku,

zmoczyła w wodzie szmatkę i położyła ją na czole Samuela. Potem nakarmiła go rosołem z garnuszka, na koniec jeszcze raz dotknęła jego czoła, jakby chciała sprawdzić, czy pacjent nie ma gorączki. Hillel leżał cierpliwie, a kiedy wyszła, zamknął oczy i zapadł w krótką drzemkę.

Jakub siedział nieruchomo, wpatrując się w twarz przyjaciela. Płynęły minuty, tykał zegar wiszący na ścianie i cicho skwierczała stojąca na komodzie świeca. W pokoju pachniało woskiem, octem i potem. W pewnej chwili Jakub poruszył się, strącając niechcący łyżeczkę. Adwokat obudził się i czujnie spojrział.

– Miałem nadzieję, że wyszedłeś – wyszeptał, wyraźnie zdziwiony, że Jakub wciąż przy nim siedzi. – Przed chwilą śniło mi się, że znów jestem chłopcem. Wyobraź sobie, że siedziałem w wózku inwalidzkim, a mój ojciec wiozł mnie przez dziesiątki sal po ogromnym muzeum. „Wytrzymaj, Samuele, to już niedaleko – gadał. – Teraz nie możemy się wycofać”. Mój rodzic chciał mi koniecznie pokazać jakąś cudowną rzeźbę. Byłem głodny, chciało mi się do ubikacji, a on jak szaleniec wiozł mnie labiryntem korytarzy od sali do sali, aż pod koniec dnia znaleźliśmy wreszcie poszukiwane przez niego pomieszczenie. Ojciec otworzył przewodnik i uśmiechnął się do mnie. „Ona tam jest. Cudowna siostra Apollina czeka na nas za tymi drzwiami. Widzisz, chłopcze? – perorował. – Nigdy nie wolno ci się poddać”. Schwycił za klamkę i pchnął drzwi. Zobaczyłem marmurową podstawę postumentu i połyskujący parkiet, lecz nic więcej, bo wtedy właśnie, niestety, się obudziłem. Czy to coś znaczy? – zapytał. – Musi coś znaczyć. Marié z pewnością by wiedziała, intuicja nigdy jej nie zawiodła.

– A więc to Marié natchnęła cię do powrotu do Polski? – rzucił Jakub ze złością.

– Jej tam też nie jest lekko. Angielskie wojska nie potrafią utrzymać porządku. Niedaleko od nas, w Akko, Arabowie wyrznęli w nocy całą

wioskę żydowskich osiedleńców i nieznośny Izaak odgrażał się, że pójdzie w moje ślady, jak sznur za wiadrem.

– O co wam wszystkim chodzi? Jesteście jacyś...

– Właśnie, jacy jesteśmy? – chrząknął ze złością Samuel, skubiąc kościstymi palcami brodę. – Może ty mi to powiesz, bo ci dranie z pałami jakoś nie chcieli?

– Nie, nic! – odpowiedział Stern zrezygowany, wstając. – Jeśli mógłbym ci w czymś pomóc... Może przynieść lekarstwa? Powiem Annie i jutro wpadnę wieczorem, by sprawdzić...

– Już mi pomogłeś. – Bas uniósł zabandażowaną dłoń w takim geście, jakby chciał go pożegnać. – *Vale*, Gwiazdorze! Najlepiej wpadnij do mnie, gdy będzie po wszystkim.

Wracał do domu na podwójnym kacu – bolała go głowa i doskwierało sumienie. Niepokoiły go też słowa Samuela. Co oznaczało to jego „po wszystkim”? Jak zwykle chciał umyć ręce?

Ledwie przekroczył próg, Anna dała mu szkołę.

– Trzymaj się ode mnie z daleka, słyszysz?! Na kilometr śmierdzi od ciebie harą.

Jakub przyjął pozę zbitego psa.

– To nie jest tak, jak myślisz, Aniu. Musiałem nagle wyjść, bo jutro, Aniu...

– Aniu! Teraz to Aniu! Kasia zdała mi relację. Wpierw inspektor Zięba, niezły ochlaptus, potem pewnie twój Hillelek, bo ten handełes zawsze był ważniejszy od żony! Mam rację? – zapytała, gdy błagał ją, by była ciszej.

– Czyś ty oszalał? Znikasz bez słowa na pięć godzin? I to dziś! Upokorzyłeś mnie, nawet nie wiesz, co ja czuję!

– Możesz mnie nazwać świnią. Postąpiłem brzydko, nie da się ukryć, i dlatego ...

– Błagam cię, nie kończ! Mieliśmy świętować moje urodziny. To miał być nasz i tylko nasz wieczór. Zamówiłam tort urodzinowy, wstawiłam

szampana do lodu. Mów, co znowu ten twój starozakonny narozrabiał?

Jakub zaczął opowieść, lecz zaplątał się w kłamstwach: piwo z „Engelkreisa” zamienił w cudowny sposób w gruziński koniak u „Mikolascha”, z trudem dobrnął do leżącego w pościeli Samuela, a kiedy skupił się na ranach, jakie zadali mu nieznani napastnicy, Anna spojrzała na niego z wyrzutem.

– Chcesz mi powiedzieć, że skatowali go bez powodu? Wyszedł, jak ty lub ja na spacer... Nie uwierzę!

Nagle na korytarzu pojawił się mały obrońca w piżamce, a za nim zaspana Kasia w koszuli nocnej do kolan, z nieodłącznym rękawiczkowym kociorkiem.

– Dobry wieczór, tatusiu – powiedziała Kasia. – Czy coś się stało?

– Twój wspaniały tatuś był u pana Zięby, a potem zamiast do domu zaszedł na macę do pejsatego Hil-lela! – oznajmiła Anna.

– Dziadzia Hil-lel, maca! – zawołał zaspany Piotruś

– Dziadzia Sam, mniam mniam, maca!

– O czym on bredzi? – spytała z niedowierzaniem Anna. – Coś ty z nim, do cholery, zrobił?

Jakub wziął szkraba na rękę.

– Powiedz mamusi – zwrócił się do synka – że spotkaliśmy się dwa razy z dziadziem Samem na spacerze i poczęstował nas smakołykiem. Widzisz? – Popatrzył z tryumfem na kiwającego główką synka. – Dzieci, w przeciwieństwie do dorosłych, od razu poznają się na dobrych ludziach.

Anna wyrwała Piotrusia z rąk Jakuba i zagarniając Kasię jak kwoka, skryła się z nimi w ich pokoju. Jakub stał nieporuszony, oparty o ścianę. Nie interesował go już ani idiotyczny spór, ani Zięba, ani nawet skatowany Samuel. Poraziło go coś zupełnie innego. Zaciśnięte miękkie usta Anny i błysk w jej oczach, kiedy patrzyła na niego spod przymrużonych powiek.

Wtorek, 17 maja

„Kurier”, strona 18: „Istnieje mit, jeszcze z czasów starożytnych Rzymian, że od początku świata krąży nad ziemią ta sama, złowróżbna chmura. Zatrzymuje się ona na dłużej tam, gdzie ma się coś ważnego wydarzyć”.

Jakub spał kamiennym snem. Śniło mu się, że tej wiosny do ogrodu nie przyleciały kwiczoły, bo zima była tak ostra, że wiszące na głogu owoce opadły na śnieg, tworząc na nim kostropaty, krwawy dywan. Ten niepojęty sen zamienił się nagle w inne przywidzenie o podróży służbowej do jakiejś zapadłej wioski, w której nieznany sprawca zamordował na pastercie uwielbianego przez wiernych księdza. Jakub dostał od naczelnego enigmatyczną wskazówkę – miał dojechać do B. za Lubaczów, gdzie czekała na niego na plebanii Wilga. Właśnie stał przy okienku dworcowej kasy, płacąc za bilet do Lubaczowa, gdy poczuł nieznośne swędzenie lewej powieki. Nerwowo potarł oko. Natychmiast zniknął hol dworca i pasażerowie, za to pokazał się zupełnie inny obraz: uśmiechnięta Kasia, chowająca za plecami wielkanocną palmę. Jakub szybko otworzył prawe oko i zobaczył pochlipującego Piotrusia, trzymającego się oburącz krzesła.

Wyskoczył z łóżka jak oparzony i nadepnął bosą stopą na leżące na podłodze, pozostawione przez siebie ubranie. Ze złości kopnął skarpetę, która wylądowała na żyrandolu, czym rozbawił synka.

– Gdzie mama? – zapytał, odkrywając z przerażeniem, że zegar ścienny wskazuje już kwadrans po dziesiątej.

– Mama wyszła i zostawiła ci ten list – odpowiedziała Kasia, nie odrywając wzroku od ojca, który w ekwilibrystycznych podskokach starał się sięgnąć do skarpety wiszącej na lampie.

Jakub wziął z jej rąk kopertę i wyjął zapisaną gorączkowym pismem kartkę: „W kuchni znajdziesz jedzenie. Magda ma do południa wychodne. Zajmij się dziećmi. Wracam (chyba) wieczorem. Anna". Nic więcej, żadnego słowa wyjaśnienia. I jeszcze to „chyba”.

Chorobliwa ambicja kazała Annie natychmiast wyrównać rachunki, bez liczenia się z konsekwencjami. Ten postępek poruszył go. Był przecież lojalny, próbował jej wszystko wytłumaczyć. Przyszedł spokojnie i nie zrobił karczemnej awantury, jak wielu facetów z boksterskim zacięciem, którzy wracają do żon nad ranem. Był dla Anny za dobry i teraz odpłacała mu za to.

Zamknął się w łazience i z ulgą oddał mocz. Potem, prychając jak koń, przemył twarz i przejrzał się w lustrze. Z dumą stwierdził, że ma jeszcze to „coś”, na co lecą kobiety. Dalszą toaletę przerwało dudnienie chłopięcych rączek w zamknięte drzwi.

– Tata jeść! Ta-ta jeść! – darł się mały.

Kuba otworzył drzwi i nachylił się nad synem. Ucałował go w policzek, zdjął mu śpiochy i pieluchę, a potem, zatykając nos, wymył pod kranem zabrudzone pośladki. Mały darł się niemiłosiernie, zaskoczony tak grubiańskim traktowaniem. Ojciec szybko go ubrał i uczesał.

– No, w porządku – powiedział. – Teraz tata da ci w nagrodę coś do zjedzenia...

Wszedł do kuchni i ujrzał leżące na talerzu kanapki z szynką, złoty rogalik z piekarni Hessa posmarowany masłem i dżemem i śnieżnobiały twarożek. Na kredensie w porcelanowym dzbanku stała zimna kawa z mlekiem, na której pływał gruby kożuch. Jakub z obrzydzeniem wrzucił kożuch do zlewu, nalał kawę do kubeczków i położył przed Kasią i Piotrusiem kanapki na talerzykach. Z przyjemnością obserwował, jak szybko trafiały one do pustych brzuszków.

– Ze mną nie zginiecie – powiedział buńczucznie. – Grunt to nie tracić głowy, jasne?

– Jasne, tato – odpowiedziała uśmiechnięta Kasia i zapytała przymilnie, z ustami pełnymi jedzenia, czy ją odprowadzi.

– Dokąd?

– Jak to dokąd, do szkoły! – Spojrzała zdziwiona. – Rano nie było lekcji, bo w południe odbędzie się w auli uroczysty koncert. Magda wzięła dziś wolne, a sama nie pójdę, bo chłopaki ze starszych klas...

– Obowiązkowo! – zgodził się Stern i natychmiast zaczął się zastanawiać, gdzie można by choć na godzinę zostawić Piotrusia, żeby nie spóźnić się na umówione spotkanie z Ziębą. W pierwszej chwili pomyślał o rodzicach, ale szybko z tego planu zrezygnował. W końcu matka i ojciec sami potrzebowali pomocy.

Miał w zanadru jeszcze jeden ryzykowny pomysł i trzymał kciuki, żeby się udał. Kiedy robił w myślach te pobieżne kalkulacje, Kasia recytowała Piotrusiowi wierszyk, będący dewizą szkoły:

Nie pomogą próżne żale, ból swój niebu trza polecić, a samemu wciąż wytrwale trzeba naprzód iść i świecić.

– Rozumiesz, mały, trzeba świecić.

– Siecić – powtórzył wesoło brat, waląc łyżką w stół.

– Zapamiętaj to sobie do końca życia! – powiedziała, odebrała mu łyżkę i mocno go przytuliła.

Najedzeni i ubrani (tylko Jakub nie zabrał w pośpiechu płaszcza) wyszli na Pohulanę, kierując się w stronę szkoły imienia Henryka Jordana. Kasia była dumna ze swego szkolnego mundurka, lecz jeszcze bardziej imponowała jej nowa czapka z amarantowym otokiem i z okrągłą odznaką szkoły, zastrzeżona do tej pory tylko dla chłopców. Siedzący w wózku Piotruś za wszelką cenę chciał ją chociaż przez chwilę potrzymać, lecz siostra zrobiła taką minę, że mało się nie rozpłakał.

Przeszli wzdłuż Zielonej. Mijając dom Hillela, Jakub spojrzał w okna jego mieszkania, ale dojrzał tylko zaciągnięte story. Zakłopotany

przypieszył kroku i skręcił w Zyblikiewicza, by po kilkunastu minutach dotrzeć do dwupiętrowego budynku przy Herbutów, w którym mieściła się szkoła prowadzona przez Mieczysława Kistryna. Profos wpuścił Kasię do środka i uśmiechnął się porozumiewawczo do Sterna.

Kiedy Jakub został już tylko z synem, jeszcze raz wróciła do niego wieczorna sprzeczka z Anną i natychmiast przypomniał sobie inną, o wiele bardziej przykrą scenę, kiedy to na początku swej dziennikarskiej kariery zasiedział się w redakcji.

Kończył wtedy artykuł o zwyrodnialcu, którego ochrzcił mianem Szpila. Tego dnia nie miał twórczej weny. Na próżno próbował przemycić do tekstu odczucia konających ofiar. Dotknął nawet gardła, wyobrażając sobie, że leży związany w jakiejś obskurnej piwnicy i sadysta wbija mu w szyję długie krawieckie szpile zakończone kolorowymi główkami.

Potrzebował jakiejś podniety. Bez zastanowienia wyjął z szuflady szpilkę i wbił ją sobie nad grdyką. Z bólu omal nie spadł z krzesła. Kwadrans przed dziewiętnastą, trzymając się za opuchniętą szyję, zaniósł wreszcie wymęczony tekst do sekretarza redakcji. Potem, przeczuwając kłopoty, postanowił zrobić Annie niespodziankę. Wstąpił do sklepu Masełki i kupił prawdziwy delikates: dwa kilogramy świeżych flaków jelenia upolowanego przez myśliwych księcia Sanguszki.

Myśląc już o pieprzu i majeranku, zmierzał zwawym krokiem do domu. Kiedy zziębnięty przekroczył próg, zamiast kwiatów wręczył Annie starannie zapakowaną paczkę. Jej reakcja była natychmiastowa: bez słowa wyrzuciła flakami o ścianę.

Na wspomnienie o tym Jakub uśmiechnął się cierpko. Zamyślony szedł coraz szybciej, zwracając na siebie uwagę przechodniów. Wyglądało to tak, jakby przed kimś uciekał. Dla Piotrusia jednak była to najwspanialsza na świecie zabawa, dlatego pokrzykiwał:

– Pata-taj, tata, pata-taj!

Jakub z bijącym sercem podjechał wózkiem pod drzwi redakcji „Kuriera”. Miał zamiar oddać synka w ręce jakiejś troskliwej cioci. Kiedy zastanawiał się, jak zacząć podchody, prawie natychmiast pojawiły się przed nim: sekretarka Kazia, Halinka z dużym, ciężkim biustem, milcząca korektorka Stopka i przewracająca oczami Andrea, i każda próbowała przeciągnąć malca na swoją stronę. Najbardziej matkowała mu Kazia i nie wiadomo dlaczego, Piotruś od razu wyciągnął do niej rączki.

– No i co, kobitki? Która się naszemu juniorowi najbardziej podoba? Panie Jakubie – zwróciła się do niego z dumą – pozwoli mi go pan zaadoptować? Tylko na godzinę, błagam!

– No, jeśli na godzinę, to czemu nie! – powiedział dziennikarz z uwodzicielskim uśmiechem. – Ale gdyby coś się działo, proszę mu zaśpiewać piosenkę o...

– Damy sobie radę, prawda, maleńki, ti-ti! – usłyszał pieszczotliwy głos Kazi.

Kazia wzięła Piotrusia na ręce i poszła z nim do Długolaty, po drodze opowiadając mu jakąś bajeczkę, a Stern zbiegł po schodach i pędem skierował się w stronę Rynku.

Zdążył w ostatniej chwili i Zięba ze swego okna pogroził mu palcem. Było trzydzieści siedem po jedenastej, gdy zajął swoje strategiczne miejsce w kamienicy Bernatowiczowskiej pod numerem ósmym, obok pałacu arcybiskupiego. Z piwiarni, którą sam wybrał na punkt obserwacyjny, miał doskonały widok na fontannę Diany. Zięba był mniej zapobiegliwy i krył się w klatce schodowej w narożnym budynku numer jedenaście od strony Serbskiej. Dwaj jego tajniacy filowali z okien magistratu, a trzeci „anioł”, którego Stern odkrył natychmiast, stał niedaleko przystanku tramwajowego i udawał, że czyta gazetę.

Czekali w napięciu, lecz właściwie nic się nie działo. Królewskie miasto Lwów żyło zwykłym codziennym rytmem. Mieszkańcy załatwiali swoje sprawy, a turyści rozglądali się wokół i robili sobie pamiątkowe

zdjęcia. Przejeżdżały coraz to nowe dorożki i automobile, a spłoszone gołębie zataczały koła nad placem, radośnie trzepocząc skrzydłami.

Pod klonem na stołeczku siedział jak zwykle niewidomy grajek i wygrywał na akordeonie stare wojskowe melodie. Ta sama zgarbiona żebraczka o dziwnym przezwisku Rosita jak co dzień szła wolniutko do katedry, modląc się o wsparcie.

W piwiarni prócz dziennikarza było jeszcze trzech wiekowych mężczyzn, demonstracyjnie tytułujących się „nadradcami”, którzy nad rozpostartymi gazetami dyskutowali o ostatnim meczu Pogoni i strzale z woleja Matyasa-Myszki. Na kontuarze stał radioodbiornik. Po prognozie pogody nadano pięciominutowy program „Lwów pozdrawia”, po nim zaś smętną „melodię samobójców” śpiewaną przez Mieczysława Fogga.

Zniechęcony Jakub podniósł rękę i bez przekonania zamówił zimne piwo, doskonale wiedząc, że prawdziwy aromatyczny smak i ciemny złoty kolor jego ulubiony napój uzyska dopiero w październiku.

W tym samym czasie inspektor Zięba, stojący na półpiętrze klatki schodowej pod jedenastką, miał inne zajęcie. Metodycznie gryzł pestki słonecznika i łupinkami zdążył już zapełnić całą lewą kieszeń marynarki. Z samego rana podprażył je zapobiegliwie na patelni i teraz były doprawdy wyborne. On też nic ciekawego nie widział. Przy fontannie Diany kręcił się tylko wygłodniały kundel, który zlizywał coś z bruku, dokładnie tam, gdzie wcześniej mały chłopczyk potknął się i wypuścił z rąk lodu.

Inspektor był zdenerwowany. Irytowała go zielona mucha spacerująca po szybie, bez wahania rozduśił ją więc dłonią. Akurat wtedy, gdy wycierał wybrudzoną rękę o spodnie, minęła go młoda, śliczna kobieta z parasolką w jednej ręce i z wiklinowym koszykiem z zakupami w drugiej. Na jego widok przeraziła się nie na żarty i Zięba musiał jej pokazać legitymację. Uspokojona weszła na drugie piętro, zostawiając w powietrzu zapach modnych w tym sezonie perfum Coty.

Zięba spojrział na zegarek. Do dwunastej brakowało jeszcze minuty i szesnastu sekund. Z Serbskiej wyszła grupka nowicjuszek z książeczkami do nabożeństwa i karnie skierowała się za siostrą przełożoną w stronę Grodzickich. Za nimi przemknęło na rowerach dwóch roześmianych kominiarzy ze szczotkami i kulami na plecach, a potem przejechał przez plac żółty automobil z reklamą palarni kawy „HAG”, należącej do restauratora Jakuba Masełki, i zniknął za winklem.

Upłynęły kolejne sekundy. Stern tak jak inspektor uważnie obserwował swój sektor. Nagle w jego polu widzenia znalazł się mężczyzna, którego twarzy nie było widać, gdyż zakrywało ją lustro oprawione w grubą rzeźbioną ramę. Gość, którego redaktor nie spuszczał z oka, skierował się sprężystym krokiem w stronę Ruskiej i po chwili zniknął. Jakub Stern odetchnął z ulgą.

Popijając piwo, kolejny raz przypominał sobie fakty. Paskudne zaproszenie, które na początku roku przyniósł mu naczelny, a potem, pod koniec stycznia, śmierć Szymona Lacha pod rzeźbą Amfitryty. I następny dramat, po którym nie mógł się otrząsnąć. Śmierć Sary Reddig przy fontannie Adonisa. Wtedy, pod koniec lutego, stracił pracę na uczelni i po rozmowie z Mańkiewiczem postanowił wrócić do redakcji. Miesiąc później, w piątek dwudziestego marca, na fontannie Neptuna znaleziony został przeciwnik Sary, Paweł Zimmer. Cholerny plan Sary. Do jego spełnienia brakowało jeszcze... Jakub zabobonnie przerwał swe rozważania i skierował wzrok w stronę fontanny Diany.

Nastało południe. Rozdzwoniły się dzwony kościołów i ich głośnie echo, zamknięte w kwadracie kamienic, wprawiło w drżenie szyby. Któryś z nadradców musiał chyba opowiedzieć dowcip, bo rozległy się drażniące śmiechy. Dziennikarz spojrział w lewo. Od strony Wałów Hetmańskich wynurzył się, kołysząc na boki, niebieski tramwaj, który zmierzał w kierunku Wysokiego Zamku i w pewnym momencie zasłonił południową pierzeję Rynku. Po niecałej minucie, gdy tramwaj zabrał

pasażerów i odjechał z przystanku, Jakub dostrzegł pod fontanną Diany zgarbioną kobietę w białej chustce na głowie, sprzedającą kwiaty, a obok niej wózek inwalidzki z okrytą kocem postacią w słomkowym kapeluszu.

Nie było to nic niezwykłego. Na prawo przy fontannie Adonisa kręcił się od pół godziny brodaty handełes, sprzedający z przenośnego kramu precle, a pod ścianą ratusza jakiś młodzieniec z zacięciem podbijał piętą szmacianą zośkę.

Stern podniósł kufel i wypił łyk zimnego piwa, po czym jeszcze raz skupił wzrok na rzeźbie bogini łowów. Akurat wtedy kobieta sprzedająca kwiaty odstawiła wiaderko na bruk, rozejrzała się na boki i kulejąc, wolno ruszyła w stronę Dominikańskiej. Stern beznamyślnie patrzył na tę scenkę, coraz bardziej przekonany, że Kanclerz już się nie pojawi. Zadowolony sięgnął ręką po kufel, wypił kolejny łyk i w tym momencie doznał olśnienia. Przypomniawszy sobie słowa starej służącej, pani Eulalii Eweliny Stelze. Kiedy z Wilgą odwiedzili ją w zeszły piątek, usłyszeli, że osoba, która przyciągnęła na sankach pakunek pod Adonisa, dziwnie się poruszała. Dziennikarz cierpliwie czekał, że może kobieta wróci, lecz po minucie rzucił się ku wyjściu, przewracając stolik i wprawiając w osłupienie nobliwe towarzystwo.

Przebiegł kilkanaście metrów i stanął, bezradnie rozglądając się po Rynku. Po lewej widział wózek stojący przy rzeźbie, bardziej w prawo parę turystów, którym fotograf robił zdjęcie, lecz po kobiecie w chustce nie było śladu. W tej samej chwili obok dziennikarza pojawili się zdyszany Zięba i barczysty agent ze zrolowaną gazetą.

– Co się stało? – dopytywał się inspektor.

– On tu był. Przechytrzył nas!

– Kto, Kanclerz? – wysapał tajniak.

– Sam już nie wiem. Może mi się tylko tak, kurwa, wydawało! – rzucił Stern i pobiegł w kierunku handełesa z preclami, który stał przy fontannie Adonisa.

– Czy przechodziła tędy kobieta? – zapytał. – W białej chustce na głowie, lekko utykała!

– A dlaczego miałyby nie iść? – odpowiedział flegmatycznie handlarz.

– Człowieku, nie denerwuj mnie! Nie mam czasu!

– Ja, ja dokładnie widziałem! – przyszedł mu z pomocą chudy kindrus w wyszmelcowanych spodniach, ten sam, który odbijał piętą zośkę.

– Powiedz mi, dokąd poszła? – Stern nachylił się, przyjacielsko się do niego uśmiechając.

– A postawi pan precla? – targował się wyrostek.

Stern wysupłał z kieszeni drobniaki i podał je preclarzowi. Chłopak chwycił precla, podrapał się w głowę, jakby rozwiązywał skomplikowane zadanie z algebry, po czym powiedział, odgryzając duży kęs:

– Chiba poszła pod trójkę! Nie, tyraz sobi przypominam, posztajgowała pod piątkę, przy Czarnej Kamienicy!

Dziennikarz bez namysłu rzucił się we wskazanym kierunku. Dobiegł do masywnych drzwi, otworzył je z impetem i znalazł się w pustej, przestronnej sieni, której posadzkę zdobiła kamienna bordowo-czarna rozeta.

Rozejrzał się. Po lewej stronie był gabinet lekarski, o czym informowała mosięzna tabliczka: „Ignacy Wójcik – laryngolog”, po prawej zakład szklarski, za nim zaś widoczne były drewniane schody z wyszlizganą poręczą. Stern zajrzał do zakładu szklarskiego – pełno ram i luster. Na widok pytających spojrzeń rudych bliźniaków w granatowych fartuchach przycinających listewki cofnął się na korytarz. Szybko zajrzał do lekarza, gdzie w poczekalni kobieta z kilkuletnią córeczką czekała cierpliwie na przyjęcie.

Zamknął drzwi i wbiegł po schodach na samą górę, by jeszcze szybciej zbiec i skierować się w głąb korytarza, do drzwi prowadzących na podwórko. Pchnął je z rozmachem, a kiedy spod nóg wyprysnął mu wystraszony kot śpiący na progu, zrozumiał, że zgubił ślad. Na podwórzu,

na rozwieszonych sznurach suszyły się prześcieradła i kalesony, a wystraszony dachowiec wystawiał ogon spomiędzy jaskrawoczerwonych tulipanów.

Stern zawahał się. Miał nawet zamiar biec na Rynek i sprawić dowcipnemu batiarowi manto, lecz wtedy poczuł na plecach delikatny zimny powiew. Po jego lewej stronie, we wnęce, zobaczył drzwi zbite z nieheblowanych sosnowych desek – zejście do piwnicy. Już miał je minąć, lecz coś kazało mu się zatrzymać. Wydawało mu się, a może nawet był tego pewien, że ktoś stoi po drugiej stronie i czeka na jego fałszywy ruch.

Zrobił dwa kroki do przodu, jakby miał wyjść na Rynek, potem zniechęca cofnął się i kopnął drzwi z rozmachem. Drewniana zapora z hukiem wyleciała z zawiasów i ukazała się czeluść niknących w dole kamiennych schodów.

Stern odnalazł włącznik i przekręcił go, lecz światło się nie zapaliło. Ostrożnie posuwał się w dół po przewróconych drzwiach, próbując coś zobaczyć w ciemności. Opierał się o chropowatą ścianę, powoli stawiając stopy, byle tylko nie stracić równowagi. Na przedostatnim stopniu jego prawy but poślizgnął się na czymś i wtedy dostrzegł białą plamę pogniecionego materiału. Zaaferowany kucnął, a kiedy podniósł go, zdziwiony stwierdził, że trzyma w ręku białą chustę.

Teraz miał się już na bacności. Czując obecność przeciwnika, sięgnął do kieszeni po pudełko zapalek. Wyjął jedną, energicznie potarł o draskę i wysunął do przodu rękę. Światło otworzyło przed nim kilkumetrową przestrzeń. U podstawy schodów dostrzegł dwa ciemne, rozchodzące się na boki korytarze i stojącą pod ścianą szafę, na której leżały jakieś graty. Gasnąca zapalka oparzyła mu koniuszki palców. Stern rzucił ją i wtedy usłyszał cichy szmer. Wystarczyło wejść głębiej, by się przekonać, czy się nie myli, lecz strach przed czającym się gdzieś przeciwnikiem kazał mu zachować czujność. Zapalił kolejną zapalkę. Płonącą rzucił daleko przed

siebie i wtedy, w załomie korytarza, przed ciemną wnęką, przebiegł z piskiem spasiony szczur.

Stern aż zaklął z obrzydzenia. Potem sięgnął po trzecią zapałkę i gdy zamierzał ją zapalić, poczuł niespodziewane uderzenie w skroń, a potem kolejne ciosy. Starał się zasłonić, lecz niewidoczny przeciwnik był od niego szybszy. Kopnął go w żebra i przycisnął do schodów. Jakub nadaremnie usiłował oderwać twarz od wrzynających się w policzek stopni. Tamten uderzył go w kark, a fala paralizującego bólu spłynęła do stóp. Czuł, że traci siły. Ostatnim wysiłkiem woli zmusił się do nabrania powietrza do płuc. Kiedy otaczająca go ciemność zamieniała się w pulsującą bólem czerń, usłyszał nad sobą czyjś krzyk, a potem przekleństwa Zięby i pojedynczy, ogłuszający strzał.

Z trudem otwierał oczy. Przez szparę w powiekach widział przed sobą postać kręcącą się w kółko niczym tańczący derwisz. Potem postać ta, jakby podcięta, runęła nagle na posadzkę i jej krzyk zamienił się w rżenie. Czyjeś ciało leżało na wyciągnięcie ręki, podskakując w konwulsjach.

Z góry, od strony korytarza, dotarł do niego opanowany głos inspektora. Ktoś na jego polecenie przyniósł lampę naftową. Ktoś podsunął ją tak blisko, że Stern zmrużył oczy od oślepiającego światła. Tuż obok niego, pomiędzy jakimiś rozbitymi słojami, mosiężną konewką i zardzewiałą ramą od roweru leżał na ceglanej posadzce mężczyzna w blond peruce, przebrany za kobietę. Kula trafiła go w oko pod kątem. Z oczodołu i ze skroni sączyła się krew. Ranny, ku zaskoczeniu inspektora, był przytomny i starał się zakryć dłonią ranę, lecz ból nie pozwalał mu na to.

– Cymes strzał! Chryste, jaka to pewna reńka! – powiedział jeden ze szklarzy, plując przed siebie z satysfakcją.

– To chłop czy szantrapa, Paszko? Nie umniem ja rozpoznać ryła!

– Chłop, mówię ci, Pieszka, że chłop, tyli że w babskiej peruce!

– Dostał, suka, w samą ślipie.

– No i zdechni jak suka! – wtórował mu rudy bliźniak, przyświecający lampą.

Zięba wziął od niego lampę i powiesił pod sufitem na żelaznym haku, do którego kiedyś przywiązywano za nogi świniaka przed ćwiartowaniem.

– Już i po wszystkim, amen! – powiedział Paszko.

– Pewni zaraz kitnie! – poparł go drugi zapalczywy rudzielec.

– Jaka uparta, jeszcze sijij letko graba rucha!

– Niech pan jo dobiji! – Brat spoglądał na inspektora prosząco. – Po co się ma, larwa, męczyć?

Zięba uciął dyskusję, nakazując braciom przyprowadzić doktora, a sam nachylił się nad leżącym. Stern, pokonując ból, podparł się na łokciu i spojrzał w tamtą stronę. Nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Przed nim w kałuży krwi leżał na plecach pan Zenon, uniwersytecki woźny. Jego prawe oko mrugało automatycznie, jak u zepsutej lalki, lecz napotykając wzrok redaktora, na sekundę znieruchomiło.

– Ja już, ja już, panie redaktorze, nie jestem... – bełkotał, rozmazując ręką krew po całej twarzy.

– Jasne – warknął Zięba. – Już cię prawie nie ma!

Przeżegnaj się, cwaniaczku, i w drogę!

– Pan... pan Jakubie, się... pomylił – powiedział ledwie słyszalnym głosem, zlizując językiem krew. – Bo ja...

– To do ciebie! – Zięba zwrócił się do Sterna. – Ten kretyn chce ci coś powiedzieć do ucha.

– Słucham – powiedział Stern, ostrożnie podnosząc się na klęczkach i rozcierając rozciętą brew.

– Pan redaktor strasznie pomylił się – wycharczał woźny, próbując się podźwignąć. – Ja na-naprawdę, ja naprawdę tylko chciałem udowodnić bratu i pokazać wam wszystkim, że... Nieśmier... – nie dokończył i całym

ciężarem, z dziwnym uśmiechem, przewrócił się na zachlapaną krwią posadzkę.

Na prośbę Zięby bliźniacy wnieśli ciało woźnego do zakładu szklarskiego i położyli na wielkim drewnianym stole do cięcia szyb. Wezwany lekarz, facet z wąsikami jak szczoteczka do zębów, który przyjmował po sąsiedzku, widząc zakrwawionego mężczyznę w babskich szmatach, z wrażenia aż się przeżegnał. Delikatnie uniósł głowę profosa i ściągnął z niej zachlapaną krwią perukę. Potem trzęsącą się ręką rozpiął sukienkę, odchylił koszulę i przyłożył stetoskop do owłosionej klatki piersiowej. Chwilę słuchał, następnie zbadał puls i stwierdził zgon.

Kiedy o dwunastej trzydzieści sześć ciało woźnego, zawinięte w brezentową płachtę, ruszyło z Rynku policyjnym fiatem do prosektorium przy Pijarów, Zięba ze Sternem udali się pod fontannę Diany, do nieruchomej postaci siedzącej w inwalidzkim wózku, której strzegło dwóch tajniaków. Gdy inspektor podniósł rondo słomkowego kapelusza, Stern zobaczył śpiącą Wilgę. Dziewczyna miała mizerną twarz i podpuchnięte oczy. Ubrana była w ten sam beżowy żakiet, który nosiła w dniu, gdy wyszła z redakcji, wezwana na spotkanie przez tajemniczego gońca.

– Nie zatrzymałeś lekarza? – zapytał Jakub z wyrzutem.

– Pijana jak bela! Daj jej trochę czasu, niech wytrzeźwieje. – Zięba spojrział na Sterna. – Chcesz mnie jeszcze o coś zapytać?

– A ty?

Inspektor przeniósł wzrok na niebo, na czarną chmurę.

– Nic tu po nas – powiedział chłodno. – Niedługo zacnie padać.

Odesłał tajniaków na komendę, sam zaś chwycił wózek za rączki i ruszył ze Sternem w stronę redakcji „Kuriera”.

Wyjechali z Rynku i skierowali się w stronę placu Kapitulnego. Kiedy mijali kaplicę Boimów, Stern przejął wózek od Zięby, który chciał mu coś

pokazać. Inspektor wyjął z kieszeni marynarki przepiękny budzik ozdobiony lwowskim lwem.

– Co to jest? – zapytał Jakub.

– Budzik, a tak naprawdę detonator! To coś, połączone z patronem dynamitu, zapalnikiem górniczym i baterią, miało zrobić na Rynku głośne „bum” i posłać Wilgę spod fontanny Diany w powietrze. Kiedy ty uganiałeś się za facetem w kiece, mnie udało się w ostatniej chwili ten wybuchowy geszeft rozbroić.

– A to ciekawe! – Stern przypomniał sobie relację dziennikarskiego „małżeństwa” z wyprawy do willi na Kleparowie i opisany przez nich czasomierz.

Przyspieszyli, uciekając przed nasilającym się deszczem. Wpadli na Wały Hetmańskie i zatrzymali się pod gęstą koroną klonu, gdzie postanowili przeczekać ulewę. Lało jak z cebra i niebo raz po raz rozdzierały oślepiające błyskawice, po których słychać było piekielne grzmoty.

Stern postawił kołnierz marynarki i sięgnął do kieszeni po papierośnicę. Poczęstował Ziębę. Inspektor wyjął z kieszeni płaszcz nowiutką zapalniczkę w mosiężnej obudowie. Odchylił wieczko i przypalił.

Obaj zaciągnęli się kojącym dymem i spojrzeli na chmurę, która majestatycznie odpływała w stronę Wzgórz Zniesieńskich.

– Skąd wiedziałeś, że to on? – rzucił niedbale Zięba.

– Dzięki pani Stelze, starej służącej, która mieszkała kiedyś pod czterdziestym drugim, przy Adonisie. Zadzwoiła do redakcji po radiowym komunikacie Andrei. Byliśmy u niej z Wilgą w zeszły piątek. To pani Stelze pierwsza zwróciła uwagę na jego chód.

– A więc to jej należy się za to nagroda od Mańkiewicza?

Stern przytaknął i wolno wypuścił dym.

– Słyszałem złośliwe plotki, że woźny był synem jakiegoś naukowca, to prawda? – zapytał.

Zięba spojrział na Jakuba.

– Zgadza się, był synem pewnego profesora, który lubił nie tylko wykłady, ale i wyszukane rozrywki i mocne trunki. Zdarzyło się kiedyś, że ów profesorek poszedł w rejs i podłapał prawdziwą łyczakowską kurwę, niejaką Genię Smoczek. Upodobał ją sobie, i kwita! Wic w tym, że nie była to już ta dawna, olśniewająca królowa Łyczakowa. Miała żylaki i siwe włosy, a jednak coś go do niej ciągnęło. Dlaczego nie poszedł, jak jego szanowni koledzy, na girlaski do „Bagateli”, czort jeden wie. Faktem jest, że owocem ich szalonej miłości był mały Zyga, który urodził się, gdy Genia powinna była już myśleć o wnukach. Matka z synem zamieszkali w kupionym przez profesorka mieszkaniu na Krakidałach. – Zięba z zadowoleniem wypuścił pod niebo kóleczek. – Oczywiście profesor, jak przystało na człowieka honoru, za wszystko płacił. Zawarł z Genią układ, że będzie łożył na syna do pełnoletności, pod warunkiem jednak, że nigdy, ale to przenigdy syn się o nim nie dowie. Kiedy Zyga wyrósł na przystojnego faceta, stary dyskretnie załatwił mu posadę woźnego na swoim wydziale. Chłopak po ojcu był nieprzeciętnie zdolny, ale po matce nieobliczalny. Miewał zagrania, które kosztowały ojczulka sporo grosza.

– Czy to prawda, że po jakiejś awanturze z batiarami wyrzucili go z tramwaju?

– To też się zgadza. Ojciec opłacił w sekrecie najlepszych chirurgów. Zszyli go i poskładali, lecz mimo starań od tamtej pory kulał. Głośnym jego wyczynem było rzucenie butelki zapalającej na scenę Teatru Wielkiego. Chłopak chciał dodać ognia nudnemu przedstawieniu „Żądry”. Na szczęście butelka nie wybuchła, ale aktorzy uciekli przerażeni. Za takie „cóż” idzie się siedzieć na Brygidki do furdygarni, a on jak piskorz się wywinął! Uprzedzę teraz twoje pytanie o samochód. Przyznaję, że ten szczegół nie dawał mi spać przez całą noc. Dziś rano przepytalem na tę okoliczność pannę Winkler. Ze łzami w oczach powiedziała, że tamto poniedziałkowe popołudnie i noc, gdy zginął

Zimmer, spędziła z Kanclerzem w jakimś hoteliku. Zarzekała się, że profos miał odstawić samochód spod uczelni do domu, więc faktycznie auto miał aż do rana do swej dyspozycji.

– Wciąż zastanawiam się, dlaczego to wszystko zrobił? – zapytał zamyślony Stern.

– To proste! Nie mógł być naukowcem jak jego przyrodni brat.

– O czym ty bredzisz?

– To jest właśnie ta ostatnia, najważniejsza tajemnica! Zenon Smoczek przez wiele lat żył obok swego brata z piętnem, jakie zafundował mu ojciec. Nasz profos powinien nazywać się Kanclerz, a nie Smoczek! Nie zauważyłeś, że byli do siebie trochę podobni?

– Chryste, teraz zaczynam rozumieć jego słowa. Powiedział przed śmiercią, że chciał coś udowodnić bratu i pokazać nam wszystkim, że... Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wczoraj?

Zięba napuszył się jak paw.

– Powiedzmy, że z tą informacją czekałem na stosowny moment.

– Masz jeszcze jakieś inne rewelacje?

– Dowiedziałem się od pewnej damy z Łyczakowa, której pożałowałeś niedawno dwóch stówek, że Genia, tuż przed śmiercią, za jej właśnie namową zdradziła synowi swój sekret. Nie przypuszczała chyba, jak wielką rozpali tym wyznaniem nienawiść.

– Na uniwersytecie opowiadano, że nasz profesor, który uczył innych, jak poznaje się dobro, powiesił się ze zgryzoty za Domem Inwalidów. Przeżył podobno załamanie nerwowe. Ominęła go jakaś ministerialna nagroda?

– To urzędowa wersja. Nieoficjalna jest taka, że ktoś mu w tym pomógł.

– Kto?

– Teraz możesz sam to sobie dopowiedzieć. Czy słyszałeś kiedyś, żeby desperat powiesił się nogami do góry?

Stern zaniemówił. Rzucił pod nogi niedopałek, dociskając go ze złością do chodnikowej płytki obcasem.

– Znalazły go dwie uczennice zbierające czereśnie...

Zięba wsadził niedopałek papierosa do ust i zagryzł ustnik.

– Dzierlatki opisały z detalami, że kiedy poszły sobie na wagary, natknęły się w krzakach czerechy na wiszącego na sznurze stracha. Pod jego głową, a mówiąc uczciwie, pod tym, co zostawiły z niej głodne ptaszki i lisy, leżały porozrzucane notatki do wykładów z etyki prawniczej.

Znowu zagrzmiało. Spojrzeli na chmurę, która niespodziewanie zmieniła kierunek i powoli zaczęła się przesuwać nad Sygniówkę. Deszcz zelżał i na kałużach zaznaczały się teraz pojedyncze, ospowate kręgi spadających kropli.

– Widzę po twojej minie, że aż się rwiesz, by to opisać – powiedział Zięba i z fantazją strzelił niedopałkiem w kierunku rynsztoka.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu – podchwycił Stern, przypominając sobie w końcu o zostawionym na pastwę losu Piotrusiu. – Cholera! Muszę natychmiast zobaczyć się z moim synkiem!

– No, to wiśta, wio, wyrodny tatusiu! – Inspektor dał komendę i omijając kałuże, ruszyli pędem w stronę redakcji.

Kiedy przecinali ulicę Legionów i wózek podskoczył na szynach tramwajowych, Wilga ocknęła się na moment. Wolno podniosła głowę i powtórzyła pijackim głosem:

– No, to wiśta, wio!

Epilog

W ten sam wtorek, dziesięć po czwartej po południu, do drzwi pokoju inspektora Andrzeja Zięby w komendzie wojewódzkiej przy ulicy Sapiehy zapukał wykładowca prawa rzymskiego Emilian Kanclerz. „Wykałaczką” był roztrzęsiony. Oznajmił, że jest gotów ponieść konsekwencje swych nierozważnych czynów. Skruszonym głosem wyjaśnił, że powodem jego ucieczki z domu przez okno w sanitariacie był nerwowy szok. Szok, który już w starożytnej kazuistyce był czynnikiem usprawiedliwiającym. Posłużył się łacińską sentencją: *Nemo tenetur se accusare*, co oznaczało według jego słów, że: „Nikogo nie można zmusić do oskarżania samego siebie”. Prawnik przyznał się, że w minioną sobotę spotkał się z panną Różą Winkler w kawiarni hotelowej u „George'a” na kolacji. Dodał, że kiedy jedli ostrygi i pili szampana, niespodziewanie dowiedział się, że na początku nowego roku zostanie tatusiem. Właśnie ta szokująca wiadomość pchnęła go do nieprzemyślanych zachowań. Inspektor Zięba przyjął to wyjaśnienie z kamienną twarzą. Spisał zeznanie Emiliana Kanclerza, a kiedy naukowiec zostawił na formularzu wyczelowany podpis, w rewanżu przekazał mu informację, po której gość nie miał siły podnieść się z krzesła. Uniwersytecki prawnik nie mógł uwierzyć, że pod jego dachem mieszkał jego przyrodni brat Zenon Smoczek, który od kilku miesięcy terroryzował całe miasto.

W środę redaktor naczelny „Kurieria” Marek Mańkiewicz, w obecności Wilgi de Brie i Jakuba Sterna, przyjął w swoim gabinecie honorowego gościa, panią Eulalię Ewelinę Stelze. Manio przy błyskach fleszy, patrząc w obiektywy aparatów, wręczył jej czek na tysiąc złotych, stwierdzając uroczyście, że społeczeństwo Lwowa było i jest odpowiedzialne. Pani Eulalia otrzymała główną nagrodę „Kurieria” za pomoc w wykryciu sprawcy morderstw na lwowskim Rynku i oznajmiła, nie kryjąc łez, że na

początku lipca wyprowadzi się z obskurnego mieszkania na Krakidałach do centrum.

We wtorek, 24 maja, Anna Stern, wychodząc na dyżur do apteki „Pod Aniołem”, zatrzymała się na moment w ogródku. Była rozemocjonowana, bo na jej ulubionej róży „Marechal Niel”, którą dostała od męża na urodziny, pojawiły się trzy żółte pączki. Nachyliła się, by je powąchać, i podniecona delikatnym zapachem, uśmiechnęła się do siebie, święcie wierząc, że spotkało ją tego dnia szczęście.

Dokładnie w tym samym czasie inspektor Andrzej Zięba, spacerując po plaży w Juracie, znalazł wreszcie ustronne miejsce na odpoczynek. Postawił koszyk z jedzeniem przy wyrzuconej przez morze belce, po czym niespiesznie zdjął ubranie. Złożył je w kostkę, przetarł czoło i zaczął kopać piętą dołek w piasku. Miał zamiar położyć się w nim i, jak obiecał redaktorowi Sternowi, delektować się zimnym piwem, bezmyślnie gapiąc się na horyzont.

Tylko jeden bohater tej opowieści – mieszkaniec kamienicy przy ulicy Zielonej pod numerem piętnastym – adwokat Samuel Hillel, nic sobie nie robił z pączkujących róż, rzeńskiej morskiej bryzy i głównej nagrody przyznanej pani Eulalii Ewelinie Stelze. Bas od tygodnia nie wychodził z domu. Jego rany goiły się pomału, on tymczasem zagłębiany w fotelu szukał pocieszenia w wersetach odziedziczonej po przodkach Tory.

Słowniczek gwary lwowskiej, bałaku:

anioł – policjant batiar – łobuz

batiuszka – ksiądz prawosławny

cyferblat – twarz

ćmaga – wódka

dziunia – panienka

furdygarnia – więzienie

gielajza – kufel

graba – ręka

hara – wódka

handełes – sprzedawca, pogardliwie

hawira – dom

hryć – głupiec

kindrus – cwaniak, łobuziak

kinol – nos

lola – dziewczyna

meszty – pantofle płócienne

mordownia – knajpa

myszogene – wariat

pypka – smoczek

ryło – twarz

szantrapa – stara i brzydka kobieta

sztangle – podłużne bułki

sztajgować – biegać

trembulka – szczypiorek

umbra – klosz lampy

winkel – narożnik